

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXVI.

ROK IX

TOM IV.—ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1884.

SPIS RZECZY

Druk ukończono 2 Listopada 1884 r.

KUŹNICA KOŁŁĄTAJOWSKA.

STUDYUM HISTORYCZNE.

II.

Trębicki, Dmochowski, Meier, Konopka, Dembowski.

1.

Dla oswojenia umysłów z ideami nowemi i dla nagięcia opinii ku łącznemu działaniu z kuźnicą, oprócz pamfletów używał Kołłątaj bezpośredniego wpływu ludzi ruchliwych, śmiałych i zdolnych, których śród różnych sfer towarzyskich potrafił odszukać i zjednać. Było ich na usługach mistrza dwunastu—przeważnie młodzieży, łatwy mającéj dostęp do wszelkiego rodzaju schadzek i zabaw, na których przez zręczne wtrącanie do rozmowy potocznéj stosownych kwestyi wyrozumiewała kierunek i usposobienie opinii (1). Regent asesoryi, Wincenty Szczurowski, urzędnicy referendaryi litewskiéj, dwaj bracia Mirosławscy, regent komisyi wojskowéj litewskiéj, Antoni Trębicki, ksiądz Józef z Wolda Meier, pijar Franciszek Ksawery Dmochowski, neofita Jan Dembowski i Kazimierz Konopka,—stanowili czoło tego zastępu, nieobliczone usługi przynoszącego stronnictwu. Szczurowski, Mirosławscy i Trębicki rozległe mieli stosunki pomiędzy obywatelstwem, klasą urzędniczą, posłami i wojskiem; Dmochowski śród uczącéj się młodzieży, literatów i księży; Dembowski, Konopka i Meier śród rzemieślników Starego Miasta. Pierwsi przez sondowanie opinii i jednoczesne zjednywanie kuźnicy inteligentnych adeptów potęgowali siłę moralną stronnictwa; ostatni materyalnych przysparzali mu środków, mogli bowiem w potrzebie wstrząsnąć uli-

(1) Lelewel. Polska. Dzieje i rzeczy jéj. VI. 209.

cą, pchnąć ją do manifestacyi, terroryzować przeciwników namiętnościami pospólstwa. Inny środek oddziaływania na opinię publiczności i sejmu stanowił otwarty z inicyatywy Kołłątaja w pałacu radziwiłłowskim klub—pierwsze w Warszawie stowarzyszenie polityczne, zorganizowane na modłę zachodnią.

Kluby, albo „klopy"—jak się wyrażali współcześni—powstały w Warszawie przed sejmem wielkim, bez domieszki jednak politycznych pierwiastków, jakie zapanowały w nich późniéj. Założony w r. 1784 klub „Przyjaciół złączonych" składał się ze stu osób, znanych z dobréj reputacyi, uczciwych obyczajów, towarzyskich i ludzkich. Rekomendowany przez członka kandydat na wniosek jednego z administratorów podlegał wotowaniu, w razie przyjęcia składał $1\frac{1}{2}$ czerw. zł. wstępnego, a trzy czerw. zł. opłacał rocznie. Stali członkowie mieli prawo wprowadzać gości, tak cudzoziemców, jak obywateli krajowych, byleby uprzedzili o tém administracyą i nazwiska wnieśli do księgi. Wykluczono z klubu gry hazardowne, składki i polityczne widoki;—celem zjednoczenia było zawiązywanie stosunków przyjaźni, zbieranie się generalne we wtorki dla rozmów, wspólnego jedzenia, gry w bilard, słowem dla wspólnéj towarzyskiéj rozrywki. Niezależnie od klubu „Przyjaciół," który jeszcze w roku 1792 w dwóch językach przypominał swoje ustawy (1), podczas sejmu czteroletniego w pałacu radziwiłłowskim pod sterownictwem Antoniego Trębickiego, jako sekretarza (2), zakwitnął inny.

Miał Trębicki w województwie brzesko-litewskiem osiadłość, szukał zaś karyery w wojsku i działalności publicznéj. W sztabie generalnym wojska w. ks. lit. pełnił urząd regenta z rangą porucznika kawaleryi narodowéj (3) i niezależnie od obowiązków służby zajmował się nauką. Publikował najprzód *Prospectus dzieła pod tytułem: Prawo oboyga narodów, zebrane od r. 1346 do r. 1786 i do druku podane* (Dufour, 8⁰, str. 24), w roku zaś 1789 ogłosił dedykowany kasztelanowi wileńskiemu, Radziwiłłowi, zapowiedzianéj pracy tom pierwszy (4). Uzasadniał w przedmowie do dzieła konieczność uporządkowania praw polskich, potrzebę oparcia ich na nowych naukowych

---

(1) Ustawy klubu pod tytułem rozróżniającym przyjaciół złączonych, ustanowionego w Warszawie roku 1784. W Warszawie, 1792, 8⁰, str. 16 *Gesezze des in Warschau 1784 errichteten Clubs unter dem auszeichnenden Titel: der vereinigten Freunde.* Warschau, 1792, 8⁰ str. 16.

(2) Lelewel *l. c.* VI. 209.

(3) Kalendarzyk narodowy y obcy na rok p. 1794. II, 546.

(4) Prawo polityczne i cywilne korony polskiey y wielkiego xięstwa litewskiego to jest: nowy zbiór praw oboyga narodów od r. 1347 aż do teraźnieyszych czasów. Tom I. W Warszawie, Dufour, 1789, *infolio*, str. 757.

podstawach i zaprowadzenia zmian pewnych w stosunkach społecznych. Wydawały mu się ustawy krajowe złożone „z tysiącznych ułamków już pięknéj i regularnéj, już gotyckiéj budowy;“ spostrzegał w nich brak systematu, chaotyczność i niezliczone sprzeczności. „Obok usilnéj baczności na wolność bez granic—głęboka obojętność na niewolę najsroższą, owszem upoważnienie onéj licznemi ustawami; obok troskliwości o bezpieczeństwo honoru i życia—dobrowolne onych na los jednego widzimisię wystawienie; obok mocnéj żądzy prędkiéj sprawiedliwości—utwierdzone pieniactwo; obok jasności—liczne wybiegi; obok ducha tolerancyi—srogość religii;—oto są niefałszywe rysy praw i ustaw narodu naszego.“ Zostając pod wpływem pomysłów Monteskiusza, radby stosować prawo do natury kraju, któremu ma służyć, do jego klimatu, gatunku gleby, rozległości, topografii i rodzaju życia mieszkańców; pragnąłby także rozciągnięcia wspólnych ustaw na wszystkie stany, z okazyi czego potrącił i sprawę chłopstwa. Nie żąda natychmiastowéj i zupełnéj dla wieśniaka wolności, bo „niesforność z niewiadomością złączona z jednéj, a niecierpliwość i surowość z drugiéj“ strony przyprawiłyby o zgubę tak chłopa, jak i dziedzica; chciałby jednak widziéć zabezpieczone prawami życie jego i własność. Dla urzeczywistnienia tego wystarczy uwolnienie chłopa z pod władzy pana, z którego nie będzie kontent: uchylenie praw, dotyczących poszukiwania zbiegów, przywrócenie statutu Kazimierza W., dozwalającego corocznie jednemu poddanemu wynieść się i szukać siedziby innéj.

Pracowitość, niezaprzeczone zdolności, postępowość w poglądach na stosunki prawno-społeczne zwróciły na Trębickiego uwagę króla. Gdy nadchodziły nowe, naznaczone na dzień 15 listopada 1790 r. dla wyboru drugiego kompletu posłów sejmiki,—zalecił Stanisław August hrabiemu Platerowi i Zyberkowi popieranie młodego regenta (1). Jakoż Trębicki wraz z metrykantem litewskim, Kaczanowskim, przeszedł jako poseł inflancki z Litwy i w towarzystwie kolegów kompletu pierwszego: generała-majora Zabiełły i Niemcewicza 16 grudnia zasiadł na sejmie.

Przez otrzymanie mandatu posła Trębicki w klubie i w całém stronnictwie znakomicie stanowisko swe wzmocnił: stał się ogniwem, łączącem kuźnicę z sejmem, szermierzem interesów partyi w samém ognisku władzy, któréj był cząstką. Jednocześnie liczba członków klubu z kilkunastu wzrosła do ośmdziesięciu (2); śród stowarzyszo-

---

(1) Korespondencya krajowa St. Augusta z lat 1784 do 1792. Poznań, 1872, str. 166.

(2) D B. Tomaszewskiego k. c. w. woj. br. nad konstytucyą i rewolucyą d. 3 maja r. 1791 uwagi. Bez m. i r. str. 46.

nych, pomiędzy którymi niemało było i posłów, zapanowała solidarność i karność. Zaręczali posłowie przy roztrząsaniu materyi, że zapadłe w klubie jednomyślnością lub większością uchwały nieodstępnie popierać będą na sejmie i zazwyczaj dotrzymywali obietnic rzetelnie. „Klub był sejmem nad sejmem—powiada niechętny sprawom tym pisarz (1); ani było w tém sekretu, że co było na klubie uchwaloném, stanie się na sejmie prawem." Uskarżali się na to w izbie niewchodzący do klubu posłowie partyi przeciwnéj, zamykano im przecież usta zarzutem braku rzetelnych dla kraju uczuć.

Prowadzący w klubie protokuł w wyrażeniach był mocny, obrazowy a ścisły, w argumentacyi zasadny; ile razy przeto zabrał głos w izbach, nawet kolegów partyi przeciwnéj pociągał ku sobie łatwo i wychodził z sukcesem. Przemawiał na sesyi 1 lutego 1791 r. za dopuszczeniem do głosowania na sejmikach posesyonatów, zostających przy poselstwach zagranicznych, oraz subalternów wszystkich dykasteryi (2) i żądaniu temu w prawie z 24 marca stało się zadość. Wziął gorąco do serca interes szlachty kurlandzkiéj, rozwinąwszy bogaty zasób talentu, poruszył izbę i sprawę na pożądane wprowadził tory.

Przybyła do Warszawy delegacya od szlachty kurlandzkiéj ze skargą na doznawany od księcia ucisk. Nie poprzestając na uzyskaném posłuchaniu u króla, w nocie, podanéj 12 grudnia 1790 r. żądała audyencyi u sejmu. Popierał ją poseł dobrzyński, Zboiński, popierał na sesyi 3 lutego Trębicki, prosząc o odczytanie noty i natychmiastowe wyznaczenie terminu posluchania u sejmu.

Poparł mówcę Wejssenhoff, cała poparła go izba. Odczytano notę, król przyrzekł termin audyencyi oznaczyć (3). Stanęli 17 lutego w izbie sejmowéj: baron de Heycking i Ludinghausen Wolff. Wynurzali w mowie łacińskiéj przychylność szlachty kurlandzkiéj dla Polski, ofiarowali w jéj imieniu dwanaście armat i prosili o wyznaczenie deputacyi dla wejrzenia w skargi na nadużycia despotycznego księcia. Na sesyi 5 marca deputacya wyznaczoną została (4).

Bronił Trębicki na sesyi 4 lutego komisarzów skarbowych, oskarżonych o kupno pałacu dla posła rosyjskiego w Warszawie; kilkakroć w dyskusyi nad drobniejszemi kwestyami brał udział; żywszą rozwinął czynność w sprawie mieszczaństwa.

---

(1) Wolski l. c. str. 165.

(2) Gazeta narodowa i obca z r. 1791, N. 11.

(3) Gazeta nar. i obca z r. 1791, Nr. 11.

(4) Supplementy do Nr. 15 i 19 Gazety Warszawskiéj z r. 1791.

Pochwaliwszy świeżo zapadłe prawo o sejmikach, zalecał na sesyi 28 marca w słowach gorących, iżby natychmiast sprawą mieszczan się zająć. „Sto czterdzieści miast zgórą, a milion przeszło mieszkańców, zjednoczywszy się, przedsięwzięło popierać sprawiedliwe swoje żądania z jak najprzykładniejszą dla rządowéj opieki powolnością i uszanowaniem...“ postawiło żądania tak umiarkowane i słuszne, że im niepodobna odmówić. Ułożonemu przez wyznaczoną w grudniu 1789 r. deputacyę projektowi zarzucał, że miastom większym rozleglejsze dawał prawa, niż mniejszym; że nie wspomniał o drobnych rzemieślnikach i nieosiadłém pospólstwie; że, uwalniając mieszczaństwo z pod jurysdykcyi starościńskiéj, proponował inną, za reskryptami króla formowaną ze szlachty, coby tylko niebezpiecznie zwiększało władzę kanclerzów. Miał Trębicki zamiar przedstawić własne do projektu deputacyi poprawki, gdy zakomunikowano mu referat podkanclerzego lit. Chreptowicza z myślami i jego dość zgodny. Użył więc tego ostatniego za podstawę projektu, który na sesyi 28 marca oddał do laski (1).

Zapewniał mieszczaństwu prawo *Neminem captivari nisi jure victum permittemus* i wolność nabywania dóbr ziemskich; dopuszczał je w stanie duchownym do kanonii i prelatur; w wojsku, z wyjątkiem kawaleryi narodowéj, do stopni po rangę pułkownika; dawał dostęp i do czynnego udziału w sejmach. Po siedm miast znaczniejszych w każdéj prowincyi obierać mogło reprezentantów pod nazwą posłów municypalnych, którzy, zająwszy w izbie miejsca ostatnie, mieli *vocem activam* w sprawie ustanawiania podatków z miast, uchwalania praw, dotyczących mieszczaństwa, w przedmiocie handlu, kontrolowania rachunków skarbowych itp. Znosząc praktykowaną dotychczas jurysdykcyę starościńską, ustanawiał natomiast tak zwaną pośredniczą, tj. w każdém województwie sąd, złożony z trzech delegowanych ze stolicy, jednego obranego przez miasto wojewódzkie na lat dwa i przeznaczonego do konserwowania aktów, oraz wydawania ekstraktów pisarza. Organ taki w trzech corocznie kadencyach roztrząsać będzie w drodze apelacyi skargi na wyroki magistratów i sądów wójtowskich w sprawach od stu do tysiąca złotych, oraz pociągających dwutygodniową karę więzienia; w ważniejszych decydować miały ustanowione dla miast sądy najwyższe. Prawo municypalne rozciągał Trębicki wspólne dla wszystkich miast, na wszystkich mieszkańców, bez różnicy pochodzenia,

(1) Suppl. do Nr. 26 Gazety Warszawskiéj z r. 1791. Głos Imci pana Antoniego Trębickiego, posła inflanckiego na sesyi sejmowéj d. 28 marca 1791 r. miany, etc.

majątku i religii; nie pozbawiał też zaszczytów urodzenia szlachciców, którzy-by osiedli w mieście i miejski uprawiali proceder.

Projektem swoim (1) i mową wysunął Trębicki sprawę miejską na czoło, szczęśliwie zagaił kilka-tygodniową w tak doniosłym przedmiocie dyskusyę. Zaraz nazajutrz w duchu Trębickiego przemawiał za miastami z Gliszczyńskim Niemcewicz, 5 kwietnia Sołtyk, Bronikowski, Zboiński, dnia następnego Dłuski i inni. Ścierały się przez dni kilkanaście rozumy i namiętności krańcowych stronnictw; tonęła sprawa w zamęcie najsprzeczniejszych dodatków, poglądów i uwag, aż ją ocalił wcale nieoczekiwany przez postępowców sojusznik—satelita Branickiego, Suchorzewski, poseł kaliski. Zapadłe w drugiéj połowie kwietnia prawo o miastach niewiele się różniło od żądań Trębickiego, mogło być przeto przez klub i kuźnicę uważane za tryumf. Dla okazania solidarności swojéj ze stanem trzecim, najznakomitsi z patryotów zapisywali się w księgę miejską Warszawy; 29 kwietnia za przykładem innych poszedł także Trębicki (2). Suchorzewski stał się bohaterem dnia. Uszczęśliwionego orderem wysławiali przyjaciele mieszczaństwa, nie zaniedbał też pochwał sekretarz klubu. Miał do Suchorzewskiego słabość za stanowisko opozycyjne, jakie zajął na sejmie w r. 1876 i wysławiał go za to w mowie z 4 lutego; obecnie zaś przypisał mu tom drugi zbioru praw (3) i w dedykacyi wystąpienie na sesyi 14 kwietnia uwielbiał.

Jednocześnie w mieszkaniu marszałka Małachowskiego, a następnie w gabinecie księdza Piatolego Kołłątaj, Ignacy Potocki, Mostowski, Wejssenhoff, Niemcewicz, Czaccy i wielu innych naradzali się względem ryczałtowego przeprowadzenia w tajemnicy napisanéj ustawy. Skoro zdecydowano dzień wniesienia dzieła na posiedzenie sejmu, Kołłątaj postanowił wprowadzić w grę te moralne i materyalne siły, jakie z jednéj strony reprezentował klub, z drugiéj ludzie, mający stosunki z zapalném pospólstwem Starego Miasta. Dnia 2 maja wieczorem wobec licznego zebrania w klubie odczytano ustawę,

---

(1) Wyszedł z druku p. t. „Projekt. Miasta nasze królewskie w krajach rzeczypospolitéj“, z dopiskiem: „Projekt ten przez Prześwietną Deputacyą do miast wyznaczoną ułożony, w niektórych tylko miejscach stosownie do przywilejów i prośb mieszczan zrepygowany (*sic*), podany przez Imci Pana Trębickiego, posła inflantckiego z poprawą omyłek w pierwszym exemplarzu zaszłych“. Bez m. i r., format arkusza złamanego kart nlb. 6.

(2) Gazeta nar. i obca z r. 1791, Nr. 35.

(3) Prawo polityczne i cywilne korony polskiey y wielkiego xięstwa litewskiego to jest: nowy zbiór praw oboyga narodów, w którym są umieszczone wszystkie prawa korony polskiey aż do r. 1791, do ostatnich zapadłych seymowych ustaw. T. II. W Warszawie. Dufour, 1791, *in folio* str. 574.

którą z jednomyślnym prawie przyjęto aplauzem. Tegoż dnia w nocy w mieszkaniu marszałka sejmowego posłowie wystawili zaręczenia piśmienne, jako żadnemi wnioskami projektu w izbie wstrzymywać nie będą, że wszelkiemi go poprą siłami. Poczytywał sobie każdy za chlubę umieszczenie nazwiska swego na akcie, uświęcającym powagę dzieła, mającego dźwignąć ojczyznę; pierwszy zaś przykład dał szanowny biskup kamieniecki, stary Adam Krasiński (1). Staraniem Dembowskiego i Konopki rano d. 3 maja tłum mieszczan warszawskich okolił zamek królewski, zewsząd zawarł do niego przystęp, głośno wołając: „Vivat konstytucya!“ (2). Oprócz galeryi, wszystkie miejsca przepełniła ciekawa ważnych zdarzeń publiczność, zajęła zamkowe sienie, przysionki, schody i zamkowy dziedziniec; garnęła się zaś bez różnicy stanu tém gęściéj, że głuche kursowały pogłoski o mającym nastąpić zamachu na życie króla, marszałka sejmowego i innych (3). Szermierze partyi przeciwnéj zawczasu opanowali miejsca w izbie sejmowéj, lecz tak się otoczonymi znaleźli przez ludzi niepodejrzanéj gorliwości i doświadczonéj odwagi, że obawa skandalu niknęła (4). Ponieważ głoszono wieści, że stronnictwo opozycyjne nakłoniło Suchorzewskiego do podjęcia walki z ustawą,—na godzinę przed otwarciem sesyi sejmowéj zaprosił go do mieszkania swego Trębicki i w obecności brata rzekł doń: „Jesteś cnotliwy, aleś słaby i pochlebstwu wierzysz, celu onego nie spostrzegając i spostrzedz go nie chcąc. Chcesz się zrobić drugim Rejtanem, zapomniawszy, iż Rejtan, cnotliwy zaiste całe życie, choć-by nawet był złym przez cały ciąg dni swoich, działając tak, jak działał podczas sejmu delegacyi, zarobił na najcnotliwsze nazwisko. Ty równie cnotliwy, lecz chociażbyś był najcnotliwszym i najlepszym całe życie, działając tak na dzisiejszym sejmie i w dzisiejszych okolicznościach, jak działał Rejtan na sejmie delegacyi, stałbyś się w oczach potomności, w oczach współziomków najgorszym“ (5). Objaśnienia Trębickiego co do natury roli, jakiéj Suchorzewski się podjął, pozostały bez skutku. Pobiegł poseł kaliski do izby sejmowéj, zażądał głosu i zrobił skandal, który go okrył śmiesznością.

Po tych wypadkach klub, działający teraz pod nazwą „Przyjaciół konstytucyi 3 maja“, dla ugruntowania powagi stronnictwa

---

(1) O ustanowieniu i upadku konstytucyi polskiey 3 maja. Lwów. 1793. I. 143.

(2) Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich. Lipsk. 1868, str. 116.

(3) Trębicki. Odpowiedź autorowi prawdziwemu uwag D. B. Tomaszewskiego, str. 25.

(4) O ustan. i upadku konstyt. pol. 3 maja. I. 144.

(5) Trębicki. Odpowiedź autorowi prawdziwemu, str. 28.

zamierzył przywódcę jego wprowadzić do rządu. Uskutecznienie zamiaru nie było łatwem ze względu na niechęć, jaką Kołłątaj budził w ludziach partyi przeciwnéj. Na sejmiku poselskim w Łucku d. 16 listopada 1790 r. takie szlachta wołyńska umieściła w instrukcyi zlecenie: „Iż JW. Imci X. Kołłątaj, referendarz litewski, pismami swojemi, zamiar sukcesyi i inne szkodliwe projekta w sobie mającemi, obsyłając województwa, ziemie i powiaty, zamachy do obalenia wolności i prerogatyw szlacheckich, prawami dawnemi warowanych, uczynić starał się; żądać będą JOO. JWW. posłowie, aby do żadnych ministeryów, ani do senatu przypuszczonym nie był, owszem za pisma szkodliwe, przez siebie wydawane od kar, prawami przepisanych, wolnym nie był“ (1). Podobnież był względem Kołłątaja usposobiony sejmik lubelski (2). Poczytywano księdza referendarza na szefa tajemnéj partyi rewolucyjno-francuzkiéj, zależnéj od zwierzchności w Paryżu (3); zwano go polskim Katyliną, determinowanym na gwałt, krwi rozlew i wszelkie, do celu wiodące środki. Przeciwni mu byli wszyscy biskupi, poczytujący go za niebezpiecznego dla religii i kraju; hałasowała przeciwko niemu wpływowa kasztelanowa kamieńska, nie lubiał Kołłątaja, chociaż oceniał jego zdolności i pragnął dla siebie pozyskać, Stanisław August (4). Klub jednak przeszkody złamał. Zebrał podpisy posłów z żądaniem oddania podkanclerstwa koronnego Kołłątajowi, na skutek czego król naleganiom większości sejmujących ustąpił (5) i na sesyi 17 maja 1791 r. pieczęć mniejszą osławionemu Katylinie powierzył (6). Nominacya Kołłątaja wywołała w stronnictwie radość, podzielaną przez szlachtę rozmaitych zakątków kraju. Dziękowała za taki wybór królowi komisya cywilno-wojskowa ziemi mielnickiéj (7), wyrażali wdzięczność zebrani na sejmiku gospodarskim w Gąbinie (8), a szlachta dobrzyńska upraszała przez swego posła, iżby księdza podkanclerzego kor. J. K. Mość najpierwszym zawakowanym biskupstwem obdarzyć raczył (9).

Wprowadzony do rządu Kołłątaj powagą swoją klubistów wysuwał w sejmie na czoło: używał ich do wnoszenia swoich lub

---

(1) Rękopis Zakładu nar. im. Ossolińskich, Nr. 1778, str. 460.

(2) Wolski *l. c.* str. 165.

(3) Pamiętniki Michała Zaleskiego, wojskiego w. ks. lit. (*Rocznik Tow. hist.-lit. w Paryżu.* Rok 1873—78. Poznań, 1879, str. 103, 105).

(4) Kraszewski. Polska w czasie trzech rozbiorów. III. 20.

(5) Wolski *l. c.*, str. 100, 117, 165.

(6) Gazeta warszawska z r. 1791, Nr. 41.

(7) Gazeta nar. i obca z r. 1791, Nr. 103.

(8) Rękopis bibl. Ossol. Nr. 1778, str. 595.

(9) Gazeta nar. i obca z r. 1792, Nr. 23.

układanych wspólnie projektów, zalecał na członków deputacyi. nakłaniał do krytyki wprowadzonych świeżo w życie instytucyi itp. Na sesyi 28 czerwca z okazyi czytania projektu względem wyznaczenia deputacyi do napisania kodeksu cywilnego i kryminalnego wychwalał Trębickiego, że „wiek swój młody poświęcił pożytecznéj dla ojczyzny pracy w zbiorze praw, który pomocą będzie do zamierzonego dzieła“ (1), wyrażone zaś w ten sposób dla sekretarza klubu uznanie nie bez wpływu zapewne było na wybranie go w dniu następnym na członka deputacyi do ułożenia kodeksów dla Litwy (2). Po limicie sejmowéj, trwającéj od końca czerwca do 15 września, na sesyi 7 listopada Trębicki w pięknéj mowie popierał projekt deputacyi konstytucyjnéj, wnoszącéj, żeby kandydatów do magistratur rządowych podawał sejm, a nie sejmiki; 18 listopada żądał tłómaczenia się Komisyi skarbu koronnego z zarzutu, dla czego nie wprowadziła dotychczas w skład swój plenipotentów miejskich (3); 24 listopada przemawiał obszernie w sprawie królewszczyzn. Wbrew projektowi deputacyi i zdaniu Kołłątaja nawet, Trębicki, zamiast sprzedaży starostw, zalecał wypuszczenie ich w wieczystą dzierżawę, którą za korzystniejszą uważał dla kraju. Obliczał, że nim rząd według projektu deputacyi zdoła przeprowadzić sprzedaż królewszczyzn, będzie musiał dla pokrycia deficytu zaciągać długi i płacić od nich procenta, co go w przeciągu lat siedmiu narazi na wydatek 40,000,000; zwracał uwagę, że tymczasowi posiadacze starostw przyprawią dobra o ruinę, że się rzeczpospolita pozbędzie źródła dochodu, co rok większéj nabierającego wartości, przez co zmniejszy w przyszłości perceptę itp. Wkrótce, znać ulegając presyi osób wpływowych, zdanie swe zmienił. Na sesyi 13 grudnia w zasadzie na sprzedaż się zgadzał i własny w tym względzie przedstawił projekt (4).

Należał Trębicki do posłów czynniejszych i gorliwszych w stronnictwie; przy prawości charakteru odznaczało go umiarkowanie w sprawach drażliwych, w niebezpieczeństwie przezorność. Dał dowód umiarkowania w mowie z 4 lutego 1791 r. broniąc członków komisyi skarbowéj, oskarżonych o kupno pałacu dla poselstwa rosyjskiego w Warszawie. Słusznie dowodził, że wobec tak licznych, a ohydnych zbrodni z doby sejmu delegacyjnego, kupno pałacu przestępstwem jest małém; że pobłażliwie sądzić należy ludzi, wzro-

---

(1) Gazeta nar. i obca z r. 1791, Nr. 53.

(2) Gazeta nar. i obca z r. 1791, Nr. 54.

(3) Gazeta nar. i obca z r. 1791, Nr. 94.

(4) Gazeta nar. i obca z r. 1791, Nr. 101. Projekt wyszedł z druku p. t. „JW. Trębickiego, posła inflantskiego, zasady do projektu wieczystego urządzenia królewszczyzn“. Bez m. i r. *in folio*. Karta nlb.

słych wśród atmosfery moralnych orgii. „W pewnych dobach tak się okoliczności składają, że przestępnym człowiek być musi: próżno usiłujemy naśladować ostrych Katonów i surowych Brutów, gdy nieprzychylna natura duszą ich nasze nie ożywiła jestestwa“. Przezorność odsłaniała oczom Trębickiego niebezpieczeństwo w machinacyach możnowładców — „półbożków, których zwalono posągi“. Chcieli przeprowadzić zasadę, iżby kandydatów do magistratur rządowych podawały sejmiki: oparł się temu poseł inflancki, dowodząc słusznie, że przy takim rzeczy porządku magistratury staną się łupem przewagi panów, tak samo jak trybunały, do których deputatów obierała szlachta województw. W mowie z 7 listopada dla uchylenia gospodarki magnatów przedstawianie kandydatów radził powierzyć sejmowi i w tym duchu nazajutrz zapadło prawo. Należał Trębicki do najpierwszych, którzy posiedli wieści o knowaniach magnatów w Jassach i już w mowie z 24 listopada przed niebezpieczeństwem ostrzegał. Czerpał wiadomości o spiskach z listów, z pogranicza Wołoszczyzny pisanych, chociaż nie znalazł w nich jeszcze wskazanych dokładnie szczegółów i nazwisk. Kiedy na sesyi 6 grudnia dysputowano nad środkami względem manifestów, wymierzanych przeciwko rządowi,—Trębicki radził najenergiczniejszych użyć natychmiast. Zaniedbać ich „jest-to jedno, co niechcieć spokojności i bezpieczeństwa narodu, jest-to jedno, co chcieć widzieć ziemię ojczystą mogiłami własnych współziomków okrytą, jest-to chcieć nareszcie widzieć całą rzeczpospolitę zhańbioną“ (1).

Po limicie sejmu, trwającej od końca stycznia do połowy marca 1792 r., na sesyi 27 kwietnia przymawiał się w sprawie sum, lokowanych na starostwach; czynił uwagi do projektu opisu Komisyi woj-

(1) Oprócz dwóch tomów *Prawa politycznego* i dwóch projektów: jednego w sprawie miast, drugiego w materyi urządzenia królewszczyzn, następujące mowy Trębickiego ukazały się w druku:

1. „Głos Imci Pana Antoniego Trębickiego, posła inflantskiego na sesyi seymowey dnia 3 lutego 1791 w interesie szlachty Kurlandzkiey“ (*Przyjaciel ludu* z r. 1849, Nr. 10).

2. „Zdanie Imci Pana Antoniego Trębickiego, posła inflantskiego na sesyi seymowey dnia 4 lutego 1791 względem kupna pałacu dla posła rossyjskiego“. Bez oddzielnéj karty tytułowéj, bez m. i r. 8-a, str. 14.

3. „Głos Imci Pana Antoniego Trębickiego, posła inflantskiego na sesyi seymowey dnia 28 marca 1791 miany przy podaniu projektu względem stanu mieyskiego“. Bez oddzielnéj karty tyt., bez m. i r. 4-o, str. 11.

4. „Głos Imci Pana Trębickiego, posła z x. inflantskiego przy decyzyi projektu o kandydatach do naywyższych magistratur po powiatach wybierać się mianych“. Bez oddzielnéj karty tyt., bez m. i r. 4-o, str. 7. Mowa ta, wypowiedziana na sesyi 7 listopada 1791 r., podaną została w całości w *Gazecie narodowéj i obcéj* z r. 1791, Nr. 90.

skowéj (1); wogóle jednak mniéj się odzywał w sejmie, zwrócił bowiem działalność swoją w kierunku innym. Z powodu knowań malkontentów i wymierzonych przeciwko ustawie 3 maja pism ich, Kołłątaj zorganizował siły do walki. Zaszczytną w niéj rolę odegrał Trębicki, jął téż za pióro ksiądz Franciszek-Ksawery Dmochowski, który wydatniejszą rolę polityczną rozpoczął dopiero teraz.

* * *

Na pograniczu Podlasia, w ziemi nurskiéj, kwitła od wieków z kilkunastu złożona wiosek okolica szlachecka Dmochy, przepełniona klejnotnym rodem Dmochowskich. Odszczepił się od pnia głównego Dmochowski z przydomkiem Warda, szukał lepszego losu na sąsiedniém Podlasiu i w Oprawczykach spłodził ośmioro dziatek, z pomiędzy których urodzony 2 grudnia 1762 r. Franciszek-Ksawery nie małą na różnych polach działalności odegrał rolę. Ze szkół drohickich szesnastoletni wyrostek przeszedł do głośnego nowicyatu pijarów w Podolińcu na Spiżu, w dwudziestym pierwszym roku życia studya ukończył i rozpoczął zawód nauczycielski, jako profesor klasy I w Radomiu. Ponieważ, według opinii prowincyała zakonu, przy zdrowiu dobrém był „zdatności nadmiernéj, pilności wielkiéj, obyczajów statecznych",—szczeble karyery nauczycielskiéj po różnych szkołach przebiegał szparko. W roku 1785 prowadzi klasę II w konwikcie warszawskim, w 1786 i 1787 uczy w Łomży wymowy i prawa, w 1788 tych samych przedmiotów powtórnie w Radomiu, od 1789 w Warszawie znowu—nie w konwikcie jednak, lecz w szkole wydziałowéj—prawa, nauki moralnéj i dziejów, a późniéj wymowy. Nie bez korzyści dla siebie wchodził wszędzie w obcowanie ludzi uczonych: takich miał kolegów po fachu, jak Szymon Bielski, Ignacy Zaborowski, Franciszek Siarczyński, Teodor Ostrowski i Waga (2).

Zawód autorski rozpoczął wcześnie: podczas pierwszego pobytu w Radomiu, w r. 1783 napisał i ogłosił książeczkę o księdzu Stanisławie Konarskim — zwięzły życiorys, przedstawiający zasługi

---

5. „Zdanie Imci Pana Antoniego Trębickiego, posła z x. inflantskiego na sesyi seymowey dnia 24 listopada 1791 roku w materyi królewszczyzn". Bez oddzielnéj karty tyt., bez m. i r. 4-o. Kart nlb. 6.

6. „Zdanie in turno Imci Pana Antoniego Trębickiego, posła inflantskiego w materyi deklaracyi względem manifestów przeciw seymowi i rządowi dnia 6 grudnia 1791 roku". Bez oddzielnéj karty tyt., bez m. i r. kart. nlb. 2.

(1) Gazeta nar. i obca z r. 1792, Nr. 35.

(2) Akta Komisyi edukacyjnéj.

wielkiego pijara w literaturze i na polu szkolnictwa (1). W tym właśnie czasie przedzierające się do nas z zachodu poglądy filozoficzne i wprowadzana przez Komisyę edukacyjną reforma dawały powód do podnoszenia różnych z dziedziny wychowania zagadnień, zaostrzały w sprawach pedagogicznych uwagę i zawiązywały dyskusyą. Na temat jednego z owych zagadnień—roussowskiego człowieka w stanie przyrody ogłosił ks. Michał Krajewski dziełko p. t. *Podolanka, wychowana w stanie natury, życie i przypadki swoje opisująca* (Warszawa, 1784. 8-a, str. 159), protestujące przeciwko sztucznym formom, w jakie cywilizacya ujęła obyczaje ludzkości, umysłowość i sferę jéj uczuć. Gdy z okazyi książki Krajewskiego bezimienny wystąpił z *Listem paryżanki do podolanki*,—Dmochowski do polemiki się wmieszał, napisał *List sandomierzanki do podolanki* (2), w którym, powątpiewając o korzyściach wychowania w stanie natury, wyśmiewa adresantkę, że używa niestosownych wyrażeń, nie ma uczuć religijnych, źle obserwuje itp. Pisemko jego zaostrzyło dyskusyą, wywołało: *Odpis męża podolanki na list sandomierzanki, podany do druku*, *List podolanki, wychowanéj w stanie natury, do swojéj przyjaciółki*, *Dyalog, czyli rozmowa podolanki z mężem* i tym podobne na ów temat broszury.

Nie podzielał Dmochowski pedagogicznych poglądów Roussa, nie miał jednakże wstrętu do panujących naówczas doktryn, przyswajał je sobie owszem gruntownie i w umysłach młodzieży zaszczepiał. W wydanéj w r. 1787 dla użytku szkolnego etyce p. t. *O cnotach towarzyskich i występkach im przeciwnych* (3) moralność z powijaków dogmatyzmu uwalniał i przez zerwanie z podkładem religijnym czynił ją świecką. Ludzie, według jego poglądu, są stworzeniami

---

(1) Pochwała Stanisława Hieronima Konarskiego. Z godłem: Takim to ludziom stawiano kolosy. I jego postać medalem i bustem Przejdzie w potomność przez snycerskie ciosy, Da poznać, że żył pod mądrym Augustem.—Woyc. Jakubowski na śmierć Konar. W Warszawie, 1783, w druk. JKMci i Rzplitéj u xx. Pijarów. 8-a, str. 134 (od str. 99 przypisy historyczne). Bałamutnie twierdzi anonim (*Pamiętniki Ochockiego*. Wilno, 1857, t. IV, str. 325), że Dmochowski zawód autorski rozpoczął dopiero w r. 1786 od ogłoszenia u Grölla jakichś w sprawie Dugrumowéj napisanych wierszyków, p. t. *Bajka: Pan w dobrach pana podstolego; orzeł i paw* itd.

(2) Drukowany w Krakowie 1784. 8-o, str. 20. Na ostatniéj stronicy: „30 lipca 1784 r. w Szczerzynie niedaleko Prawdy na trakcie. Co jest dla zabawki, zawdy Powinno być bliskiey prawdy".

(3) Z godłem: *Membra sumus corporis magni: Natura nos cognatos edidit: illius imperio, paratae sunt omnium manus, ad se invicem juvandos.* Seneca. Za pozwoleniem zwierzchności. W Warszawie, w druk. JKMci i PP. Komisyi eduk. narodowey, roku 1787. 8-a. Karta dedykacyi ks. Marcinowi Krajewskiemu, kan. katedr. płockiemu i str. 66. Wydanie drugie w tymże roku in 8-o, kart nlb. 2 i str. 49.

we wszystkiém „co do natury równemi... Człowiek nie rodzi się złym ani dobrym, ale przez edukacyę, przykład i nałóg, albo tym albo owym się staje“. Za najpierwsze prawo natury poczytuje samozachowawczość; za zasadę przy wymiarze postępków człowieka— sprawiedliwość. Te same rozwija poglądy, w rozwlekłéj zresztą i zbyt moralizującéj książeczce ku uczczeniu chorążego Karpia, że podczas głodu na Żmudzi ze stron odległych sprowadzane przez siebie zboże darmo lub po niższéj cenie oddawał (1). Raz tylko do walki z racyonalistyczną filozofią przyłożył rękę przez przekład dzieła pani De Genlis: *O religii uważaney jako jedyney szczęśliwości i prawdziwey filozofii zasadzie* (2). Na żądanie kasztelanowéj krakowskiéj, Lubomirskiéj, Dmochowskiemu, jako biegłemu we francuzczyźnie, poleciło tę robotę kolegium: rad nierad, musiał tłómacz zostać rzecznikiem grzechu pierworodnego, tajemnic, objawień i proroctw, całego aparatu katolicyzmu w przeciwstawieniu do poglądów deistów.

Wychowanie naukowe Dmochowskiego przypadło w téj dobie, kiedy dla umysłowego odrodzenia narodu Komisya edukacyjna pierwsze fundowała podstawy, kiedy filozofia zachodnia poczęła zmieniać treść myślenia, a stare obce i swojskie wzory piśmienne wyrabiały smak estetyczny i doskonaliły formę. Pod sterem piastunów tradycyi Konarskiego młody pijar wcześnie się obznajmił z dziełami Locke'a, Condillaka, Bacona i z nich zaczerpnął treści; wcześnie również wczytywał się w klasyków, od których przejął, jak się wyrażali współcześni, gust. Potrzebę uwzględniania tych wzorów wykładał w mowach, wygłaszanych przy doroczném otwarciu szkół (3); biegły w sztuce wierszowania sam je literaturze ojczystéj przyswajał. Już w r. 1785 ogłosił dedykowany Naruszewiczowi, przełożony z prozy francuzkiéj, a charakterystyczny przez wprowadzenie do

---

(1) Pochwała dobroczynności jegomości pana Karpia chorążego upitskiego. Z godłem: *Omnes bene dicunt, amant.* Terentius. Przez x. Dmochowskiego S. P. w szkołach łomżyńskich profesora wymowy. W Warszawie, w druk. Nadwor. JKMci i PP. Komisyi eduk. nar. R. 1787. 8-o, str. 23.

(2) Dzieło Jeymci Pani hrabiny De Genlis teraz markizowey De Syllery, napisane dla edukacyi synów xiążęcia aureljańskiego, z franc. na polski język przez x. Fr. Xaw. Dmochowskiego Schol: Piar. przełożone. W Warszawie, 1789. W druk. JKMci i Rzplitey u xx. Scholarum Piarum, 8-a, kart nlb. 6 i str. 364.

(3) *Oratio pro Instauratione studiorum in scholis varsaviensibus Scholarum Piarum habita a Francisco Dmochowski professore eloquentiae. A. D.* 1789. 8-a, bez m., str. 26. Mowa o potrzebie i sposobie uczenia się łaciny przy doroczném otwarciu szkół warszawskich xx. Scholarum Piarum, miana przez x. Fran. Xaw. Dmochowskiego, nauczyciela wymowy. W Warszawie, 1790. 8-a, str. 45.

tekstu Tarnowskich, Zamojskich, Czarneckich, Chodkiewiczów, Sobieskich *Sąd ostateczny* Iounga (1); w roku 1788 przypisaną królowi *Sztukę rymotwórczą*, z któréj rękopisu korzystali uczniowie klasy III w Radomiu; następnie pierwszą księgę *Iliady* (2). Po wydrukowaniu próby przekładu Homera, Trembecki tłómaczowi dodawał serca, do dalszego ciągu zachęcał i udzielał wskazówek. Mając robotę posuniętą znacznie, ogłosił Dmochowski prenumeratę na trzy tomy za złotych ośmnaście; pozyskał subskrybentów: w królu, synowcu jego księciu Stanisławie Poniatowskim, w Chreptowiczu, Czackim, kasztelanowéj krakowskiéj księżnie Jabłonowskiéj, Niemcewiczu, Ignacym i Stanisławie Potockich, księdzu Piramowiczu, Kopczyńskim, Wincentym Skrzetuskim, Józefie Szymanowskim, Franciszku Siarczyńskim, Trembeckim, Mikołaju Wolskim i na początku roku 1791 tom pierwszy, zawierający ksiąg ośm, ogłosił (3). Poprzedził go wyjętą z *Podróży młodego Anacharsysa do Grecyi* rozprawą o Homerze x. Barthelemi'ego, a dedykował Trembeckiemu „największemu poecie“.

Przez zdolność, pracowitość, ruchliwość i niezwykłą łatwość w pisaniu wybijał się tłómacz Homera na literacko naukową powagę, znalazł dostęp do towarzystwa ludzi uczonych i, jako biegły wykonawca układanych w ich kole programów, ceniony był wielce. Właśnie w początkach sejmu wielkiego grono uczonych węzłami organizacyi połączyło się ściśléj, by wspólnemi działać siłami, a zaliczony do stowarzyszenia Dmochowski w nieobojętnéj dla piśmiennictwa polskiego okazyi rolę odegrał znaczną.

Miała naówczas szkoła główna krakowska pomiędzy profesorami uczonych dziwaków, miała i ludzi tępych, pochopnych do pióra, a nieobznajmionych należycie z przedmiotem. Dziwakiem był filozofii doktor, konsyliarz nadworny JKMci, bibliotekarz szkoły głównéj koronnéj, starożytności profesor - uczony i poczciwy Jacek

---

(1) Sąd ostateczny. Poema Edwarda Iunga anglika po francuzku przez P. le Tourneur prozą, a z francuzkiego na polski język wierszem przełożone. Z godłem: *Sunt lachrymae rerum, et mentem mortalia tangunt.* Virgil. W Warszawie, w druk. Nadw. JKMci i PP. Kom. edukacyi nar. 1785. 4-o, str. 80.

(2) Iliada Homera. Xięga I. Przekładania Fran. Xaw. Dmochowskiego S. P. Nauczyciela wymowy w szkołach warszawskich. Z godłem: *Experiamur.* Bez m. i r., kart. nlb. 14.

(3) Iliada Homera. Przekładania Fran. Xaw. Dmochowski go Scholarum Piarum. Z godłem: *Resgestae Regumque, Ducumque et tristia bella, Quo scribi possent numero, monstravit Homerus.* Horat. Tom I. W Warszawie, 1791. W druk. JKMci i Rzplitéj u xx. Scholarum Piarum. 8-a, kart nlb. 8 i str. 278. O wyjściu donosi ogłoszenie w Supplemencie do Nr. 28 *Gazety warszawskiej* z d. 6 kwietnia 1791 r.; wzmiankę pochwalną zamieściła *Gazeta nar. i obca* z d. 13 lipca 1791 r., Nr. 56.

Przybylski, autor i tłómacz licznych dzieł wierszem i prozą, mający słabość do erudycyi i urabiania nowych wyrazów. W *Dyssertacyi o kunszcie pisania u starożytnych* przebrał uczony profesor miarę: niesłychaną w tekście zamieścił liczbę niezawsze potrzebnych cytat, mnóstwo, we wszystkich językach umarłych i żywych, dopisków i takiemi język wyrazami zbogacał, jak: pętłopis, chwytopis, przypomka (pugilares), spodopismo, znowodpisany, zakus, zaciek, wszechnica. Marcin Fijałkowski, vice-profesor kolegium moralnego, zastępujący katedrę literatury, pisał zawile i ciężko, drukowane mowy swoje kaleczył niepoprawnemi zwrotami („interesa ciążą na kraj..., byłeś nieszczęśliwym mieć zgruchotaną nogę"), a obok tego niezawsze w zgodzie był z sensem. Ksiądz Andrzej Trzciński, profesor fizyki eksperymentalnéj, w akademii krakowskiéj filozofii, w strasburskiéj medycyny doktor, kolegium fizycznego prezes, koadjutor kanonii, w dysertacyach: o napuszczaniu wody powietrzem kwaskowém, o trzęsieniu ziemi, używaniu lekarskiém elektryczności itp., obok niepoprawności języka zdradzał wysoką naukową naiwność, w przekładzie zaś bałamutnéj książeczki: *Spowiedź, czyli jawne wyznanie pana de Voltaire* (1778)—rzadkie nieuctwo. Poetę Lukrecyusza przemienił w tekście na Lukrecyę, damę rzymską i we własnéj nocie powoływał Tertuliana, Hieronima i Augustyna na dowód, że napisała poemat *De rerum natura*; z wiersza kardynała Polignac p. t. *Anty-Lukrecyusz*, zrobił Anty-Lukrecyę. Nieuctwo księdza Trzcińskiego zmuszało kolegów do zastępowania go w wykładzie fizyki; nie lubiano téż wynalazcy Lukrecyi za pyszałkostwo i pochop do intryg. Przebrała się miara, gdy w r. 1788 nie z wyboru, lecz za patentem Komisyi edukacyjnéj został prezesem kolegium fizycznego. Przeciwko nielegalnemu zajęciu urzędu profesorowie wystąpili do Komisyi z protestem, Trzciński zaś pozwał wszystkich przed sądy rektorskie i w manifeście, do akt podanym, szkalował. Z powodu tego kolegium fizyczne rozpoczęło z nim kroki prawne w sądach Komisyi nietylko o prezesostwo, lecz o niedbalstwo, niezdatność do prowadzenia wykładów, mącenie spokojności; oświadczyło gotowość poddania się najsurowszym karom w razie niedowiedzenia zarzutów. Ku wielkiemu zdziwieniu skarżących Komisya edukacyjna nadesłała rezolucyę, suspendującą profesorów kolegium fizycznego od pensyi, jeżeli się na wezwanie księdza Trzcińskiego nie stawią i nie uznają jego zwierzchnictwa (1).

Przywódcą opozycyi był profesor matematyki wyższéj i astronomii, Śniadecki. Kiedy Trzciński ogłosił w r. 1788 *Propozycye z fizyki*

(1) List Jana Śniadeckiego z d. 1 czerwca 1789 r. (Rękopis bibl. jagiellońskiéj, Nr. 3140).

dla kandydatów stanu akademickiego na popisy publiczne, szkoła matematyczna wydała skreślone przez Śniadeckiego uwagi, odmawiające tamtemu pismu wszelkiéj wartości. Podczas zatargu o prezesostwo w kolegium fizyczném Śniadecki sprawą kierował; gdy nadeszła nieprzychylna rezolucya Komisyi,—pisał do Chreptowicza, przedstawiając cały stan rzeczy i prosząc, iżby wyjednał wysłuchanie skarżących. Bywał w Warszawie i w bliskich zostawał z Kołłątajem stosunkach; za wpływem obu nastąpiło porozumienie uczonych warszawskich, zaniepokojonych dziwotworami językowemi, nieuctwem i arogancyą profesorów krakowskich. „Pośpiech w robocie, powiada członek owego koła, nieporadzenie się własnéj możności, nieznajomość prawideł, brak gustu, a szczególniéj bezkarność, gdy i najgorsze pismo nie lękało się rózgi krytyki, zawalały publiczność księgami, więcéj wstydu, niż sławy przynoszącemi polskim naukom. Dla wstrzymania téj nieprzyzwoitości, dla wprowadzenia na dobrą drogę umysłów, mogących użytecznie pracować, potrzeba było krytyki. W tym celu uformowało się towarzystwo" (1). Stanowili je: profesor matematyki ksiądz Kalasanty Łańcucki, Dmochowski, Franciszek Siarczyński, Śniadecki, Kołłątaj, profesor historyi kościelnéj w szkole głównéj krakowskiéj, ksiądz Józef Bogucicki, ksiądz Onufry Kopczyński, Józef Szymanowski i inni (2). Pierwszym owocem organizacyi była analiza pism: Fijałkowskiego, Przybylskiego i księdza Trzcińskiego. Ostatniego opracował Siarczyński, dwóch pierwszych Dmochowski, korektę przyjął Kopczyński (3). Z uformowanych przez Przybylskiego wyrazów ukuto tytuł i puszczono w świat *Zakus nad zaciekami wszechnicy krakowskiey, czyli uwagi nad niektóremi tey akademii dyssertacyami* (4).

Krytyka Siarczyńskiego niesłychanie była zjadliwą, lecz słuszną; Dmochowskiego umiarkowańszą, niezawsze jednak zasadną. Prawda, że Przybylski formował wyrazy dzikie, znajdują się jednak pomiędzy niemi i pomyślane szczęśliwie, uprawnione z czasem i w miejsce cudzoziemskich przyjęte przez naród; niepomiernie do-

---

(1) Nowy pamiętnik warszawski z r. 1801, t. I, str. 325.

(2) „Osoby, wchodzące w to, *Mocnym Związane Łańcuchem Dmuchnąwszy W Siarczysty* ogień *Snadno* przykrą zapaliły *Kłótnię:* Co stąd za *Korzyść?* co za *sława Bogu i Ludziom?*" (*Rozbiór Zakusu nad zaciekami*, str. 40). „*Schadzka Mocnym Związana Łańcuchem, Dmuchnąwszy W Siarczysty Kopeć Snadno* przykrą zapaliła kłótnię" (*Rozbiór uwag szkoły matematycznéj nad propozycyami fizycznemi*, str. 36). Wyrazy drukowane kursywą mają wskazywać początkowe litery nazwisk członków towarzystwa. O udziale Szymanowskiego pisze *Nowy pam. warsz.* z r. 1801, t. I, str. 325.

(3) Bielski. *Vita et scripta etc.*, str. 191, 201.

(4) W Warszawie, Dufour. Bez r. 8-a, str. 95. Na ostatniéj stronie: „Koniec części I".

piskami i cytatami szafował, nie uzasadnił przecież Dmochowski, że ich niestosownie używał, lub że z dykcyonarza, nie ze źródeł, czerpał swą wiedzę. Drażliwy Przybylski, pomimo tego, że krytyk dla nauki jego uznania swego bynajmniéj nie taił, rzucił mu w odpowiedzi *Heautoumastix*, *czyli bicz na siebie samego* (1). Nie wymieniając nazwisk, opowiadał uszczypliwie wierszami o zawiązaniu i posiedzeniu towarzystwa w Warszawie; w polemicznych dopiskach odzierał krytyka ze czci i sławy; w tekście, nie dla rymu bynajmniéj, nazwał go podłym. Zapowiedział w końcu jedenaście jeszcze pieśni na ten sam temat i podawał ich program. Dmochowski postanowił Przybylskiego w kontynuowaniu tak długiego poematu wyręczyć: wziąwszy treść siódméj pieśni („Obudzenie się, kręcę bicz"), napisał *Urywek z bicza kręconego w Krakowie z okazyi Zakusu nad zaciekami wszechnicy krakowskiey* (2),—zjadliwą na profesora satyrę. Ośmieszony Przybylski, widząc, że publiczność jest za Dmochowskim i niechcąc w nierównéj co do dowcipu walce osoby swojéj znowu narażać,—zamiast drukowania zapowiedzianych pieśni uciekł się do pomocy przyjaciół. Jakoż jeden z nich w *Uwagach z przyczyny Zakusu nad zaciekami wszechnicy krakowskiey* (Bez m. i r. 8-a, str. 31) dość szczęśliwie w obronie jego się stawiał. Niefortunnie na własną rękę bronił się Trzciński w *Rozbiorze Zakusu nad zaciekami wszechnicy krakowskiey* (3): ku rehabilitacyi swéj sławy tyle tylko potrafił przytoczyć, że król nawet czytania jednéj z krytykowanych dyssertacyi słuchał łaskawie, przyjął jéj dedykacyą i autora obdarzył medalem. Odwołuje się do sądu powszechności i świadectwa uczniów; dla poparcia uczoności swojéj zapowiada szereg dzieł nowych i dla zawstydzenia krytyka przypomina *Heautoumastix*. W innem piśmie (4) z powodu uwag nad jego *Propozycyami* fizycznémi rozprawia się ze Śniadeckim, za *Urywek z bicza* chłoszcze Dmochowskiego, Kopczyńskiego za korektę *Zakusu*. Fijałkowski skruszył kopią najpóźniéj, bo dopiero w r. 1790 w notach do rozprawki *O gieniuszu, guście, wymowie i tłómaczeniu* (Kraków, nakładem autora, 8-a, str. 172). Dwa *Listy o gu-*

---

(1) W Krakowie, w druk. Szkoły głównéj krakowskiéj. Roku 1789 w miesiącu wrześniu. 8-a, str. 46.

(2) W Warszawie, Dufour, 1789. 8-a, str. 18.

(3) Przez przyjaciela prawdy. Warszawa, Dufour. Bez r. 8-a, str. 100. Na ostatniéj stronie: „Koniec części I".

(4) Rozbiór uwag szkoły matematycznéj nad propozycyami fizycznemi, gdzie się mieści usprawiedliwienie obwinionego od téj szkoły, żądanie jego i rozsądek nad nowém pismem, którego tytuł: Urywek z bicza kręconego w Krakowie. Przez przyjaciela prawdy. W Warszawie, Dufour, 1789. 8-a, str. 56.

ście członka towarzystwa krytycznego, Józefa Szymanowskiego, stanowiły finał téj walki.

Nie przeszkadzało to wszystko Dmochowskiemu i w polityce jaki—taki brać udział. Był współpracownikiem Kołłątaja przy wydawnictwie *Listów* (1); z okazyi uchwalenia stutysiącznéj armii z ładnym wystąpił wierszem (2); układał dla posłów głosy i mowy (3), interesował się sprawami kuźnicy i klubu. Na miejscu zmarłego kanonika Jezierskiego postanowił Kołłątaj osadzić ciętego autora *Urywka z bicza*. Za wpływem marszałków sejmowych, oraz Ignacego i Stanisława Potockich wyjednał u pijarów uwolnienie Dmochowskiego od obowiązków, które jako na członku zgromadzenia ciążyły; na podstawie przysługującego prymasom prawa dyspensowania zakonników *ad obtinenda beneficia saecularia*, wyrobił mu intratne probostwo w Kole (4). 25 lipca 1791 roku ostatni raz Dmochowski przemawiał na popisie publicznym szkół pijarskich przy rozdawaniu nadesłanych przez króla medalów (5). Zerwawszy z zawodem, któremu zaledwie lat ośm poświęcił, ulokował na probostwie zastępcę, w *Odzie do sprawiedliwości* wynurzył dla protektora wdzięczność i rozpoczął pracę w kuźnicy (6). Było to wtenczas, kiedy malkontenci przeciwko ustawie 3 maja przygotowywali swój atak.

2.

Jednocześnie z wieściami o zamachach, knowanych w Jassach, zjawiły się w województwach ukraińskich rozrzucane po dworach szlacheckich *Dyzmy Bonczy Tomaszewskiego komisarza cywilno-wojskowego województwa bracławskiego nad konstytucyą i rewolucyą dnia 3 maja roku 1791 uwagi* (Bez m. i r. 8° str. 80). „Władza najwyższa krajowa, gdy jest w ogóle wolnego narodu, w tej-to szlachcie, która, mniejsze i większe po prowincyach dziedzicząc i dzierżąc części ziemi ojczystéj, swoją siłą, swemi produktami, a z nich dobrowolnie przyjętemi na siebie podatkami, jest centralną mocą rzeczypospolitéj;—kto przeciwko takowéj władzy spiskiem, a dopieroż rebelią

(1) Pamiętnik podolanina przy Pam. Ochockiego, t. IV, str. 326. Wiadomość pamiętnikarza wzmacnia wyznanie Kołłątaja (*Listy*. I, wstęp), że ze współpracownictwa różnych osób korzystał.

(2) Do stanów- z okoliczności uchwały sto tysięcy wojska. Z godłem: *Arma viri! ferte arma*. Virgil. Bez oddzielnéj karty tyt., bez m. i r. 4-a, kart nlb. 2.

(3) Pamiętnik podolanina, *l. c.* IV. str. 326.

(4) Pamiętnik podolanina, *l. c.* IV, str. 327. Listy Hugona Kołłątaja, pisane z emigracyi. Poznań, 1872. II. 76. Wolski *l. c.*, str. 94.

(5) Suppl. do Nr 60 Gazety warszawskiéj z r. 1791. (6) Wolski *l. c.*, str. 194.

otwartą. na nadwyrężenie, a tém więcéj na zgwałcenie jéj udzielności i powagi się targa,—temsamém wzburzycielem spokojności publicznéj i zdrajcą narodu być musi.“ Z takiego punktu widzenia w ustawie 3-o maja upatruje Tomaszewski wzburzenie spokojności publicznéj i zdradę, wywrócenie idealnego w Polsce porządku z krzywdą dla stanowiących naród szlachciców. Wprawdzie ustawa zapewnia szlachcie nadane jéj przez królów przywileje i prawa,— „wszystkie swobody, wolności i prerogatywy w życiu prywatném;“ zawarła jednak możność przysporzenia nowych zdobyczy przez zniesienie elekcyi i pactów conventów, skrzywdziła uboższą przez usunięcie od udziału w sejmikach. W prawie o miastach nie chodziło partyi rewolucyjnéj o wolności mieszczaństwa, lecz o pozyskanie go do walki ze szlachtą; w artykule czwartym ustawy o zaostrzenie w chłopstwie pragnienia ulg różnych i podburzenie przeciwko panom. Zniesienie konfederacyi, zaprowadzenie sukcesyi, nowa organizacya władzy wykonawczéj i przepisy o wojsku niemają innego celu, jak uwiecznienie niewoli; skasowanie przeciwnych konstytucyi praw dawnych godném jest despotyzmu beja Algieru lub cesarza Marokko. „O władzo ogromna! drży już przed tobą naród, uginając przed twoim majestatem kolano i kark swój na nagotowane pochylając jarzmo; posępnością otoczony Polak... przeklina sejm dzisiejszy, a widząc się w tak zdradziecko włożonych na siebie więzach, złorzeczy własnéj ojczyźnie.“ Tak niegodziwego przewrotu dokonała garść ludzi, którzy przez zmianę rządu zysku jedynie i wyniesienia szukają. W pałacu radziwiłłowskim, siedlisku „wszystkich i najgorszych nawet nowości“ rewolucyjny uknuli spisek, wskrzesili proskrypcye Maryusza i Sulli; w dniu 3 maja gotowi byli na uśmiercenie małéj garstki oponujących się posłów. „Po przyległych zamku ulicach snują się rozhukanego pospólstwa kupy; dziedziniec napełniony uzbrojonym ludem, oczekującym niecierpliwie polskiego Katyliny skinienia. Izba sejmowa napchana tłumem wszelkiego rodzaju arbitrów... Duch partyi, duch rewolucyi nad spokojnéj wolności umysłami się wznosi, grozi wejrzeniem i ręką... Czołga się na klęczkach do tronu pełen cnoty i gorliwości poseł, odmówionego po kilkakroć ze łzami żebrząc głosu...; wznoszą się inne, ustawicznym zagłuszane hukiem, przy polskich prawach obstawania...“ W całym procesie przeprowadzenia ustawy 3 maja widzi Tomaszewski podstęp i gwałt, spiski i żądzę krwi. „Podaj—woła—téj prostéj i szczeréj prawdy pismo, nieszczęśliwy ojcze (gdy usta twoje żal krępować będzie), drżącą ręką oczom twojego małego syna; niech się w niém z młodości uczy, czego może dokazać na ludziach wzgarda religii i pośmiewisko cnót moralnych.“

Przeciwko patetycznéj i nierozsądnéj, a szkodliwéj książeczce wystąpił Trębicki. Jego *Odpowiedź autorowi prawdziwemu uwag Dyzmy Bonczy Tomaszewskiego nad konstytucyą i rewolucyą dnia 3 maja* (1) miała na celu zbicie kalumnii, rzuconych na klub i obronę ustawy, w którą najniesłuszniéj wmawiano despotyzm. W przeddzień 3 maja głoszono o mających nastąpić zamachach na życie króla, marszłka sejmowego i przychylnych ustawie posłów,—byłoby nieostrożnością, nagany godną, żeby się nie przygotować na wszelki od niechętnych przypadek. Przedsięwzięto środki nie dla gwałtu, lecz przeciw niemu, w celu niedopuszczenia najmiejszego ze strony przeciwnéj zuchwalstwa. „Każdy z posłów, to ostrzegany, to grożony, aby się nie znajdował na sesyi..., dla bezpieczeństwa swojéj osoby przyszedł z przyjacielem jednym i drugim, aby wszelkiéj napaści dał odpór. Prawda, iż z ludu miejskiego było niemało osób na gankach, ale ci od sprawy swojéj na sejmie przywykli obrad nie odstępować. Prawda, iż tłum niezmierny był arbitrów; ale kogóż nie przyprowadziła ciekawość tak ważnéj sesyi?.. Licznie było zgromadzone pospólstwo na dziedzińcu zamkowym,—ale czy było zbrojne? byłoż namówione przeciwko komu? Radosne tylko wiwatu nie wydawałoż okrzyki?... Dla tego, że pospólstwo dziedziniec zamkowy, dla tego, że arbitrowie izbę sejmową napełnili,—nie byłoż oponujących się konstytucyi, przymuszonoż z nich którego, nie już uczynkiem, nie już groźbą, ale namową, ale słowem nawet do odstąpienia opozycyi i zezwolenia na rząd. Któregoż sejmującego nie przypuszczono do obrad, lub któregoż z nich wyparto? Czyliż dla tego był gwałt, że kilkunastu przeciwko stu kilkudziesiąt sejmującym bezskutecznie czyniło?" Mocnemi argumentami dowodzi, że konstytucya 3 maja wymierzoną została nie ku szkodzie szlachcica, lecz przeciw panom i nie przypuszcza, żeby ziemianin, którego ustawa w szczególną wzięła opiekę, mógł na nią sarkać wbrew interesowi własnemu, a w widokach magnatów. Za istotnego autora *Uwag* ma pana, który pod nazwisko Tomaszewskiego się podszył; pismo jego uważa za wybieg dla wywołania rokoszu, odzyskania utraconéj nad szlachtą władzy i dawnego znaczenia. „Lecz chyba dusza Polaka ogołocona zostanie ze szlachetnego swego uczucia, chyba wolność i równość prawdziwa jéj obmierznie, chyba szczęśliwość nienawistną jéj się stanie, — wtedy dopiero nikczemne arystokratów nadzieje skutek swój wezmą." Zakończył Trębicki książkę ustępem z mowy, 24 listopada 1791 r. wygłoszonéj w materyi królew-

---

(1) Bez m. i r. 8-a, kartka nlb. przedmowy „Do moich współziomków i przychylnych i nieżyczliwych konstytucyi 3 maja" i str. 159. O wyjściu donosi Suppl. do N. 9 *Gazety warszawskiéj* z d. 1 lutego 1792 r. Sprzedawano ją w drukarniach po zł. 3.

szczyzn. „Los przyszły, równie jak i teraźniejszy ojczyzny zawisł od cnoty i od charakteru narodu. Zechce być wolnym, rządnym i niepodległym, — będzie wybierał nieskazitelnych, oświeconych i podle praw reprezentantów swoich. Nie puści żadnego występku i w nikim bez kary... Niéma się niczego ani od swoich, ani od obcych obawiać królów. Zechce być podłym, przeniesie prywatę i przekupstwo nad dobro kraju, pójdzie-li za instynktem zwodników przewrotnych, którym rząd dobry, a nadewszystko tęgi w egzekucyi niemiły,—choćby przy konstytucyi od nieba danéj, choćby przy prawach od samych Solonów i Likurgów napisanych, będzie nieszczęśliwym, nikczemnym i niewolniczym."

Dla systematycznéj i gruntownéj obrony ustawy, jędrna i pełna zapału *Odpowiedź* należy do najlepszych pism stronnictwa reformy (1). Biegły w prawie uczestnik sejmu wielkiego rozległemi do walki na tém polu rozporządzał środkami.

Ogłosił ktoś wkrótce pismo *O konstytucyi trzeciego maja roku 1791 do JWW. Zaleskiego trockiego y Matuszewica brzeskiego litewskich posłów* (Bez m. i r. 8⁰, str. 73). Nie potępiając ustawy ryczałtem, wykazywał w niéj autor ułomności i braki: nie znalazł zapewnionéj swobody słowa, dużo miał obaw z powodu organizacyi władzy wykonawczéj, zjednoczonéj w osobie króla. Że powierzono panującemu edukacyą, wojsko, sprawy zagraniczne, skarb, policyą i *jus agratiandi*, obawia się, aby w celu powiększenia swéj władzy wychowaniu młodzieży fałszywego nie nadał kierunku, aby w widokach własnych nie użył armii, nie zawiązywał z ościennemi państwami szkodliwych dla rzeczypospolitéj stosunków, nie nadużywał prawa ułaskawiania itp. Środki konstytucyjne, mające służyć ku zabezpieczeniu wolności: przysięga króla, odpowiedzialność ministrów, siła i energia narodu,—zdaniem bezimiennego zrównoważyć niebezpieczeństwa nie mogą. Przysięgi się łamią, ministrowie są serwilistami królów, siłę moralną narodu przez fałszywy kierunek wychowania można spaczyć lub zniszczyć.

O autorstwo niedołężnego pod względem logiki i formy pisemka posądzano Tadeusza Czackiego i szambelana Wolskiego, tłómacza *Wesela Figara*, członka deputacyi do ułożenia kodeksów dla Litwy. Idąc za tém mniemaniem, Dmochowski wydał bezimiennie: *Do JJ. WW. Panów Tadeusza Czackiego starosty nowogrodzkiego y Mikołaja Wolskiego szambelana J. K. Mci* z *okoliczności wydanego pi-*

(1) Ogłosił jeszcze Trębicki: *Do moich współziomków i przychylnych i nieżyczliwych konstytucyi 3 maja 1791* (8 a, str. XXIV, 5 i 102), broszury téj jednak żadna z dostępnych nam bibliotek nie posiada.

sma o konstytucyi trzeciego maja JJ. WW. Zaleskiemu posłowi trockiemu i Matuszewicowi posłowi brzeskiemu—litewskiemu poświęconego (Bez m. i r. 8°, str. 31). Przez ironję wzywał Czackiego i Wolskiego na sędziów sprawy i jednocześnie do zrozumienia dawał, że oni są autorami przeciwnéj ustawie broszury. Z właściwą sobie łatwością Dmochowski zarzuty bezimiennego zbija tłómacząc, że konstytucya nie oddała królowi ani edukacyi, ani wojska, ani skarbu, bo te w osobnych magistraturach się mieszczą, lecz tylko egzekucyę praw mu zleciła. Nie może sam panujący przepisywać instrukcyi i tego wszystkiego, co się ściąga do fizycznego i moralnego ukształcenia człowieka,—czynności te bowiem należą do Komisyi edukacyjnéj, wybranéj przez naród; możności zawładnięcia wojskiem zapobiegają przepisy, określające sposób obsadzania wakansów; nie masz obawy, żeby król z ościennemi państwami szkodliwe dla rzeczypospolitéj zawiązywał stosunki, skoro według praw nic z zagranicą stanowić nie może bez straży i sejmu. Swobodę słowa zabezpieczają opisy Komisyi policyi i straży: „można w Polsce wolno myśléć i pisać; i nietylko pisać, ale i źle pisać wolno,—ma autor wielki tego dowód na swojém dziele.“ Niemało argumentów dostarczyła Dmochowskiemu ogłoszona współcześnie *Na pismo, któremu napis*: *O konstytucyi 3 maja 1791 do JWW. Zaleskiego trockiego i Matuszewica brzeskiego litewskich posłów odpowiedź* (1), najobficiéj jednak wojował satyrą. W powodzi złośliwych dowcipów gubił niekiedy osnowę krytykowanéj broszury, zapominał o potrzebie atakowania niektórych kwestyi, postawionych przez anonima dość zręcznie.

Z dotkniętych Czacki przebywał na wsi i na razie o niczém nie wiedział, Wolski zaś przeciwko posądzeniom ogłosił protest (2). W *Oświadczeniu się* oznajmia swoją dla konstytucyi przychylność; mowy Wawrzeckiego i Strojnowskiego, pisma Dłuskiego i ową znaną Dmochowskiemu *Odpowiedź* stawia za wzór prowadzenia sporów politycznych, anonima zaś chłoszcze za nieprzystojność i fałszywie wymierzoną ironję. Nie poprzestając na tém, rychło potém tenże sam Wolski napisał: *Do W. J. Xiędza Franciszka Xawerego Dmochowskiego Schl. Piar.* z *okoliczności wydanego pisma pod tytułem*: *Do*

---

(1) Z godłem: *Quae in aliis libertas est, in aliis licentia vocatur.* Terentius. Bez m. i r. 8-a, str. 36.

(2) Oświadczenie się względem pisma, któremu napis: Do JJ. WW. Ichmość Panów Tadeusza Czackiego starosty nowogrodzkiego y Mikołaja Wolskiego szambelana J. K. Mci z okoliczności wydanego pisma o konstytucyi trzeciego maja JJ. WW. Zaleskiemu posłowi trockiemu y Matuszewicowi posłowi brzeskiemu litewskiemu poświęconego. Bez m. i r. 4°, karta nlb.

JJ. WW. Imc. Panów Tadeusza Czackiego star. nowogrodzkiego y Mikołaja Wolskiego szambelana J. K. Mci (Bez m. i r. 8⁰ str. 31). Okadziwszy pochwałami autora *Zakusu*, *urywka z bicza* i tłómacza Homera, wzywa go z ironią na sędziego sprawy i jednocześnie daje do zrozumienia, że on napisał broszurę, przeciwko któréj oświadczał się Wolski. Karci go wyjątkami *Urywka z bicza* i *Iljady* za drwiny, któremi w sporze o konstytucyę tak niepowściągliwie szafował, zarzuca mu płytkość,—z okazyi utajonego korzystania z *Odpowiedzi*, literacki rabunek; nie szczędzi grubijaństw i obelg.

Wspór zacietrzewionych poetów wdał się Trembecki, puściwszy w obieg prozą pisany *Sen czyli sąd*. Wobec Bielawskiego, zastępcy Apollina na dwugrzbietnym Parnasie, toczy się walka. „Z jednéj strony Homer, acz ślepy, swego wprowadza ucznia. Postać jego nie jest wojenna, suche i wyniosłe ciało czarna i długa okrywa szata, wchodzi jednak krokiem śmiałym, w jedném ręku trzymając pióro, w drugiem bicz potężny, którym zdala miga i chłosta. Z drugiéj figlarny Figaro, wór w ręku trzymając, wprowadza swego tłómacza. Zbroja, prócz tyłu, całe okrywa ciało krótkiego rycerza. Ma pióro w jedném ręku, a w drugiém foliał niezmierny z napisem *Codex*, którym się jak tarczą zasłania. Mierzą się długo oczyma śmieli rycerze, poruszają się oba. Przyskakuje pierwszy uczeń Homera,—nie cofa się przeciwnik; a lubo tamten biczem smaga potężnie, razy jego niezmiernym z przodu zasłania foliałem Figara przyjaciel. Trwa długo niepewna walka wśród cudów odwagi: godzą się ostrzejszemi nad miecz piórami, które się nakoniec kruszą w ich ręku. Wtedy usuwa się tłómacz Homera, by dzielniéj zręcznym zaciął biczem; naciera na niego przeciwnik i niezmiernym godzi foljałem, myśląc go swym przywalić ciężarem. Lecz Homerczyk zręcznie w bok odskakuje, a nieprzyjaciel jego, waga księgi i zbroi i ciała pociągniony, upada. Jęknęła ziemia pod tym ogromnym ciężarem. Wnet Greczyn, tył ciała przeciwnika bezbronnym spostrzegłszy, okrutnym go biczem smaga. Huk równy grzmotowi rozlega się po brzegach Wisły, a echo po parnaskich dolinach powtarza go i ku wierzchołkowi niesie. Wtém lekki Figaro przypada i na znajomą część ciała przykłada pismo, na którego jest czele: *Oświadczenie*; goją się natychmiast rany, a wspaniały zwycięzca bicz swój strzaskany daleko rzuca. Wtedy powstaje przeciwnik jego, uchwyciwszy torbę dzieł własnych Homerczyka, którą mu zręczny podał Figaro, mści się nad bezbronnym zwycięzcą klęski swéj, zewsząd go guzami okrywa. Nieprędko się ślepy postrzegł Homer i niejednego siniaka złapał uczeń jego, nim go okrył płaszczem i lirą swoją.

Wstrzymał ten widok szalony zapęd nieprzyjaciela, lecz nie ugasił chęci zemsty. „Przysięgam, rzecze, przez ten foliał praw niezmierny, który ma uwiecznić imię moje, że mojem piórem, że z mojéj zginiesz ręki; a jeśli cię piórem zabić nie zdołam, to cię utopić w atramencie potrafię.“

„Chełpliwy i trwożliwy przeciwniku!—rzecze na to Homerczyk: z tęsknoty chyba zginie ten, kto cię czytać będzie. Co do mnie, moją walcząc mnie bronią, dowiodłeś, że twoja ku mnie zbyt tępa. Strzaskałem bicz mój potężny, wnet tęższy sporządzić potrafię, lecz ty z piasku uwić go nie zdołasz. Porzuć przechwałki, jeśli śmiesz—wróć do równéj z bezbronnym bitwy.“

Na te słowa jak dwa lwy, dwa byki, albo dwa koguty, których miłość i sława bodzie, rwą się do siebie zapalczywi nieprzyjaciele i krwawe chcą odnowić mordy, kiedy przyjaciel bogów i ludzi, Merkury, na lekkiéj chmurze spuszcza się z wierzchołka Parnasu i złotą różczką swoją już się tarmoszących rozdziela rycerzy.

„Niegodną uczonych porzućcie utarczkę; z rozkazu faworyta Apollina sprawę waszą do parnasowych wywołuję sądów.“

To rzekłszy Merkury, rywalów chwały jedną otoczywszy chmurą, wznosi się wraz z nimi i wśród Parnasu przed zastępcą Apollina stawia... Struchleli oba przed ogromnem sędziego obliczem: on trwogę ich uśmierza, łagodząc twarz poważną i z wdzięcznym mówiąc uśmiechem: „Żałuję cię, sewilski tłómaczu, jeżeliś się do nierozsądnego przyłożył pisma, co ani obywatela, ani pisarza nie zdobi. Chwalę w tobie, Homerczyku, dobréj sprawy obrońcę, chwalę twój dowcip, chwalę żywość obrazów i po mnie pierwszym sądzę cię być malarzem. Lecz naucz się odemnie przygaszać ostrość cieniów twéj krytyki; a jeżeli możesz, choć część dodaj téj słodyczy twoim obrazom, któremi ręka wdzięków moje zdobi. Krótkie *Oświadczenie* twoje, sewilczyku, tak jest rozsądném, że mu wady języka polskiego przebaczam. Nim jednak ten foliał niezmierny, lecz dotąd próżny rozpoczniesz, udaj się do gramatyki i pogódź z nią ojczyste prawa. Nie pytam się, czy to pismo do twego rywala jest twojém. Przyznać się do niego bez wstydu nie możesz. Jeśli mu żywą ostrość jego wymawiasz, on cię o barbarzyńskie grubiaństwo oskarża. Nie doszedłeś go dowcipem, przeszedłeś obelgą. Złoto się w jego obrazach znajduje,—pędzel twój błota jest pełny“ (1).

---

(1) Poezye Trembeckiego. Lipsk, 1836. I. 175,193. Oprócz broszur, w walce z przeciwnikami konstytucyi używała prawdopodobnie kuźnica i narzędzi postrachu. Według Bulhakowa (Kalinka. *Ostatnie lata pan. St. Augusta.* Poznań, 1868, II. 374) rozlepiano po rogach ulic i w miejscach publicznych ogłoszenia „jakiegoś towarzystwa pa-

Szybko płynące wypadki przyniosły konfederacyą targowicką. deklaracyą Bułhakowa, limitę sejmu, wojnę i posiedzenie rady królewskiéj z 23 lipca. Kiedy Kazimierz Sapieha, zebrawszy gromadę ludu, urządzał w mieście i ogrodzie saskim demonstracyą przeciw postępkowi Stanisława Augusta (1),—Kołłątaj, zostawiwszy w ręku barona Strassera akces do Targowicy, w nocy z 24 na 25 lipca Warszawę opuścił. Polecił dla owego akcesu zachować miejsce w metryce, publikować go kazał w konieczném tylko potrzebie. Z Warmbrunn i Lipska prowadził negocyacye względem przystąpienia do związku, byleby „w celu uratowania wielu dobrych rzeczy"—do udziału w jego robotach należał i nie utracił urzędu. Tymczasem jeneralność, podejrzywając pobudki, dla których ksiądz podkanclerzy okazywał gotowość akcesu, 2 sierpnia pozwała go przed swoje sądy, uniwersałem zaś z 6 sierpnia wyłączyła pozwanych od urzędów w konfederacyi i zasiadania na sejmie. Użyła więc konfederacya wszystkich sposobów, aby Kołłątaj do związku należéć nie mógł i aby nie był uczestnikiem jéj robót (2). Wyparty w ten sposób z kraju, oczekiwał Kołłątaj zagranicą dalszych wypadków, bawiąc kolejno: w Warmbrunn, Lipsku, Karlsbadzie i Dreźnie.

Stanąwszy u władzy, Targowica całą zaciekłość swoją zwróciła przeciwko klubowi i jego wodzom. Ostrzeżony przed zemstą Szymona Kossakowskiego, na pierwszą wiadomość o przystąpieniu do konfederacyi króla, Trębicki z żoną i dwojgiem dzieci uciekł na Śląsk. Pomimo kilkakrotnych ordynansów od władzy, żeby jako regent Komisyi wojskowéj litewskiéj do pełnienia obowiązków się stawił,—z obawy prześladowań powrócić nie chciał, owszem ze Świdnicy na ręce jednego z przyjaciół przesłał królowi rezygnacyę urzędu, któréj jednak przyjąć nie chciano (3). Dla zdyskredytowania dążności klubu, twórcę jego, Kołłątaja, oskarżała konfederacya w pozwie z 2 sierpnia o machinacye przeciw wolności, podburzanie mieszczan i włościan, o przechwałki, że dopóty nie przestanie pisać przeciwko szlachcie, dopóki na jéj karkach chłopskich siekier nie ujrzy (4). Widziała Targowica w klubistach wyznawców „przeklętych maksym filozoficznych" i... „praw nowo z głowy podłéj w koncepta utworzo-

---

tryotycznego," grożącego śmiercią każdemu, ktoby na niekorzyść ustawy pisał lub mówił. Zapewniały owe ogłoszenia, że zabójca nietylko nie będzie karanym, ale owszem bogatą otrzyma nagrodę.

(1) Listy H. Kołłątaja pisane z emigracyi. I. 1,5.

(2) Tamże. I, str. 9,24,31,37.

(3) Trębicki. Do publiczności.

(4) Listy H. Kołłątaja. I. 112,26,66.

nych człowieka"; nieprzyjaciół rządu, społeczności ludzkiéj i ołtarza, burzycieli i „zgubców" (1). Przypisywała takie zdrożności wzorom Paryża i wpływowi przebywających w Warszawie Francuzów;—po całym świecie głoszono, że członkiem klubu warszawskiego był poseł dworu wersalskiego w Polsce, Marie Descorches (2). Dla zabezpieczenia społeczeństwa od jakubińskiéj zarazy „schadzki szkodliwe i buntownicze" zamknięto, klubistów narówni ze szlachtą, która prawo miejskie przyjęła, pozbawiła konfederacya udziału w obradach publicznych i prawa zajmowania urzędów (3). Nie przewidywała, że roztrąbiany przez nią jakubinizm, którego w rzeczywistości nie było, stanie się dla mocarstw ościennych jednym z motywów, usprawiedliwiających powtórny rozbiór; że wobec tego sama własnym kalumniom zmuszona będzie zaprzeczać.

Z ludzi Kołłątaja, regent asesoryi Szczurowski za odmówienie akcesu do konfederacyi rezolucyą z 29 października 1792 r. pozbawiony został posady i pensyi (4). Starszy Mirosławski, Maciej, od r. 1790 audytor w randze kapitana artyleryi przy brygadzie wołyńskiéj (5), przebywał czas jakiś przy Kołłątaju w Warmbrunn i Lipsku, po powrocie do kraju w początkach r. 1793 odkomenderowany został przez władzę do Morachwy, a późniéj znalazł się w kancelaryi targowickiego hetmana, Ożarowskiego i mieszkał w Grodnie (6). Szczurowskiemu odmówienie akcesu Kołłątaj pochwalał, bo—chociażby nawet do konfederacyi przystąpił i wymaganą złożył przysięgę,—„nie utrzymałby się przy swym urzędzie." „Cudowna metamorfoza" Mirosławskiego, znajdowanie się przy Ożarowskim, nie zadziwiła go wcale: „człowiek ubogi, a opuszczony od tych, u których swoje zasługi położył, nie może przebierać w sposobie do życia" (7). Powrócił także po kilkomiesięcznym pobycie na Śląsku Trębicki. Nalegany przez przyjaciół i krewnych, po wyczerpaniu środków do życia, uprzedzając powrót 20 października 1792 r. posłał z Wrocławia do Brześcia litewskiego swój akces, w którym więcéj było wyrzutów, niż uległości i skruchy. „Mniemałem dotąd—pisał, iż jeden tylko był sposób zrobienia prawdziwie wolnym, rządnym i poważanym nasz naród: dając mu taką konstytucyą, jaka na dniu 3 maja

---

(1) Zbiur wszystkich druków konf. targowickiey y wileńskiey. I, 16.
(2) Gazeta nar. i obca z r. 1792, N. 22.
(3) Zbiur. I. 215.
(4) Gazeta nar. i obca z r. 1792, N. 90.
(5) Pamiętniki S. Bukara. Drezno, 1871, str. 45, 46, 48.
(6) Listy H. Kołłątaja. I. 18,168,170. II. 28,114.
(7) Tamże. I. 130. II. 109.

r. 1791 utworzoną została. Mniemałem nadto, iż ta konstytucya była jak najdogodniejsza moim współziomkom, kiedy ci jednomyślnie, wolnie i swobodnie przyjęli ją po wszystkich Polski zakątach z ukontentowaniem, a nawet z wdzięcznością. W takowém przekonaniu, a przekonaniu szczerém i od żadnéj niepodległem względności, byłem przyjacielem konstytucyi 3 maja, byłem jéj nawet najżarliwszym obrońcą przeciwko pociskom i zarzutom na nią, a bardziéj jéj twórcom wymierzonym, które przy aprobacie od całego narodu zdawały się być tylko prywatnéj niechęci grotem. Odpis mój na książkę rozrzuconą w Polsce pod imieniem Dyzmy Tomaszewskiego jest najlepszym świadectwem, czylim go do przekonania, czyli do złudzenia mych współziomków kierował, czyli zatém czułém dobroć konstytucyi 3 maja, czyli tylko udawałem to czucie. Jaka mnie jeszcze uwaga i ta pryncypalna przywiodła do tego odpisu: naród jest szczęśliwy wtedy tylko, gdy jest spokojny i podług swych praw rządny. Naj większą jego klęską wzburzenie. Kiedyż tę książeczkę rozrzucono? Wtedy, kiedy naród największéj spokojności doznawał. Styl i cel owéj książeczki do insurekcyi cały naród zagrzewał. Jaki skutek miał być téj insurekcyi?—któż nie przewidywał. Któryż Polak, żądający i życzący swéj ojczyźnie pokoju, nie był w obowiązku cios taki odwrócić od swego kraju? Niechący od nikogo być wyprzedzonym w téj świętéj powinności, w lot ją uskuteczniłem. Pytam, gdyby cóś podobnego było dziś napisano, tysiąc piór i tysiąc orężów niepodniosłożby się na autora, chcącego gwałcić i wzruszać spokojność, któréj ojczyzna zdaje się doznawać. Jam w tymże znajdował się przypadku, przekonany będąc, iż cokolwiek większość narodu lub jego jednomyślność utwarza, partykularnéj osobie przeciwko temu nie należy powstawać; miotać na sejm, na władzę legalną i jedyną narodu jednemu partykularnemu najczarniejsze obelgi zdawało mi się i było w istocie zdrożnością.“

Tego rodzaju akces ukontentowania konfederacyi nie sprawił: pozbawiła więc Trębickiego regencyi, którą sześcioletnią pracą wysłużył i 35.000 złotych okupił; nie wypłaciła 5.000 zaległéj gaży i zagroziła mu sądem. Gdy nadmiar złego upadłość Prota Potockiego pozbawiła Trębickiego reszty majątku, a przyszły marszałek sejmu grodzińskiego, Bieliński, chciał rodziców jego wyzuć z posesyi,—napastowany przez wierzycieli o spłatę długu, zaciągniętego niegdy na kupno regencyi, dla ratowania domu swego i siebie pośpieszył do Grodna. Słuszność pretensyi, poparta protekcyą wpływowych krewniaków, skłoniła Kossakowskich do przychylnych obietnic; pod nieobecność Trębickiego ogłosiła konfederacya *sancitum*, które, zamilczawszy o sprawie regencyi, wyznaczało mu 24,000 zł. na *Prawo*

polityczne i cywilne z warunkiem, żeby pracy dokończył i pieniądze w gotówce lub w egzemplarzach dzieła zwrócił skarbowi. Trębicki żądał nie pożyczki ani gratyfikacyi, lecz kompensaty za urząd, zamierzył przeto—tém więcéj, że mu szeląga z przyznanéj sumy nie dano, o pretensyę swoją kołatać na sejmie. Nasłany przez Sieversa do robienia sejmiku brzeskiego podpułkownik Obreskoff znać owo *sancitum* za dobrą dla Trębickiego u konfederacyi miał notę, forytował go bowiem na posła chciał go przy współudziale obywatelstwa gwałtem do téj funkcyi nakłonić. Nie mając ochoty do udziału w sprawie nieczystéj, okazał ex-regent świadectwo przyjętego w Warszawie mieszczaństwa i dowód, że recesu od niego nie zrobił; tłómaczył, jako według uniwersału konfederacyi targowickiéj nietylko zostać posłem niemoże, ale nawet obecność na sejmiku jest mu wzbronioną; w końcu namówił krewniaka swego, podczaszego brzeskiego Laskowskiego, aby mu stawiał objekcyę.

W toku dalszych na sejmie grodzieńskim starań, domagał się Trębicki wynagrodzenia za urząd, albo wakującéj pisaryi wojskowéj, która z kolei awansu przypadała na niego. Nadzieje jednak otrzymania pisaryi okazały się płonnemi, nawet sprawy wynagrodzenia Sievers, mający byłego sekretarza klubu za jakubina, nie pozwolił wprowadzić do izby i tylko dzięki życzliwości niektórych posłów staraniom Trębickiego po wielu zabiegach stało się zadość. Załatwiwszy interes własny, pracował skrycie nad obaleniem konfederacyi targowickiéj i jéj sancitów, podawał przez jednego z posłów projekt formy rządu, który Sievers pod karą konfiskaty majątku cofnąć kazał natychmiast. Układał dla śmielszych posłów mowy i głosy, pilnie bywał na sesyach, dla przekazania potomności zbrodni i cnót uczestników ostatniego sejmu pisał współcześnie dyaryusz (1).

Przez mieszkających w Warszawie, to kręcących się w Grodnie Mirosławskich, Szczurowskiego i innych Kołłątaj doskonale wiedział o wszystkiém, co się działo w ojczyźnie. Z pytaniami o szczegóły pisywał do nich cyframi pod adresem dyrektora poczt Sartoryusza; oni składali wiadomości na ręce barona Strassera lub odpowiadali pod adresem bankiera wrocławskiego, Krakera (2). Nieocenionym był szczególniéj Szczurowski, który interesów Kołłątaja pilnował i z sejmu grodzieńskiego bardzo dokładne do Karlsbadu i Drezna przesyłał relacye.

O Dmochowskim do jesieni 1792 r. nic Kołłątaj nie wiedział, choć potrzebował go wielce. Proponował mu we wrześniu przez

(1) Trębicki. Do publiczności. Dyaryusz (bez tytułu i końca, *in folio*, str. 168) znajduje się w jednéj z bibliotek w Warszawie.

(2) Listy H. Kołłątaja. I. 11,12. II. 28.

Szczurowskiego przyjazd na zimę do Lipska; przyrzekał, że wyrobi stosowne pozwolenie prymasa, w którego dyecezyi miał Dmochowski probostwo. Na wypadek przychylnéj decyzyi polecał wysłać przez niego pozostałe w Warszawie manuskrypta, broszury Seweryna Rzewuskiego, katalogi książek i różne rzeczy. Dmochowski przyjął propozycyę skwapliwie: zminąwszy się z listem, zalecającym mu dla niewiadomych powodów wstrzymanie wyjazdu,—pod koniec listopada stanął na miejscu. Powitał Kołłątaj pijara „z wielką pociechą;“ potrzebował go do pomocy w robotach, zwłaszcza, że sam nie domagał na zdrowiu (1).

Myśl ruchu, zrodzona w kraju, dojrzała w Lipsku w kółku Kołłątaja i braci Potockich. Kościuszko przyjmował ofiarowany mu ciężar, kolonja lipska przysposabiała materyał i plany,—dla poruszenia umysłów i namiętności narodu przygotowywała pomiędzy innemi obszerną książkę, mającą odsłonić wszystkie zbrodnie partyi zwycięskiéj. Materyału—720 sztuk aktów rządowych dostarczył Kołłątaj, on téż ułożył plan dzieła, a do współpracownictwa powołał Dmochowskiego, oraz Stanisława i Ignacego Potockich. Po trzymiesięczném pobycie w Karlsbadzie i Teplicach przeniósł się Kołłątaj w jesieni 1793 r. do Drezna, Dmochowski dla dopilnowania druku pozostał w Lipsku. Jemu dla niedopuszczenia sprzeczności i powtarzań powierzono redakcyę, chociaż ostateczna kontrola należała do wszystkich. Pod koniec sierpnia 1793 r. był już gotowy tom pierwszy, skończona redakcya początkowych rozdziałów drugiego. W liście z 3 września Kołłątaj naglił, żalił się, że niektóre części idą do druku bez poprzedniéj jego rewizyi, polecał téż Dmochowskiemu, żeby wyrzucił ze swego rodziału „wszystkie przykre ugryzki dla duchowieństwa i specyfikacyę różnych imion, które także uszczypliwie“ przy opisie Targowicy umieścił (2). Wkrótce ukazała się całość w dwóch częściach p. t. *O ustanowieniu i upadku konstytucyi polskiey 3 maja* (8-a, str. 244 i 308), niby w Metz drukowana, zaopatrzona w godło z Cycerona: *Non autores, sed rationum momenta quaerenda sunt.* W przekładzie Lindego ukazała się zaraz i w języku niemieckim (3).

---

(1) Tamże. I. 31,75,133.

(2) Tamże. II. 97.

(3) P. t. *Vom Entstehen und Untergang der polnischen Constitution vom 3 May 1791.* Lipsk, 1793, 8-a, str. 294 i 330. Według Siemieńskiego (*Listy H. Kołłątaja* II. 99) rozdziały: 1,2,5,7 części I, 5 i 7 części II napisał Dmochowski; 3 i 6 części I, 3,8 i zakończenie części II Kołłątaj; 8 części I, 2 i 6 części II Ignacy Potocki; 1 i 4 części II Stanisław Potocki; 4 części I wspólnie Kołłątaj ze Stanisławem Potockim.

Wykazawszy potrzebę zreformowania rządu w Polsce, przedstawia treściwie przebieg sejmu wielkiego ze szczególném uwzględnieniem różnicy w widokach naczelnych stronnictw; opowiada o przygotowaniu projektu ustawy i rozważa jéj wartość; w drugiéj części opisuje zmowy magnatów w Jassach i zawiązanie Targowicy; rozbiera deklaracyę dworu petersburskiego z 18 maja 1792 r., ocenia przystąpienie do związku króla i zjazd grodzieński, przepowiada w końcu skutki drugiego podziału. Jeżeli pomimo dobrze pomyślanego planu w dziele czterech pisarzy pod względem układu treści dość często okazuje się zamęt, to w zapatrywaniach, stylu i w stopniu włożonego w pracę zapału harmonijna panuje jedność. Autorowie nie zamierzali być krytykami stronnictwa, w skład którego wchodzili sami, w działalności więc jego uchybień nie widzą żadnych, odsłaniają za to wszystkie zabiegi partyi przeciwnéj i demoralizujący wpływ jéj na sejm i naród. Stawiała przeszkody i wymyślała zwłoki ku sparaliżowaniu niezbędnych a pilnych dla kraju uchwał, utrudniała zawarcie korzystnego traktatu z Prusami, usiłowała nie dopuścić ustawy, w porozumieniu z obcą potencyą uknuła spisek i sprowadziła na naród wojnę; przywłaszczywszy sobie władzę dyktatorską, terroryzowała obywateli przez nakładanie więzów na wolność słowa, pozbawianie urzędów i rabunek majątków; w końcu naraziła państwo na rozbiór. Ani słuszności odmówić, ani przesady w ocenie robót téj partyi zarzucić autorom nie można; to przecież przez ustawienie w jednym szeregu z hersztami króla, którego osobistéj przed 23 lipca 1792 roku działalności nie są obce ani szlachetne porywy, ani rzetelna o sprawę publiczną dbałość,—przeciwko umiarkowaniu w sądach zgrzeszyli mocno. W takich uwagach o królu, jak: „chociaż żadnego dzieła stale trzymać się niezwykł, do każdego atoli należéć pragnie: nieczynność jest dla niego nieznośna, a niepodobne w żadném przedsięwzięciu wytrwanie;“ albo: „do złego przyznać się nierad..; nieprzejrzanym cieniem okryć chce imię swoje i przez wszelkie sztuki stara się zasłonić je od nagany spółczesnych i potomnych“ (II. 219)—charakterystyka Stanisława Augusta wychodzi trafnie. Prawdą jest również, że „Stanisław August przez niepodobny do pojęcia zawód sejmu konstytucyjnego i narodu, oddzielając interes korony swojéj od sprawy ojczyzny, najhaniebniejszym sposobem zgubę onéj przyśpieszył“ (II. 302). Twierdzenia jednak, że „żadna najbrzydsza robota w Polsce nie była bez jego uczestnictwa“ (II. 220), że „zaszczyt, który spłynął na Stanisława Augusta z dzieł sejmu konstytucyjnego, wyższy był nad jego charakter, nie mógł przeto utrzymać chwały, któréj tak był

niegodnym" (II. 152)—tchną uprzedzeniem i krzyczącą przesadą. Nadmierna surowość sądu, który w tym względzie wygłaszał Kołłątaj, jaskrawiéj się jeszcze przedstawia w obec pobłażliwości, z jaką autor oceniał samego siebie. Niedość, że nie miał na tyle taktu, iżby usunąć podane przez Stanisława Potockiego i Dmochowskiego, dotyczące jego stosunku do Targowicy szczegóły z prawdą niezgodne, lecz je sam komponował, na równi się z zacnymi i cnotliwymi,—Potockimi, Kazimierzem Sapiehą i Stanisławem Małachowskim stawiając. Nieprawda najprzód, że „podkanclerzy koronny, daremną nazywając radę, któréj król zasięgał po wziętéj już mocnéj rezolucyi, łączył ostrzeżenie, aby w tym systemacie przynajmniéj z Rosyą, nie z osobami, które rokosz podniosły, negocyacye rozpocząć" (II. 125),—zdanie to bowiem wypowiedział Małachowski; nieprawda, że Kołłątaj dla tego zagranicą się tułał, że niechciał sromotnego zrobić akcesu (II. 162,256), skoro 23 lipca przystąpienie do Targowicy doradzał i sam—lubo bez skutku, w jéj robotach przyjąć chciał udział. Pomimo tego dzieło *O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 maja* jako pamflet polityczny, napisany z niezwykłą żywością i mocą, potrzebie wstrząśnienia umysłów w chwili przygotowywanego wybuchu odpowiadał zupełnie i z tego oceniany stanowiska do najświetniejszych w literaturze należy zjawisk.

Po ogłoszeniu dzieła zdecydowaną została i rola, jaką w nadchodzącéj chwili miał odegrać Dmochowski. Parł go oczywiście Kołłątaj, który o obowiązkach względem rzuconego przez siebie w wir wypadków człowieka pamiętał i nad ustaleniem losu jego pracował. Ponieważ probostwo kolskie skutkiem podziału przeszło pod panowanie Fryderyka Wilhelma, w kraju zaś pruskim okazało się rzeczą „zbyt przykrą być parochem w sukni zakonnéj,"—starał się w połowie lipca 1793 r. o sekularyzacyę pijara i usilnie o pomoc w téj sprawie Stanisława Małachowskiego nalegał. Niemożnością zapewnienia Dmochowskiemu należytych środków do życia Kołłątaj się trapił; nie chąc wyzyskiwać poświęceń, gotów był zrezygnować z usług człowieka, którego potrzebował, szanował i lubił. „Wzywając WPana do siebie, pisał 9 września 1793 r. z Drezna, chciałem go mieć uczestnikiem moich powodzeń, chciałem pomódz jego talentom, mniemałem wówczas dobrém sumieniem, że okoliczności moje dadzą mi wszelką do tego zdolność. Gdy się jednak tak Opatrzności podobało, że zamiast możności dopomagania poczciwym i utalentowanym, nie zostało mi nic więcéj, jak widok zbliżającéj się nędzy, nie byłbym człowiekiem dobréj wiary, gdybym go chciał zawodzić i prowadzić drogą niepewności. Jeżeli podobać się będzie niebu, aby mi wróciło pomyślną chwilę, chętnie się z panem dzielić pra-

gnę. Lecz jeżeli przykry stan mój nie odmieni się więcéj, nie chcę wyciągać po nim, abyś dzielił zemną biedę moją, boś lepszego wart losu. Nie jest-to przykre zapowiedzenie do przyszłego naszego rozstania się, bo raz polubiwszy WPana, miło-by mi było dalsze życia momenta z nim przepędzać. Ale to jest szczere wynurzenie człowieka, który nikomu zawodu czynić nie chce, ani śmie wyciągać na heroiczną stateczność, znając dobrze, że to, co mu przeznaczono jest znosić, jemu samemu tylko przeznaczono" (1). Były propozycye użycia Dmochowskiego do pomocy Kościuszce,—Kołłątaj nie był temu przeciwny, myśl tę owszem zatwierdzał, nie radził tylko pośpiechu. „Zobaczymy, pisał, co się z tego zawiąże, czy z téj chmury deszcz będzie; jak się udadzą początki, a dopiero wnosić roztropnie będziemy mogli, kogo, gdzie i w jakim celu użyć" (2). W początkach 1794 r. projekt do skutku doszedł. 12 lutego Dmochowski z Prozorem nawiedza jenerała w Dreźnie i donosi o stanowczéj chwili wybuchu; 24 marca, podczas czytania aktu insurekcyi, stoi śród tłumu na rynku krakowskim (3).

Władysław Smoleński.

---

(1) Listy H. Kołłątaja. II. 75, 97. (2) Tamże. II. 97. (3) Pamiętnik Filipa Lichockiego. Poznań, 1862, str. 41, 11.

ZYZMA.

IX.

Dzień ukazania się pierwszego numeru „Zgody“ w dwóch językach hebrajskim i polskim obchodzony był uroczyście przez rozradowaną młodzież polską wyznania mojżeszowego.

Natan przyniósł pierwszy numer na zielonym papierze złotemi literami drukowany—siostrze. Józef pobiegł ze swym numerem pochwalić się matce.

Zakochana w swoim Beniaminku, udawała przed nim, że dzieli jego radość, lecz gdy wyszedł, przestraszona schowała numer do swéj szafy, zamykając ją na klucz.

— Co to będzie—powtarzała—jak mąż i Samuel wrócą. Wolałabym żeby wtedy Józia nie było w domu.

Wrócili wcześniéj jak zwykle. Stary Topaz był zasępiony i milczący, Samuel gładził czarną brodę i również milczał. Zalękniona Rut drżącemi rękami nalewała im kawę.

Stary nie patrzał na żonę, nie przemówił do niéj ani jednego wyrazu, wypił podaną kawę, wstał i poszedł do swego pokoju. Samuel naśladował ojca.

— Samuelu—odezwała się cicho Rut.

Uroczysty Samuel zatrzymał się.

— Unikasz mnie, nie widzisz.....

Samuel chciał się tłómaczyć, lecz na razie nie wiedział co powiedziéć.

— Wprawdzie, mówiła z pełnemi oczami łez, ja nie jestem twoją matką, ale jestem żoną twego ojca i postępowaniem mojém zasłużyłam sobie na więcéj względności z twojéj strony. Nie wymagam od ciebie oznak przywiązania, lecz jeżeli twój ojciec cierpi, to

ja, jego żona, powinnam wiedzieć co mu jest, a ty, jako jego syn, powinieneś mi to powiedzieć. — Otarła łzy płynące po jéj twarzy.

— Ojciec się zgryzł—rzekł Samuel poważnie—awanturami jakie Józef wyprawia.

— Awanturami?? widziałam go przed chwilą.

— Głupcy ci wydają dziennik. Józef napisał artykuł wstępny, maltretujący zasady ojca.

— Czy tylko on.

— Ojciec się natychmiast domyślił, że nikt inny. Urąga nam i szydzi z nas.

Zamilkł, odwrócił się i poszedł do pokoju ojca.

Rut została sama. Wzburzone jéj myśli, podsycane strachem, wirowały. Bała się burzy między ojcem a synem, gwałtownych wybuchów jednego, zaciętości drugiego. Nie wiedziała jak temu przeszkodzić, jak burzę zażegnać. Czekała czy nie usłyszy tonów skrzypiec, wydobywanych ręką męża. Złowroga cisza panowała nieprzerwanie. Zajrzała przez dziurkę od klucza. Ojciec i syn siedzieli przy stole, czytając arkusze zadrukowanego papieru.

— Niezawodnie — pomyślała — czytają to co mój Józio napisał.—Pocichu zbliżyła się do szafy, otworzyła ją i bojąc się aby mąż raptem nie wszedł, pochwyciła schowany papier, poszła do swego pokoju, zamknęła się na klucz i zapaliwszy świece chciwie czytała.

Mało co rozumieć mogła, lecz że to pisał ukochany jéj syn czytała chciwie przy odgłosie serca bijącego radością i dumą.

— I za cóż ojciec gniewa się na niego. Przecież on pragnie pojednania, zgody... Pierwszy raz w życiu odważyła się krytykować męża, przechylając się w opiniach na stronę syna.

— A jak on ślicznie pisze po polsku i po hebrajsku. Taki młody, jeszcze dziecko prawie.

Odgłos dzwonka przerwał jéj marzenia.

— Jeżeli Józio będę go błagać żeby uciekał.—Zadrukowany papier schowała pod poduszkę swego łóżka i pobiegła otworzyć.

We drzwiach ukazała się postać doktora Fuchsa.

Pytał się po niemiecku o męża.

— Jest—odpowiedziała—tylko ostrożnie panie doktorze. Przyszedł do domu wzburzony, nawet dziś nie gra...

— Domyślam się—rzekł Fuchs.

— Ta gazeta—dodała Rut.

— Wielki wypadek dnia.—Mówiąc to poprawił okulary, włosy przygładził i z miną uroczystą wszedł do salonu.

Na jego widok zerwali się ojciec i syn.

— W samą porę—zawołał stary Topaz, rzucając ostentacyjnie na stół „Zgodę“, którą czytał.

— Tylko się nie gorączkujmy—odpowiedział Fuchs.

— Nie gorączkujmy się, gdy ci głupcy wydają jakieś pismidło pełne niedorzeczności, chcące nas strącić z wysokości kultury w objęcia półdzikiego narodu, bez praw i przyszłości, a którego tak łatwo było nam dotąd eksploatować, w imię naszéj do nich niechęci i wyższości.

— Ale czy im się to uda przeprowadzić?

— Będą mieć za sobą wszystkich polaków, ich wpływy, powagę, pieniądze—i tym sposobem zdobywać sobie wśród żydów coraz więcéj rozentuzyazmowanych półgłówków. Miłość ojczyzny, poświęcenie, walka, są zaraźliwe, a my żydzi mamy namiętność do propagandy i fanatyzmu.

— Tak źle nie będzie—odparł doktór Fuchs, siląc się na spokój i powagę,—a to dla tego, że polacy za mało są cywilizowani, ażeby mogli zrozumieć, że stowarzyszenie naszéj młodzieży i wydawane przez nich pismo w celach pojednawczych mogło-by im tak wielkie przynieść korzyści o jakich pan mówisz. Aby zabiegi i usiłowania naszych „pojednawców“ mogły dać pozytywne rezultaty, potrzeba-by współudziału całéj inteligencyi polskiéj z nimi. Tymczasem polacy umieją tylko przeklinać żydów, wyzywać i szczuć na nich głupi motłoch, lub siebie samych.

— Nie wszyscy—rzekł Topaz.

— Ale tych nie wszystkich jest jeszcze bardzo mało i ci dotąd stoją na uboczu, nie mają środków, sił.

— Zkąd ci głupcy wzięli pieniądze na założenie pisma, kto im je dał?—zawołał stary.

— Nie wiém, to tylko pewna, że nie polacy.

— Należy wystąpić ostro i gwałtownie.

— Radzę ostrożność—rzekł tajemniczo.

— To dwulicowość, to siadanie na dwóch stołkach, to adwokackie wykręty—wołał unosząc się stary.

— Panie Topaz — przerwał mu z godnością Fuchs. Polskość protegowana przez rząd rozwija się. Musimy się z nią liczyć, nie mając na swe usługi policyi i więzień.

— Ja chcę być Austryakiem—zawołał Topaz.

— I nikt panu nie zabroni, jak również pańskiemu synowi być polakiem, kiedy mu się podoba.

— Zakażę mu, a jeżeli nie usłucha, przeklnę, wypędzę.

— To było-by fatalne. Wypędzony syn pański przeniósł-by się do jednego ze swych przyjaciół. Posypały-by się na niego składki

i został-by męczennikiem. Strzeżmy się sprawie téj przysparzać męczenników. Mówiłeś pan przed chwilą, że są to rzeczy zaraźliwe.

Topaz się zamyślił. Samuel gładził czarną brodę i milczał. Wydziedziczenie młodszego brata podobało mu się, lecz nie wypadało głośno się chwalić ze swych upodobań.

— Musimy obmyślić inny jaki sposób, również doniosły i imponujący. Niemczyzna nasza wobec rozwoju narodowości traci racyą bytu, przeżyła się.

— Ale to jest jedyna racya cywilizacyi, odezwał—się poważnie Samuel.

— Niekoniecznie, gdyż można się cywilizować w każdym języku, a najprędzéj we własnym.

Stary miał mu na to odpowiedzieć, gdy słowa jego przerwał gwałtowny dźwięk dzwonka.

— To coś niezwykłego—zawołał.

Samuel wyszedł zobaczyć.

— Józef — odezwał się tajemniczo po powrocie, zamykając drzwi,—rumiany, wesoły, widocznie idzie wprost z jakiéjś uczty.

Topaz się zatrząsł z oburzenia, twarz mu zbladła, chciał iść, Fuchs go zatrzymał.

— Panie Topaz, jeżeli ci studenci zobaczą nasze oburzenie, uwierzą w swą wielkość i siłę. Wiara w siebie to potęga.

— Chcesz pan może, abym go przycisnął do serca.

— To nie, lecz nie powinni widzieć naszego gniewu. Najlepszém lekarstwem na młodzież jest szyderstwo.

Napróżno Rut chciała zatrzymać syna a nawet go ukryć. Rozgrzany winem chłopiec, pocałował matkę w czoło, wyśliznął się z jéj objęć i wszedł do salonu.

Groźny wyraz twarzy starego Topaza, a ironicznie uśmiechnięty Fuchsa, oprzytomnił go. Pocałował ojca w ramię, skłonił się Fuchsowi. Ze starszym bratem nie witał się nigdy, a rzadko kiedy rozmawiał.

— Jak widzę kochany pan wraca z koleżeńskiéj kolacyjki, woń szampana się rozchodzi—odezwał się Fuchs.

— Był i szampan—odparł uśmiechnięty, rzucając się na fotel.

— Oblewaną była „Zgoda".

— Taki już jest nasz narodowy zwyczaj—mówił, skręcając papierosa, — że przy wyjściu pierwszego numeru powstającego pisma, zgromadzają się jego redaktorzy i przyjaciele na wspólną ucztę.

— I upijają się, to prawdziwie po polsku—dokończył Fuchs.

Stary Topaz się rozśmiał głośno, Samuel cicho.

— Bawią się, umacniając na duchu, zachęcając do wspólnéj pracy i wytrwałości.

— Aby się wyprzéć swojéj ojczyzny—dokończył Fuchs.

— O jakiéj to pan ojczyznie mówisz, panie Fuchs, przerwał z lekceważeniem młody człowiek, mrużąc oczy.

— O naszéj prawowitéj — Palestynie.

— I cóż-byś pan w niéj robił ze swojém doktorstwem prawa? Sądziłbyś żydów podług paragrafów austryackiego kodeksu? W Palestynie panie Fuchs musiałbyś owce pasać, gdybyś je miał. Było-by to tradycyjnie i patryotycznie.

Stary Topaz uśmiechnął się nieznacznie, Fuchs zarumienił.

— Pasał-bym gdyby było tego potrzeba odpowiedział nadrabiając miną.

— Z poświęcenia, panie Fuchs, prawda?.. Szukajmy niemożliwéj i nieprawdopodobnéj ojczyzny, aby się tylko nie przyznać do własnéj. Własna ojczyzna wymaga ofiar, nakłada obowiązki. Szukajmy więc drugiéj w puszczach Azyi, z tą nadzieją, że jéj nie znajdziemy, abyśmy tém snadniéj odsuwali się od obowiązków, dla społeczeństwa w którém żyjemy! To tak wybornie dogadza naszemu egoizmowi, prawda panie Fuchs.

— Józef jak śmiesz tak się zachowywać w mojéj obecności względem naszego gościa.

— Czy dla tego ojcze, że prawdę mówię. Temu panu się zdaje, że jesteśmy sami, że to tylko garstka biednych studentów chce uszlachetnić naród zdemoralizowany brakiem ojczyzny, gdy on i jego wspólnicy radzi-by.....

— Józef — krzyknął stary, czerwony z gniewu — jesteś pijany i wyjdź ztąd.

— Tak jestem pijany do tyla, że mam odwagę mówić prawdę.

Wyszedł. Przerażona Rut, drżąca ze strachu czekała na niego w przyległym pokoju, pochwyciła go za rękę i pociągnęła do siebie. Tam go dopiero ugłaskała i uspokoiła.

W salonie nastała cisza. Stary tryumfował w duchu, że syn jego tak dzielnie natarł na Fuchsa, za jego palestyńskie fantazye, lecz marszczył brwi, gdyż mu wypadało udawać obrażonego.

— Słyszeliście, nie są sami—odezwał się pierwszy.

— A czy wiecie kto im wyprawiał dzisiejszą ucztę — spytał Fuchs?

Ojciec i syn czekali z natężoną uwagą na odpowiedź.

— Nasz wiedeński korespondent—szepnął im z obawy, aby go nie podsłuchiwano.

Topaz się zerwał na równe nogi.

— Nie uwierzę, póki nie będę miał dowodów—zawołał.

— Dowody dostarczę jutro. Mam ja węch sędziego śledczego.

— Jakiż miał-by w tém cel?

— Dotąd nie wiem, lecz to widoczna, że nie chce żadnéj partyi drażnić. Blum jest przy nim to dosyć. Był na wieczorze u hrabiego Zygmunta, z twoim synem ściskał się na ulicy za rękę. Musi mieć jakiś gruby interes do przeprowadzenia.

— I oszukuje nas.

— Tego jeszcze nie powiem, lecz to pewna, że nam w niczém nie pomaga. Od pewnego czasu „Nowa Presa" mało pisze o polakach.

— Rzadko już można się spotkać z tymi zjadliwemi artykułami, które nam rozweselały serca, poświadczał stary.

— Dodajmy do tego, że kochanką jego jest hrabianka Brańska z domu.

— Kochanką—powtórzyli zdziwieni ojciec i syn.

— Czy to nie plotka—zrobił uwagę Samuel.

— Czy to nie potwarz—dodał stary.

— Fakt dowiedziony. A zatém nie dwulicowość, nie siadanie na dwóch stołkach, tylko rozum nakazuje nam przezorność, moi panowie. Ja nienawidzę polaków, tak samo jak wy, może nawet więcéj, lecz jeżeli nie można być lwem, lub tygrysem, należy się pocieszać rolą lisa lub węża.

Nieśmiało do salonu wsunęła się Rut, prosząc na kolacyą.

— Józef—spytał stary.

— Śpi. Był u jakiegoś magnata na kolacyi, a że dziecko nie przyzwyczajone do wina, musiała mu się głowina zawrócić.

Fuchs zamienił znaczące spójrzenie z Samuelem. Rut pocałowała męża w rękę jak gdyby go chciała przeprosić za syna i ułagodzić. Kochała ich obu i drżała o nich z jednakiem uczuciem miłości i strachu.

Niezachwianie uroczysty dr. Fuchs, gdy się znalazł sam w ciemnéj i pustéj ulicy, pozwolił swoim uczuciom objawiać się głośno.

— To wy mi chcecie wydrzéć władzę panowania nad tém miastem? a z nią sperandę milionów. Nauczę ja was. Idąc bił laską o kamienne płyty. Ze studentami dam sobie radę. Lecz ten wiedeński ufryzowany żydek, zaczyna mnie irytować..... Czy on czasem nie jest ajentem rządu na zgnębienie centralizmu w naszém mieście. Powozy, konie... rząd tak nie płaci swym figurom. Jest w tém tajemnica. Bo żeby się ten żyd, będąc korespondentem „Nowéj Presy"

bawił w humanizm lub sentymentalizmował na temat polskości, niepodobna przypuścić. Trzeba to wszystko zbadać.

Nazajutz o godzinie trzeciéj przechadzał się po Maryjskim placu, obserwując hotel Żorża. Zdaleka zobaczył Zyzmę, cofnął się pośpiesznie na róg Halickiéj i czekał póki nie znikł w drzwiach hotelu.

— Ten panicz musi dobre śniadania jadać, kiedy o czwartéj chodzi na obiad—szepnął i pośpiesznie zwrócił się do mieszkania Zyzmy.

— Nim rozpocznę akcyą muszę sprawdzić.

Zadzwonił, otworzył mu chłopiec w liberyi.

— Pana o téj porze nigdy nie ma w domu—odezwał się.

— Nigdy? to przynajmniéj mi pozwól wody się napić i cygaro zapalić.

— Proszę.—Chłopiec był usłużny.

— Wczoraj bawiliście się.

— Nie bardzo—odpowiedział chłopiec.

— Dla czegóż to?

— Bo panów nie było. Jak panowie są, to idzie zabawa aż miło.

— Któż więc był?

— Same studenty.

— Młody Topaz?

— Był i okropnie czegoś dowodził.

— To ty wolisz gdy panowie przychodzą?

— A rozumię się.

Wyjął dwie szóstki wsuwając chłopcu w rękę.

— Kłaniaj się panu.

— Kiedy nie wiem od kogo.

— Już on będzie wiedział.—I kontent z siebie wyszedł.

— Że ja mam węch dobrego wyżła lub angielskiego policyanta, to pewna. Z jednego uśmiechu tego pijanego głupca odgadłem, że pił prawdziwego szampana.

— Zdobyłem klucz, lecz które drzwi nim otworzyć. Zacznijmy od redakcyjnych „Nowéj Presy“. Trafię czy nie, zawsze mi to za zasługę policzoném będzie.

Wrócił pośpiesznie do domu i skargę napisał.

Po powrocie Zyzmy, chłopiec powtórzył mu rozmowę z panem, którego już widział, lecz nazwiska jego nie wié. Po szczegółowém badaniu, Zyzma przyszedł do przekonania, że to nie był nikt inny tylko Fuchs.

— Szpiegują mnie—pomyślał, i nie wiedząc co począć posłał po Bluma.

Po szczegółowéj indagacyi chłopca, Blum się zamyślił.

— Jestem pewny, że denuncyacya do „Nowéj presy“ poszła— zawołał raptownie.

— Cóż więc robić—pytał strwożony Zyzma.

— Pod minę, kontrminę podłożyć. Napisz dziś zaraz do redakcyi, że żydowska młodzież na uniwersytecie, bawi się zakładaniem niewinnych stowarzyszeń, mających pracować dla idei polskiéj. Zbliżyłeś się umyślnie aby je poznać, lecz przekonałeś się, że to są dziecinne igraszki. Daj im jeszcze radę, aby się tą sprawą zupełnie nie zajmowali, dla tego, że nie należy rozgłaszaniem nadawać jéj znaczenia. Za parę dni pójdę do Fuchsa i schwycę go w zastawioną łapkę.

Słowa dotrzymał.

* * *

W kancelaryi adwokata siedzialo naprzeciw siebie dwóch wielkich prawników paląc cygara.

— Oskarzyłeś go,—odezwał się obojętnie Blum.

Fuchs zarumienił się po białka oczu.

— Zkąd to wiesz spytał rozdrażniony marszcząc groźnie czoło.

— Jakto, nie słyszałeś o tym zwyczaju, że ludziom zaufanym odsyłają skargi na nich pisane.

Fuchs nic nie odpowiedział.

— To nic kochany kolego, to tylko, dowodzi że się gniewasz na nas i że szczerze pracujesz dla sprawy.

Fuchs zamyślił się głęboko.

— A że masz, mówił daléj Blum silne stanowisko i wpływy w mieście, mógłbyś nam szkodzić.

Fuchs się wyprostował.

— Milczeliśmy dotąd związani słowem lecz dziś przychodzimy sami.

— Nareszcie,—szepnął.

— Będziemy potrzebować kapitałów.

— Kapitałów, powtórzył cicho i uśmiechnął się.

— Ty sam nie masz ich do zbytku i nie wiele pomożesz do ich zebrania, lecz mógłbyś dużo zaszkodzić.

— Tak sądzisz?

— Jestem pewny. Masz wielki wpływ wśród naszych,—a *nasi* dodał z przyciskiem, wszelkie interesa pieniężne trzymają w swych rękach.

Doktór Fuchs wysunął dolną wargę swych zawsze szczelnie zamkniętych ust.

— Cóżto za sprawy zapytał z obojętnością wielkiego człowieka, lub milionera.

— No, no mój doktorku, mówisz jak gdybyś z księżyca spadł, a wiesz przecie dobrze, że idzie o koléj łączącą stolicę naszą z Królestwem i Węgrami.

— Tak,—powtórzył zdziwiony.

— Nie żartuj i nie dziw się. Wiemy że bez ciebie w mieście nic nie zrobimy, a zatém wejdziesz do rady nadzorczéj z odpowiednią pęsyą. Zgoda?

— Nie wiem od kogo przychodzisz, jakie stawiasz warunki, czego wymagasz, jaką dajesz gwarancyą.

— Przychodzę od konsorcyum, nie stawiam żadnych dotąd warunków, proszę o cierpliwość, gwarancya się znajdzie, gdy nadejdzie czas działania. Przecież cierpliwość nic nie kosztuje, a nawet nakazana jest przezornością. Wyciągnął rękę którą Fuchs uścisnął.

Rozstali się.

— Denuncyacya pomogła, pomyślał i uśmiechnął się wielki doktór. Należy ją jednak odwołać. Za neutralność dobrze zapłacą. A wtedy niech robią co im się podoba.

— Zamknąłem ci buzię na całe trzy miesiące, zawołał tryumfujący Blum. Na tyle ile mi właśnie potrzeba. Lisy zjadają gęsi. Gęsią nie jestem, a mięso lisa musi być twarde, dla tego też zjadać go nie mam ochoty. Skrzywił się jakby coś nieprzyjemnego połknął.

X.

Wieczorem po zachodzie słońca, gdy już sklep został zamknięty, w dziedzińcu tego samego domu ukazał się młody człowiek o płaskiéj twarzy, w cylindrze, a przywoławszy do siebie stróża, rozmawiał z nim cicho.

Stróż zdjąwszy czapkę wskazał ręką na okna trzeciego piętra. Młody człowiek zwrócił się do bramy, idąc wolno po schodach. Odpoczywał na każdém piętrze, i wzruszony, pociągnął delikatnie za rączkę od dzwonka.

Otworzyła mu służąca trzymając Stasia na rękach.

Nie wiedząc jak spytał się o „panią“ służąca wskazala mu drzwi do saloniku i odeszła.

Chwilę stał zanim się odważył pocisnąć klamkę.

Na kozetce za małym stolikiem z książką w ręku siedziała młoda kobieta. Na widok tak dla niéj niespodziewany zbladła, zmarszczyła brwi i wstała,

Milczeli oboje, młody człowiek przestraszony—ona groźna i wyzywająca.

— Zbyt ważny interes zmusił mnie najść dom pani.

Młoda kobieta stojąc nie odrzekła ani jednego słowa.

— Interes nasz wspólny, dodał z przyciskiem, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

— Czy pani pozwolisz mi mówić, odważył się na pytanie.

— Mów pan.

— Przepraszam panią lecz... spojrzał na krzesło, potém błagalny wzrok przeniósł na młodą kobietę.

— Siadaj pan, odezwała się wskazując krzesło,—i sama również usiadła na kozetce.

— Czy pani pozwolisz mi być otwartym i szczerym—zapytal, wpatrując się w dno swego cylindra.

— Pozwalam, byle to wszystko nie trwało zbyt długo.

— Będę się starał być zwięzłym, pochwycił nieco ośmielony.

Młoda kobieta skinęła potakująco głową.

Przeszła długa chwila denerwującego dla obojga milczenia. Młody dyplomata nie celował rzutkością. Widocznie mowę układał.

— Obecne położenie pani, zaczął, jest dla niéj przeczuwam, nader przykre.

— Ależ mylisz się pan, jest przyjemne.

Młody człowiek zarumienił się, nie wiedząc na razie co odpowiedzieć.

— Chwilowo być może, mówił powoli i cicho—lecz późniéj gdy wiek, gdy syn pani dorośnie—zamilkł.

— Mów pan wyraźnie i stanowczo.

— Gdy syn pani dorośnie, może mieć żal do matki.

Młoda kobieta zbladła, oczy jéj świeciły—nozdrza się lekko rozwarły. Dyplomata widząc jéj wzruszenie zamilkł.

— Powiedz pan, rzekła uśmiechając się nerwowo. Oco będzie mieć żal mój syn do mnie.

— O nazwisko...

— Daléj, szepnęła nie mogąc mówić. Oburzenie tamowało jéj głos.

— O nazwisko, powtórzył, zdobywając się na odwagę, które pani zaprzepaszcza w sklepie i w tém mieszkaniu. Odetchnął, ciężar mu spadł z serca.

Młoda kobieta wpatrywała się w niego milcząca. Dyplomata nabrał odwagi.

— Stanowisko pani i opinia o niéj nie może być obojętném dla nas najbliższych jéj krewnych.

Spokój młodéj kobiety zaczął go przerażać.'

— Droga kuzynko, zawołał i aby jak najprędzéj skończyć mówił szybko, jeśli nie chcesz mieć litości nad samą sobą, to się ulituj nad swym synem, nad Izią, którą podobno kochałaś, nad moją biedną matką.

W Karczówce na folwarku jest wygodny domek. Na urządzenie się mama przeznacza dwa tysiące zapomogi, a pensyi rocznéj pięćset guldenów dożywocia. Tam możesz się ukryć i wychować syna na uczciwego człowieka.

— A tu, cóż mi tu przeszkadza spytała, napozór zimno i spokojnie.

— Jakto pytasz się o to pani? Jeżeli mojéj matki nie lubisz, zaczął patetycznie, mnie okazywałaś niechęć, to cóż ci winna Izia biedna dziewczyna któréj przyszłość łamiesz. Ludzie dobrze pamiętają że jesteś jéj cioteczną siostrą. Błagam cię, dodał siląc się na uczucie i dla większego efektu złożył ręce.

— Co mi tu przeszkadza wychowywać syna i czem siostrze pańskiéj łamię przyszłość. Wzburzone nerwy wstrząsały nią—powstała blada.

Dyplomata się również zerwał.

— Czy pani każesz mi powtarzać o czem sama wiesz i na wspomnienie pewno się rumienisz.

— Odpowiadaj pan, zawołała gwałtownie.

— Mieszkanie w którém się znajduję jest własnością żyda, a żydzi odzwyczaili nas wierzyć w ich bezinteresowność.

Nastała cisza długa i męcząca.

— Syn mój jest jeszcze zbyt młody, dla tego pan jesteś tak nikczemnie odważnym.

— Nie moja to opinja, zawołał—przysięgam.

— Wyjdź, krzyknęła—i jeżeli się odważysz drugi raz przestąpić próg ten, poszlę po policyą.

— Pani, szepnął składając ręce.

— Wychodź.

— Mama jest zdecydowana ofiarować pięć tysięcy.

Młoda kobieta pochwyciła za dzwonek. Metaliczny dźwięk napełnił mieszkanie.

Dyplomata bojąc się skandalu wybiegł.

Pierwsza do pokoju wpadła Sali, za nią poważny Daniel i służąca ze Stasiem na rękach.

Młoda kobieta blada, sztywna, stała nieruchomie z utkwionym wzrokiem w jeden punkt.

— Pani, co pani jest, wołała dziewczynka, objąwszy ją w pół i tuląc się do niéj wystraszona.

Daniel pochwycił ją za rękę.—Posadź panią, szepnął do Sali.

Dziewczyna robiła wysilenia lecz napróżno.

Wody, dał rozkaz cicho Daniel.

Podano wodę, lecz zaciśniętych nerwowo ust nie można było otworzyć.

Daniel ją siłą posadził, Sali zaczęła cicho płakać. Zaciśnięte usta otworzono łyżeczką, Daniel wlewał po parę kropel wodę, Staś się rozpłakał głośno, serdecznie.

Woda i płacz dziecka ocuciły ją, nerwy odzyskały władzę. Pierwszym objawem były łzy.

Daniel kazał panią położyć, sam pobiegł po laurowe krople.

Gdy wrócił siedział przy niéj Staś, Sali klęczała przy kozetce.

— Pani lepiéj,—szepnęła do Daniela.

Po kroplach laurowych puls stawał się wyraźniejszy i więcéj regularny. Milczała jednak patrząc szklannemi oczami w przestrzeń.

Daniel wysunął się pocichu.

— Ten młody człowiek, z którym minęliśmy się w przedpokoju, to pewno jéj krewny. Mordują ją,—biedna musi dźwigać brzemię swego urodzenia. Gdyby należała do rodziny mieszczańskiéj, lub była ubogą szlachcianką życie uśmiechałoby się do niéj. Biedna ludzkość idąc na drodze swego postępu zdobywa przesądy,—aby w imię tego samego rozwoju pozbywać się ich. Ciężka to i długa praca, na jedno życie, lecz w życiu ludzkości to chwila. Cóż gdy życie ludzkości jest chwilą. W chwilce téj jednak przyszłość się jéj uśmiecha... powtarzał opinie swego mistrza. I gdyby nie ta przyszłość, którą widzę oczami wielkiego Spencera, nie warto byłoby dla niéj pracować.

Młody filozof rad unikał dzisiejszych ludzi wracając szybko do swéj izdebki, aby tam marzyć ze Spencerem o przyszłości i pisać artykuły do „Zgody.“

— Sali, wymówił to imię z rodzajem zadowolenia siadając na sofce w swoim pokoju. Dziewczynka rozwija się gwałtownie, jak gdyby pod palącém słońcem Judei nad brzegami Genezaretckiego jeziora. Dzielna ta nasza rasa, wydała twórców potężnego kultu, który dziś jeszcze rządzi sercami ludzkości, a mimo to miljony jednostek z téj rasy czołga się w upodleniu dla zdobycia jedynie grosza. Myślał myślami swego kochanego mistrza i przyjaciela nie wiedząc o tém.

Zapalił lampę, rozłożył papier, pióro umaczał lecz nie mógł pisać.

Myśl jego biegnąc wiek po wieku w przyszłości snuła fantastyczne obrazy. Widział pod wpływem altruizmu ludzkość coraz lepszą i szczęśliwszą.—Sali, młoda kobieta, jego przyjaciele, Zyzma żyli po dziesięciu wiekach, i serdecznie uśmiechali się do niego gdy jego rasa odepchnięta na dnie jakiejś przepaści jako czarna masa dogorywała.

— Ratujmy ją, zawołał z młodzieńczą energią, I pewien siebie, z wiarą w zwycięstwo zaczął gorączkowo pisać.

Młoda kobieta z wypieczonemi policzkami z rozdrażnienia nerwowego, pisała przy płonącéj lampie.

„Stało się coś pan przeczuwał i czegoś się obawiał mimo żeś nie przychodził do nas. Po cóż zadawać sobie przymus.“ Czekam.

Zyzma w swoim pokoju czytał polską książkę z niemiecką encyklopedyą w ręku, gdy chłopiec wszedłszy cicho, podał mu na srebrnéj tacce list.

Przeczytał, płomienie oróżowiły jego twarz. Wstyd i żal miotały nim. Zdawało mu się, że w liście tym są wyrzuty obarczające jego sumienie.

Pochwycił kapelusz i wybiegł.

— Na trzeciem piętrze zatrzymał się; oddychał ciężko, serce mu biło gwałtownie—Sali otworzyła drzwi.

— Zyzma, szepnęła, to ty. Czy wiesz że „pani“ znów była slaba, teraz już lepiéj—chodź.

Weszli na palcach. Pani zobaczywszy Zyzmę zarumieniła się i aby ukryć wzruszenie szybko powstała, wyciągając na przywitanie rękę.

— Nie widzieliśmy się zaledwo parę tygodni, a mnie się zdaje że całe lata minęły.

Zyzma z uszanownniem pocałował ją w rękę i zakłopotany nie wiedział co powiedzieć.

— Miara dopełnioną została. Przeszłam całą skalę upokorzeń i nienawiści ludzkiéj, chociaż broniliśmy się z zaparciem. Wszystko skończone i pocóż zadawać sobie przymus i męczyć się dla ludzi,— gdy im do oskarżenia niepotrzeba nawet pozorów, mówiła rozdrażniona...

— Ja prosiłem,—zaczął się tłómaczyć.

— Nie obwiniam pana,—przerwała. Dziś wszystko już mi jedno. Gdybym miała córkę, możebym z nią uciekła, lecz szczęściem mam syna,—on będzie sądził matkę i bronić ją potrafi.

Sali słuchała zamyślona.

— Siadaj pan, bądźmy weseli. I potępieńcy powinni mieć swoje uciechy, mówiła nerwowo, spieczone jej usta drżały.

— Pani nie mów tak, odezwała się Sali przyciskając jéj rękę do ust. Jeszcze będziesz szczęśliwą, Staś urośnie, my cię bardzo kochamy. Prawda Zyzma?

Młody człowiek zarumienił się.

— Wszystko minie, dodał, ludzie zapomną, syn urośnie. I nie wiedząc co z sobą zrobić, zbliżył się do łóżeczka Stasia, pochylił się i pocałował go.

Dziecko przez sen uśmiechnęło się.

— Nie mają czego zapominać,—zawołała.

— Potwarzy, szepnął.

— Tę pamiętają. Zapominają tylko zbrodni szczęśliwym zwycięzcom.

Zyzma nie wiedział co odpowiedzieć.

Podaną herbatę pito w milczeniu przerywaném nic nieznaczącemi wyrazami.

Sali, była zamyślona, duże jéj oczy nabrały tajemniczego blasku, zdawało się, że rozbudzona dusza ciekawie przez nie na świat wygląda.

Przypatrywał się jéj Zyzma uderzony zmianą jéj uspobienia a nawet i rysów.

— Sali, zdaje mi się żem cię już dawno nie widział, odezwał się siląc się na uśmiech.

— Prawda, dawno, lecz ja czasu nie mam odwiedzać cię a ty przychodzić tu nie możesz.

— Od dziś może przychodzić wiele razy mu się podoba,—odpowiedziała żywo pani.

Zyzma się skłonił, Sali nie wiedząc sama dlaczego posmutniała.

— Staś często wspomina swego przyjaciela i ucieszy się gdy pana będzie mógł widywać.

Młody człowiek powstał.

— Już—tak prędko?—spytała.

— Dziesiąta, odpowiedział nieśmiało, pożegnał się i wyszedł.

— Kobieta ta szarpie się i męczy skuta fatalnemi warunkami swéj egzystencyi. Nie śmiem spojrzéć jéj w oczy, towarzystwo jéj przygniata mnie,—chociaż mnie jakaś siła przykuwa do niéj.

Szedł szybko jakby chciał uciec od własnych myśli.

Po odejściu Zyzmy, młoda kobieta pochyliła głowę na piersi, oczy zmrużyła siedząc nieruchomie. Sali popatrzała na nią smutnie i na palcach odeszła do swego pokoju.

Gdy się zobaczyła samą zerwała się gwałtownie.

— Nie spytał się nawet, szeptała, kto jest mój napastnik, aby go wypoliczkować.

Nienawidziła ciotki i jéj syna i radaby całą zemstę wywrzéć na nich.

— On tego nie rozumie, pomyślała smutnie wstrząsając głową. Jego pojęcia są inne. Pewno się boi. Zdawał się być wystraszony. Czyżby odgadywał moje pragnienia? Rad był jak najprędzéj uciec. Na me zaproszenia odpowiadał zaledwo skinieniem głowy.

— Nikogo—zawołała. Z całéj téj zgrai, która mnie otaczała, na balach, wyścigach, z któréj połowa udawała że się we mnie kocha— nikogo. Nikt się nie zbliży, nie poda ręki, nie spyta się i nie odezwie się.—Oskarżają cię—powiedz czy to jest prawda? Zsunęła się na kozetkę i twarz ukryła w dłonie.

— Kiedy tak, to sama się będę mścić—zdecydowała. Niech mnie widzą z nim, niech pokazują palcami więcéj spotwarzyć nie mogą.—Hańba moja spadnie i na wasze głowy, słyszycie—krzyknęła...

Staś się obudzil, wbiegła wystraszona Sali.

— Czy jutro jest przedstawienie w teatrze,—spytała dziewczynki.

— Opera, odpowiedziała.

— Moje dziecko, idź jutro rano do pana Zyzmy i proś go aby wziął dla mnie lożę.

— Pani chce iść do teatru.

— Taki mam zamiar.

— Sama?

— Z panem Zyzmą.

Sali nic nie odpowiedziała, postała chwilę, pocałowała panią w rękę, powiedziała jéj dobranoc i odeszła.

— Zyzma, pani chce iść z tobą do teatru, kazała mi powiedzieć ci, abyś kupił lożę,—mówiła zdyszana dziewczynka chwytając gwałtownie w płuca powietrze.

— Kiedyż ci to mówiła, spytał Zyzma.

— Wczoraj wieczór.

— Dziś rano nie powtórzyła.

— Dziś się z nią nie widziałam, spała.

Młody człowiek zamyślił się.

— Zyzma, odezwała się serdecznie, nie kupuj loży i nie bierz pani do teatru.

Zyzma się patrzał na nią ciekawie.

— Bo widzisz, mówiła daléj cicho spuszczając oczy, pani wczoraj była jakaś dziwna, pewno chora, tyś mi zakazał mówić o tobie i o niéj razem, pani nie życzyła sobie abyś przychodził a teraz chce iść z tobą do teatru. Tybyś może rad był pochwalić się panią, ale Zyzma to byłoby nieuczciwie.

— Zmądrzałaś, rzekł Zyzma.

Na bladą twarz dziewczynki wystąpiły płomienie, oczy spuściła i nie odpowiedziała ani słowa.

— Zrobię jak chcesz. Chodźno tu bliżéj, przysunął ją do siebie. Zkąd ci takie myśli przyszły.

— Słyszałam co mówił pan Daniel i co subiekci mówili.

— Cóż takiego?

— To że ludzie nie powinni cię widziéć razem z panią.

— Nie powinni, powtórzył, powstał i chodził po pokoju.

— Cóż powiesz pani.

— Że cię nie ma.

— Przyszle cię późniéj.

— To powiem żeś wyjechał.

— Powiedz, żem pojechał za interesami do Wiednia i nie wrócę jak za tydzień.

— A jak się pani domyśli podejścia.

— To tém więcéj nie będzie nalegać.

— Prawda, ale jéj będzie przykro. Ona taka dumna i dla mnie dobra, jak się dowie żem ją oszukała?

— Wyjadę na dwa dni, zaraz, za godzinę—daję ci słowo. Nie chcę aby pani straciła w nas wiarę.

— Zyzma, ty jesteś dobry, bardzo dobry—mówiła wzruszona.

— Dziękuję ci,— odpowiedział uśmiechając się.

Dziewczynka zbliżyła się do niego, ujęła go za rękę i pocałowała.

— Zyzma, mówiła cicho, głos jéj drżał, ja się chcę uczyć.

— Jakto, nie uczysz się?

— Mało, cały dzień siedzę w sklepie. Jestem już stara i nic nie umiem.

— Kilka miesięcy temu oburzałaś się na moje projekta co do twojéj nauki. Powiedziałaś że do handlu wielkiego rozumu nie potrzeba.

— Byłam głupia, zawołała z mocą. Córka biednego ojca, musiałam od ośmiu lat na kawałek chleba pracować. Sklep, handel, były to moje marzenia. Dzisiaj otworzyły mi się oczy. Sklep nie jest

wszystkiém, ja nic nie umiem. Co dzień muszę się wstydzić przed mym nauczycielem. Pan Daniel jest dobry, lecz gdy się uśmiecha z mojéj głupoty, wtedy radabym się pod ziemię skryć.

— Czegóż chcesz.

— Żebym do południa nie siedziała w sklepie. Pani sama da już sobie radę. Po południu większy ruch, często tłok, to niechże wtedy pani sobie odpocznie i idzie na górę, a ja już wystarczę i za siebie i za nią. Zyzma pozwól mi, prosiła, łzy świeciły w jéj oczach.

— Może to będzie lepiéj dla pani, gdy będzię mogła pół dnia odpocząć.

— Lepiéj, przysięgam ci Zyzma, że lepiéj.

— Mowiłaś z panią?

— Nie, lecz powiem jéj dziś—zaraz.

— Zgoda, pomóż mi zapakować rzeczy i gdy chłopiec wróci z poczty, odwieziesz mnie na koléj.

— Gdzie pojedziesz?

— Nie wiem. Siadam na pierwszy pociąg, który będzie odchodził. Powiesz pani że dostałem ważny telegram i musiałem jechać. Co dzień będziesz mi donosić jak się ma pani, czy się już uspokoiła i czy Daniel co raz więcéj czy téż coraz mniéj się uśmiecha.

Dziewczynka się odwróciła aby nie pokazać swych rumieńców.

Zaczęli w kuferku układać rzeczy.

— Czy on naprawdę jest bardzo rozumny, spytał Zyzma mając na myśli Daniela.

— Rozumniejszy od naszych rabinów, odpowiedziała naiwnie.

— Dobrego ci znalazłem nauczyciela.

Dziewczyna westchnęła, Zyzma rzucał na nią badawcze spojrzenia.

— Urosłaś i wyładniałaś, śliczne masz oczy. Sali, z ciebbie się robi przystojna dziewczyna. Muszę myśléć o posagu.

— Ja nie pójdę zamąż,—zawołała.

— Nie!? powtórzył—nie pójdziesz. I mimowoli przypomniał sobie wyrazy chorego żyda o swéj córce. „To ogień.“

Znowu zasady dziedziczności wypowiedziane przez redaktora Nowéj Presy stanęły mu w myśli. Dwa tysiące lat nie mogło ochłodzić gorącéj krwi rozgrzanéj słońcem południa.

— Ten Daniel to ciekawa figura—stoi na czele młodzieży tak gwałtownéj jak Józef i opanowuje serce dziewczyny tak namiętnéj jak Sali, a sam jest cichy, łagodny i zimny. Nabrał do niego sympatyi połączonéj z szacunkiem.

XI.

Fakt przebywania w sklepie Zyzmy hrabianki Brańskiéj z domu, rozdzielił opinją w mieście na dwa obozy. Arystokracya i ci którzy się do niéj cisną zmaltretowali ją. Mieszczaństwu, które rade powtarza wszystkie plotki wyniesione z salonów pochlebiało, że hrabianka stanęła za ladą sklepową, i dla tego uważało biedną kobietę za ofiarę chciwości żyda, który umiał wyeksploatować jéj nieszczęście. Skutkiem tego usposobienia coraz więcéj ludzi cisnęło się do sklepu okazując dużo współczucia i sympatyi dla nieszczęśliwéj.

Objawy te tyle wpłynęły na młodą kobietę, że odważyła się wychodzić przed wieczorem ze Stasiem do Jezuickiego ogrodu. Na ulicy często ustępowano jéj z drogi z oznakami szacunku i sympatyi. Na przejeżdżające karety nie patrzyła nie chcąc się spotkać ze spojrzeniami pogardy. Przeczuwała je.

Powoli gwałtowna chęć zemsty zamierała w niéj. I chociaż myślą ciągle przebywała w świecie, w którym dawniéj żyła, zaczęła się przyglądać obcym ludziom okazującym jéj sympatyą—jéj osądzonéj i potępionéj.

Zyzma wrócił lecz się nie pokazywał i gdy raz zobaczył ją na Sykstuskiéj ulicy odwrócił się nagle i szybko skręcił do pierwszéj przecznicy.

Młoda kobieta widziała ucieczkę lecz się nie gniewała. Musi on być naprawdę szlachetnym, pomyślała, chociaż jest żydem. Nie skorzystał ani ze swego stosunku do mnie, ani z mego rozdrażnienia. Zarumieniła się na wspomnienie tego wieczoru w którym wezwała Zyzmę do siebie i tak dziwnie się wobec niego zachowywała.

Jednego z ciepłych dni przed samym wieczorem, siedziała na odosobnionéj ławeczce. Na trawniku bawiła się służąca ze Stasiem.

Zamyślona nie spostrzegła młodéj damy zbliżającéj się ku niéj. Dopiero szelest jedwabnéj sukni oprzytomnił ją, spojrzała, wzrok ich skrzyżował się. Młoda dama, którą widziała w Prerau uśmiechnęła się serdecznie, lekko skłoniła głową i odezwała cicho.

— Przyjdę—do widzenia.

Ognie wystąpiły na twarz biednéj kobiety, nie odkłoniła się, spuściła oczy i podniosła je dopiero wtedy, gdy już nikogo na ścieżce nie było.

Co znaczyły wyrazy wypowiedziane przez dawną przyjaciółkę, nie umiała sobie wytłómaczyć.

Nazajutrz wieczorem o szaréj godzinie, po schodach biegła Sali a za nią dwie kobiety zasłonięte woalami.

— Pani, szepnęła Sali wbiegając do pokoju zdyszana, jakaś dama ze swoją panną idą tu—zostawiłam je na drugiem piętrze.

Młoda kobieta zbladła, serce jéj biło gwałtownie, lecz się nie poruszyła.

Sali wybiegła i za chwilę otworzyła drzwi, wpuszczając zawoalowaną damę. Panna służąca została w przedpokoju. Drzwi się zamknęły.

— Amelka—zawołała dama, zrzucając woalkę, postąpiła parę kroków naprzód z wyciągniętemi rękami.

Rzewny ton głosu rozbroił młodą kobietę, powstała, biegnąc ku wchodzącéj.

— Nareszcie jestem u ciebie, przy tobie i z tobą. Nie uwierzysz jak pragnęłam zobaczyć cię i uściskać. Lecz cóż, znasz moją matkę, rygorystka i surowa. Dopiero po jéj wyjeździe udało mi się wymknąć z domu na godzinkę.

— Amelia posadziła ją obok siebie na kanapie.

— I odważyłaś się przyjść do mnie?

— Nie potrzeba na to odwagi, gdyż w żadne plotki nie wierzę. Aż nadto dobrze cię znam, cenię i wierzę ci. Że dla własnéj obrony twéj ciotki potrzeba było twego potępienia, że świat, szczególniéj nasz, woli plotkę i potwarz jak prawdę i często przed prawdą ucieka, to są rzeczy znane.

— Nie wierzysz?

— Gdybym wierzyła, czyżbym przyszła? Znam wszystkie twoje przejścia, od chwili przegranéj aż do umieszczenia się twego tu na trzecim piętrze. I dla tego kto ci dał przytułek, nie jesteś obowiązaną czuć wielkiéj wdzięczności.

— Co mówisz?

— Zwyczajnie sprytny żyd, wybornie wyeksploatował twoje nazwisko, twoje stosunki i pozycyą. W sklepie jego tłum, nie dla jego nici lecz dla ciebie. Okrywa cię pewną tajemniczością, broni nawet i pozornie dba o twoją dobrą sławę. Jednémn słowem żyd zawsze żydem, dobry zrobił interes i zręcznie prowadzi swój handel:

— Zkąd ty o tém wiész?

— Mówił mi to wszystko mój dawny nauczyciel muzyki, poczciwy Cielecki i gdybyś mu tylko pozwoliła przyjść uszczęśliwiłabyś go. Nareszcie dajmy pokój żydom i handlarzom... Musisz się okropnie męczyć, sprzedawanie nici i guzików nie jest wesołe. Lecz pewno jest-to dla ciebie bagatelą w porównaniu z towarzystwem. To cię musi zabijać, to jedno jest okropne. Pojmuję pracę najcięższą lecz za nią w nagrodę choć-by na jedną małą godzinkę ludzi z naszego świata, prawda?.. Bo któż cię tu otacza. Dwóch subiektów i żydó-

weczka, która mi wskazała drogę. Dziwne koleje losu. Ty królowa naszych wszystkich zebrań, dusza naszych zabaw.

— Droga Julciu nie mówmy o tém co się nie wróci.

— Musi wrócić. Jedyny warunek jaki stawiam memu narzeczonemu jest ten, abyśmy nazajutrz po ślubie oddali ci wizytę. I wrócisz do nas na rozpacz cioci Cesi i wszystkich innych. Twój kuzyn dyplomata nigdy teraz nie wymówi twego imienia i nazwiska. Omawiając je zręcznie i dyplomatycznie..... Ślicznego masz syna, miałam wielką ochotę ucałować go w Prerau. Zawołaj go.

Przyniesiono Stasia, nastąpiły pieszczoty.

— Sejm się zbliża, rozpierzchnięty nasz świat zaczyna się ściągać powoli. Nastąpią recepcye, wieczory, przyjęcia u Namiestnika, potém koncerta i nareszcie karnawał. Jakżebym rada przybiegać tu do ciebie choć-by co dzień, tyle pewno będzie nowin ciekawych i zabawnych do opowiadania. Odżyła-byś samemi wspomnieniami. Tylko cierpliwości a skończy się to wszystko... Przyszlę ci poczciwego Cieleckiego. Ucieszy się gdy się dowié, że byłam u ciebie. On się musiał w tobie kochać, jak wielu, jak wszyscy. Pocałowała ją w czoło i zerwała się.

— Już, tak prędko—szepnęła, budząc się jakby ze snu.

— Przyjdę tu jutro, po jutrze, kiedy tylko będę mogła. Ojciec czeka... jedziemy dziś do teatru. Pewno się spóźnię, lecz w obec tego, że ciebie odnalazłam, nic mnie to nie obchodzi. Do widzenia, wierzę w ciebie jak w świętą i kocham jak siostrę. Uścisnęła jéj rękę, jeszcze raz pocałowała i wybiegła.

Młoda kobieta została sama. Wspomnienia świetnych jéj dni, zabaw i balów, uśmiechów, półsłówek, zalotnych spójrzeń, strojów, muzyki, światła i salonów tłoczyły się do jéj mózgu. Przyjaciółka przyniosła jéj woń świata, w którym tak długo żyła, jego swobodę traktowania wszystkiego lekko, powierzchownie i dla tego przyjemnie.

Zaczęła tęsknić. Zdawało jéj się, że wieki minęły od czasu gdy porzuciła ten rozkoszny świat, tymczasem rówienniczka jéj dziś jeszcze panna, młoda, świéża i piękna stała przed chwilą przed nią. Żyd okrywa ją pewną tajemniczością, aby lepsze na niéj robić interesa. Wzdrygnęła się na tę myśl.

Weszła Sali, podparła się ręką, zasłaniając oczy. Nie była w stanie znosić w téj chwili swego zwykłego towarzystwa.

Dziewczynka wysunęła się na palcach, młoda kobieta odetchnęła ucieszona, że daléj swobodnie marzyć będzie mogła. Dziwny ją smutek i żal opanował. Nie wiedziała jak daléj wyżyć będzie mogła w atmosferze sklepu i swego dotychczasowego otoczenia.

Żyd nie chciał ją zabrać do teatru, uciekał przed nią na ulicy, nie przychodził, mimo, że mu pozwoliła..... Przeczuwała, że był nią zajęty, była mu wdzięczna za jego szlachetność i delikatność, posuniętą do ofiar. Dziś przekonywa się, że to była tylko spekulacya na jéj nazwisko. Nie była niczém innéni, jak tylko firmą i reklamą.

Gdyby została w Wiedniu, niezawodnie znalazła-by środki do życia, przecież niedawno zachwycano się jéj muzyką w salonach, uwielbiano ją jako artystkę. Zerwała się, pobiegła do pianina, otworzyła go nerwowo, usiadła i grać zaczęła.

Z początku palce nie chciały jéj słuchać, pamięć ją zawiodła, lecz siłą woli i rozstrojonych nerwów przezwyciężyła się i po paru nieudałych próbach, rozbrzmiewała z pod jéj palców najłatwiejsza z Bethowenowskich sonata „patetique".

Drzwi uchyliły się pocichu, na progu ukazała się Sali ze Stasiem na rękach, a za nią służąca, słuchając muzyki „pani".

Nie mogła grać przy świadkach. Przestała, i aby się ich pozbyć, wzięła książkę, rozłożyła i udała że czyta.

Dziewczyna popatrzala na nią smutnie. Staś ujął ją za szyję, odeszła, zamykając drzwi, aby najmniejszego hałasu nie zrobić.

Nazajutrz rano młoda kobieta wstała uspokojona, nerwy wróciły do normalnego stanu. Przy śniadaniu uśmiechała się, była łaskawa dla Sali, Stasia pieściła i ubrana wykwintniéj jak zwykle, zeszła do sklepu.

Wizyty przyjaciółki powtórzyły się. Za każdym razem przybywało coraz więcéj szczegółów z życia towarzystwa, a z niém i coraz więcéj wspomnień szczęśliwych i wesołych chwil, które w sercu młodéj kobiety budziły tęsknotę i żal.

Przyszedł dawny nauczyciel muzyki i on to dopiero wytłómaczył opinie panujące w mieście, o przyczynach pobytu jego pięknéj i szlachetnie urodzonéj uczennicy w sklepie. On to dopiero wykazał i dowiódł z nieubłaganą konsekwencyą, całą przebiegłość i zręczność żydowską od pierwszéj chwili poznania.

Gdy tylko młody żyd zobaczył ją, a niezawodnie musiał poznać, bo przecież bywał we Lwowie, już cały plan ułożył i po mistrzowsku go przeprowadził. Wszystkie dowody, mówiące na jego korzyść, były tylko dowodami przebiegłości żydowskiéj i wielkiego sprytu. Nic na nim nie zostawił prócz chciwości, Sali była jego wspólniczką.

Napróżno ją młoda kobieta broniła wszelkiemi siłami. Nie pomogło, gdyż objawy serca dziewczynki pod siłą zręcznéj dyalektyki nauczyciela zmieniły się w chytrość, usiłującą wkraść się w łaski, dla pozyskania zaufania, aby późniéj zyski z niego ciągnąć.

Jako rezultat téj rozmowy nakazaną została ze strony nauczyciela do czasu wszelka możliwa ostrożność. Lekcye muzyki po czteroletniéj przerwie znowu się rozpoczęły z pewną namiętnością ze strony uczennicy.

Młoda kobieta całe wieczory na muzyce spędzała, aby tym sposobem odzyskać jak najprędzéj utraconą biegłość.....

Nocami, gdy zasnąć nie mogła, przychodziły jéj na pamięć zachowanie się z nią Zyzmy i jego rozmowy, na które się oburzała. Dziś przychodziła do przekonania, że żyd był szczerym i jasno stawiał kwestyą. Z jedném tylko przypuszczeniem nie mogła się pogodzić, aby Sali kłamała przed nią swe uczucia i przywiązanie.

Od chwili oziębienia serdecznych z nią stosunków, dziewczynka stała się smutna i zamyślona, coraz rzadziéj się pokazywała, a jeżeli przyszła, to jedynie do Stasia. Gdy „pani“ nie zwracała na nią uwagi, wpatrywała się w nią wzrokiem pełnym tęsknoty i żalu.

Czuła ten wzrok młoda kobieta spoczywający na jéj twarzy. Chciała przybiedz do niéj, uściskać ją, przytulić, ucałować. I zrobiła-by to z pewnością, gdyby nie nakazana ostrożność i gdyby nie nauczyciel, który za każdą lekcyą przynosił nowe dowody niegodziwości żydów.

— Nie ma zbrodni—powtarzał—do któréj-by żyd pośrednio lub bezpośrednio nie należał. Ten Zyzma, który biblioteczkę „pani“ zaopatrzył samemi polskiemi książkami, jest w spółce z najohydniejszém pismem, największym naszym wrogiem. Spotwarza nas w swych korespondencyach, znęca się nad nami, abyśmy sami o sobie zwątpili, a oni tém łatwiéj nas wyzyskiwali.

Młodą kobietę przechodziły dreszcze nerwowe, zamykała oczy, drżała ze strachu i z gorączkowym niepokojem rzucała się do pracy, grając po całych nocach.

Pragnęła jak najprędzéj zdobyć sobie taką wprawę i tyle wiadomości, aby módz zarabiać na kawałek chleba i uciec ztąd jak najprędzéj. Nauczyciel przyrzekł lekcyj dostarczyć.

Uciekać, uciekać, chociaż-by miała się zapracować, chociaż-by miała głód cierpiéć. Może wtedy ludzie z jej towarzystwa powiedzą, że nie jest kochanką żyda.

Koniec części drugiéj.

Sewer.

ODNOWA ETYKI.

Zasady Moralności przez Jerzego Giżyckiego. Dziełko uwieńczone na konkursie berlińskim 1883. Przełożył z niemieckiego Henryk Wernic, Warszawa, 1884, str. 141.

Jeżeli kogo z czytelników zajmują przedmioty, o których mówi etyka; jeżeli choć nieco obznajomiony jest z bieżącą literaturą téj umiejętności: musiały go uderzyć głosy domagające się odnowy, a może całkowitéj przeróbki dotychczasowych pojęć o życiu obyczajowém. Najprzód czytelnik, o którym mowa, rad nie rad, musiał sobie zdać sprawę z rozmaitych określników łączonych dzisiaj z etyką, mianowicie z takiemi np. przymiotnikami: etyka *metafizyczna*, etyka *intuicyjna*, etyka *doświadczalna*, etyka *utylitarna*, etyka *ewolucyjna* itd. Pomijamy tu odróżnianie etyki ze względu na wyznanie religijne, albo na dawne szkoły filozoficzne, gdyż takie odróżnienia mogłyby na teraz przedmiot jeszcze bardziéj zagmatwać. Niemałyto bowiem kłopot, gdyby komuś przyszła potrzeba wybierania między tylu etykami; gdyby się znalazł w konieczności rozstrzygnięcia jakiego przypadku praktycznego, obrania dla siebie drogi postępowania, lub wskazania jéj innym: czy radzić epikurejską, czy stoicką etykę.

Powtóre, czytelnik taki musiał zauważyć wielki chaos krzyżujących się poglądów w zakresie etyki, tak co do jéj zakresu jak i co do zasadniczych pojęć o obowiązku i cnocie, o sankcyi i pobudkach, o kryteryum, zapomocą którego mamy mierzyć postępowanie ludzkie, o początku uczuć moralnych, o metodach, jakiemi badać należy zjawiska obyczajowe. Słowem, czytelnik znający ile tyle ruch na tém polu umiejętności, musiał dojść do wniosku, że stary gmach etyki, w teoryi przynajmniéj, zburzono, a do nowego dopiero budowniczowie gromadzą materyały. Jednym z takich budowniczych jest

bardzo utalentowany i już od dziesiątka blisko lat czynny w literaturze niemieckiéj p. Jerzy Giżycki, privat-docent filozofii przy uniwersytecie berlińskim. Jakkolwiek autor nosi polskie nazwisko, nie śmiemy go annektować, gdyż z robót jego po niemiecku drukowanych wcale nie znać, żeby chciał do nas należéć. Dla zapoznania zaś czytelnika z p. Giżyckim wzięliśmy pod uwagę jego książeczkę tłomaczoną na język polski dlatego, że w niéj spotkaliśmy niejako streszczenie dawniejszych prac autora, oraz usiłowanie przyczynienia się do odnowy etyki. Przeglądając małą tę książeczkę, będziemy mogli ocenić, do czego zmierza rekonstrukcya nauki obyczajowéj. Że jednak chcemy za jednym razem dać poznać autora i wskazać dążenia nowéj etyki, musimy choć pokrótce przypomniéć dawniejsze prace p. Giżyckiego.

Jeszcze w r. 1876 p. G. wydał rozprawę pod tytułem: *Filozoficzne następstwa teoryi rozwoju* według Lamarcka i Darwina. Autor sam tak charakteryzował swoję rozprawę: „Będąc przekonanym, że biologiczna teorya rozwoju jest naukową zdobyczą na wszystkie czasy zapewnioną, postanowiłem w niniejszém studyum wskazać jéj następstwa w zakresie psychologii, teoryi poznania, moralności i religii, pod postacią jednolitego, lubo nie jednostronnego na świat poglądu. Oprócz tego, dowodziłem, że właśnie ta teorya (rozwoju) musi bezstronnego myśliciela skłonić do przyjęcia wewnętrznéj teleologii nie wyłączającéj mechanizmu natury.“

W tymże roku wydał autor znacznie większą od poprzedniéj rozprawę, albo powiedzmy raczéj książkę o 200 stronnicach pod tytułem: *Filozofia Shaftesbury'ego*, o któréj znów sam tak pisał: „W czasach, gdy ludzie czują naglącą potrzebę etyki takiéj, któraby ani obcą, ani wrogą nie była fizyce, rozprawa moja stara się wykazać, że już Shaftesbury (1671+1713) zadaniu temu w głównych punktach zadość uczynił; że on już dostarczył pierwiastków do etyki i filozofii religii, które przystają do przyrodniczego na świat poglądu, takiego, jakiego ogólna teorya rozwoju wymaga.“ Niemiecki krytyk rozprawy p. Giżyckiego, A. Riehl przyznawał wówczas. że autor dziełem swojem wzbogacił moralno-filozoficzną literaturę niemiecką; że on-to po raz pierwszy wydobył na światło dzienne prawdziwy związek wśród myśli Shaftesbury'ego; że dowiódł, iż przyrodniczo-umiejętna etyka winna snuć daléj idee Shaftesbury'ego, który je nietyle naukowo, ile raczéj intuicyjnie sformułował.

We dwa lata późniéj, 1878, p. Giżycki wydał obszerne studyum o etyce Dawida Hume'a, pod tytułem: *Etyka Dawida Hume'a i jéj historyczne stanowisko.* Zamiarem tego pisma, mówi autor, jest zapewnić również i w Niemczech uznanie dla zasadniczych pojęć „Newto-

na etyki," i przyłożyć się do słusznego ich rozumienia i ocenienia. W dwóch rozdziałach téj pracy, wstępnym i końcowym, p. G. roztrząsnął pisma celniejszych moralistów angielskich takich jak: Bacon, Hobbes, Cudworth, Clarke, Wollaston, Cumberland, Locke, Shaftesbury, Butler, Hutchinson, A. Smith, Hartley, Mackintosh, Bentham, St. Mill, Darwin. Tym sposobem czytelnik może się łatwo zapoznać z całą etyką angielską i przed i po Humie. Że rozbiorowi etycznych pojęć Hume'a poświęcono najwięcéj miejsca, leżało to w naturze samego studyum. Do książki téj, autor dołączył długi *Dodatek* wyjaśniający, jak rozumiéć naczelną zasadę moralności, tj. powszechną szczęśliwość (*die uniwerselle Glückseligkeit*).

Idąc koleją czasu spotykamy się z książeczką p. Giżyckiego pod tytułem *Grundzüge der Moral* (1883). Na okładce czytamy, że praca ta została uwieńczona na konkursie ogłoszonym przez Towarzystwo imienia Lessinga („Lessing-Verein"). To właśnie dziełko przełożył na język polski p. H. Wernic i dał mu tytuł *Zasady Moralności.* Właściwie, *Grundzuge*, należałoby tłómaczyć wyrazem *Zarysy*, nie *Zasady*, które po niemiecku brzmią *Grundsätze*, ale mniejsza o tę drobną niedokładność w przetłómaczeniu tytułu.

Nareszcie, żeby skończyć z bibliografią, dodajemy, że p. Giżycki ogłosił parę artykułów drobniejszych, krytycznych, oraz studyum o utylitaryzmie w piśmie *Vierteljahrsschrift für wissenschaftliche Philosophie* a obecnie najświeższą rozprawkę pod tytułem: *Uwagi wstępne do badań o wartości filozofii przyrody Epikura* (1884). Kwartalnik angielski *Mind* z r. b. takie w tym przedmiocie zawiera doniesienie od samego autora: „Autor powołując się na Hegla, Rittera i Zellera wykazuje, jak namiętnie do dziśdnia sądzono filozofią Epikura, oraz nalega, żeby w obrazowaniu systematów filozoficznych zaniechać całkowicie pochwał lub nagan, a ograniczać się na objektywnym wykładzie i wykazaniu ich wpływu." Tyle zebraliśmy wiadomości o literackich pracach p. Giżyckiego. Dawniejsze z nich o tyle wspomnimy, o ile to będzie potrzebne do uzupełnienia wiadomości i zrozumienia treści książeczki tłómaczonéj na polski, tj. *Zasad Moralności.* Dodajmy, że mniéj nam będzie chodziło o samę tę książeczkę, a więcéj o dążność nowéj etyki.

Nie pamiętamy, żeby się kiedy więcéj zajmowano etyką, niż w naszych czasach; wprawdzie ten żywy ruch umysłów około zagadnień etycznych bardzo zdaleka nas dotknął i zaledwie po wierzchu literaturę naszę spółczesną musnął: za to na Zachodzie, we Francyi, Włoszech, Niemczech, a szczególniéj w Anglii uczeni bardzo gorliwie w ostatnich kilkunastu latach pracują nad odnową etyki. Wielu czytelnikom znane są przynajmniéj ze słyszenia nazwiska mężów takich, jak z dawniejszych, Bentham'a, Mackintosh'a, a ze spół-

czesnych Stuarta Mill'a, Bain'a, Spencera, Grote'a, Sidgwick'a, Leslie Stephen'a i innych (1). Fakt-to godzien uwagi dlatego mianowicie, że zagadnienia etyczne łączą się z najżywotniejszemi sprawami jednostki i społeczeństw, z ich dobrobytem moralnym i materyalnym. Daléj, etyka zostaje w tak ścisłym związku z innemi naukami, jak np. z hygieną, prawem, ekonomią polityczną, że bez jéj pomocy i te gałęzie wiedzy ludzkiéj musiałyby szwankować. A cóż dopiéro powiedziéć o wpływie jéj na rozwiązanie tak zwanéj sprawy socyalnéj? Wobec konkurencyi interesów miażdżącéj niepoliczone masy pracowników, gdy prawo w uregulowanie tych stosunków wdawać się nie chce lub nie może, a z drugiéj strony doradzane przez komunistów przekształcenie z gruntu stosunków społecznych uchodzi za utopią; pozostaje tylko budzenie w mocnych tego świata owych moralnych i szlachetnych uczuć względem słabszego, które kształci i porządkuje etyka. Słowem, rozumiemy, dlaczego najwybrańsze umysły zajmują się uprawą gruntu etycznego: życie indywidualne i życie zbiorowe tak polityczne jak i ekonomiczne zawisły od życia obyczajowego i na tém ostatniém oprzéć się muszą jakby na fundamencie. Ztąd etyka rodzinna, ekonomiczna, polityczna, tak jeszcze dziś chwiejne, muszą się ustalić, ażeby stosunkom domowym i międzynarodowym nadać fizyognomią nieco weselszą, nieco pogodniejszą. Odpowiednio do rozwoju umysłowego, musi téż postępować i rozwój moralny, na który teorya etyki winna, zgodnie z pojęciami czasu, nowe rzucić światło. Przestano bowiem dziś wierzyć, jakoby pojęcia, zasady, maksymy obyczajowe mogły być, raz na zawsze, jednakie dla wszystkich ludów i wieków. Absolutnie doskonałych teoryj, ani w etyce, ani w żadnéj umiejętności wymagać niepodobna: ztąd potrzeba odnowy.

Ale na czém ta odnowa etyki polega? Jest-że ona już ukończona, czy dopiero zaczęta? Odpowiedź na oba pytania znajdzie się w dalszym ciągu niniejszego artykułu.

Chcąc rozumiéć, na czém polega i do czego zmierza nowa etyka, trzebaby wziąć dwóch przedstawicieli etyki, np. Arystotelesa i H. Spencera i doktryny ich porównać z sobą, ażeby się okazało, w czém się różnią, a w czém zgadzają. Wprawdzie między jednym a drugim ciągnie się przez całe wieki długi szereg moralistów, którychby nie można szeregować pod te dwie chorągwie; jednakże poczyniwszy odpowiednie zastrzeżenia, osiągnęlibyśmy dość wierne obrazy staréj i nowéj etyki. Że takie szczegółowe porównanie uro-

(1) O spółczesnéj etyce angielskiéj dobrą informacyą zawiera dzieło *La Morale Anglaise contemporaine* par M. Guyau. Paryż 1879.

sło-by w osobną książkę, a my tu ledwie krótki artykuł piszemy; więc trzeba się ograniczyć do wskazania zasadniczych punktów, różniących nową etykę od starożytnéj lub tylko dawniejszéj.

Filozofia moralna u Greków i Rzymian obejmowała trzy części stanowiące dzisiaj kilka, jeżeli nie kilkanaście odrębnych nauk. Zaliczano do niéj *etykę*, klóréj zadaniem było uczynić jednostkowego człowieka doskonałym; *ekonomikę*, która uczyła, jak rządzić domem, a więc dziećmi, służbą, gospodarstwem; *politykę*, która uczyła, jak rządzić miastem lub państwem. Dzisiejsza etyka także ma na celu wskazać prawidła obyczajowego postępowania dla jednostki, uznaje związek swój z ekonomiką i polityką, ale formułując swoje nakazy i zakazy więcéj ma względu na szczęście lub niedolę jednostki i społeczeństwa, niż na państwo. U starożytnych jednostka o tyle coś znaczyła, o ile stanowiła cząstkę państwa: ztąd téż i etyka służyła właściwie polityce. W dziełku p. Giżyckiego czytamy, że „praktycznym celem uprawiającego filozofią moralną, albo etykę, jest—kierować sumieniami pojedyńczych ludzi, regulować wogóle ich postępowanie, oraz kierować ich uznaniem lub potępieniem postępowania innych ludzi, a więc i publiczną, moralną opinią, iżby ile możności pozytywna moralność odpowiadała moralności idealnéj". (str. 8). H. Spencer, rozwijając definicyą moralności, jako nauki, mającéj regulować jednostkowe postępowanie, dodaje, że zakres jéj rozciąga się do wszelkiego postępowania, które sprzyja lub niesprzyja, czy-to wprost, czy pośrednio, naszemu szczęściu lub pomyślności innych (1).

Tak więc w nowéj etyce przedmiot badań został ściśléj określony pod jednym względem, a rozszerzony pod drugim, mianowicie w tém, że dobre postępowanie uznano za obowiązujące nietylko względem ludzi jednego miasta lub państwa, lecz względem wszystkich ludzi, a nawet istot niższych od ludzi. Nie co innego zaleca téż chrześciaństwo, gdy nam każe czynić dobrze bliźnim, bez względu na ich narodowość lub wiarę. To jest moralnie dobrém, co sprzyja naszemu szczęściu lub szczęściu innych. W tém wyrzeczeniu leży, oraz kryteryum czynów naszych i cudzych. Zobaczymy, iż co do kryteryum nowa etyka także różni się od staréj.

Gdy chodzi o miarę, według któréj oceniamy czyny ludzkie, nazywając je dobremi lub złemi, historya uczy, że religie i szkoły filozoficzne, rozmaitą miarę, skalę, czyli kryteryum podawały. Jedni

---

(1) H. Spencer, *Data of Ethics*, w tłómaczeniu francuzkiém *des Bases de la Morale Evolutioniste*. Paryż, 1880. str. 241. Toż samo dzieło wyszło i po polsku, pod tytułem *Zasady Etyki*, przez J. Karłowicza. Warsz. 1884.

mówili i mówią, że to jest moralnie dobrém, co się zgadza z objawioną wolą Bożą, a moralnie złém, co się z nią nie zgadza. Drudzy, jak Hobbes, że to jest moralnie dobrém, co się zgadza z wolą panującego, monarchy, który znów za swoje czyny odpowiada samemu Bogu. Trzeci utrzymywali, że ludzie mają wrodzony zmysł moralny, sumienie, czyli sędziego wewnętrznego, który decyduje o tém co złe, lub dobre, słuszne lub niesłuszne. Ktoś inny znów twierdził, że osobisty nasz interes jest takim sędzią, że zatém to, co temu interesowi sprzyja, jest dobrém, a co go krzyżuje, złém. Osobiste, własne szczęście, zadowolenie, czy pomyślność, należało-by według tego systematu, mieć zawsze i we wszystkiém na pierwszym planie. Jest-to tak zwany hedonizm egoistyczny. Nie przypuszcza on w człowieku bezinteresowności; w każdym uczynku, pozornie bezinteresownym, widzi interes czyniącego, choć-by to był interes najszlachetniejszy, jak np., gdy wspierając jałmużną żebraka, chcemy przez to ulżyć własnéj przykrości, jaką nam widok nędzy sprawia. Nareszcie są tacy, którzy za miarę moralności czynów ludzkich uważają ich użyteczność, mówiąc, że te tylko czyny są dobre moralnie, które są użyteczne dla działacza lub jego bliźnich, które powiększają jego szczęście, lub szczęście innych ludzi, że czyny owe tym są lepsze, tym wyżéj stoją na skali moralnéj, im większéj liczbie ludzi zapewniają szczęście lub zmniejszają niedole i przykrości. Jest-to tak zwany hedonizm uniwersalny, albo inaczéj utylitaryzm. Do którego z tych kryteryów przyznaje się nowa etyka? Do ostatniego. Można bez przesady powiedzieć, że znakomitsi moraliści naszych czasów, a szczególniéj angielscy są utylitaryanami. Czynów, które ani działaczowi ani jego bliźnim nie przynoszą żadnego pożytku, nie nazywają moralnemi, ani cnotami.

Autor, którego książeczkę roztrząsamy, szukając sprawdzianu, czyli skali do mierzenia czynów ludzkich, pod względem ich moralności, stoi po stronie utylitarnéj etyki. „Moralność, powiada on, nie jest sprawą jednostki (czém właśnie była u ustarożytnych), lecz sprawą solidarnie ze sobą złączonego ogółu. Moralność tyczy się przedewszystkiém, jak prawo, uregulowania stosunków pomiędzy człowiekiem a człowiekiem. Najwyższym punktem wytycznym, najwyższą miarą tak moralności jak i prawa jest przeto nie najwyższa możliwa pomyślność każdego *oddzielnie wziętego człowieka*, lecz *największa możliwa pomyślność ogółu*. Powszechna pomyślność jest etycznem najwyższém dobrem (*summum bonum*), które należy dobrze odróżniać od takiegoż dobra egoistycznego. Moralność wymaga od indywiduum, iżby postępowało zgodnie z najwyższém dobrem etycznem, czyli moralném“ (str. 25). Rozwijając to kryteryum, p. Giżycki

mówi w rozmaitych miejscach swojego dziełka to samo, ale innemi słowy, jak np., że „moralnie dobrém jest postępowanie, zwiększające pomyślność ogółu"; albo, że „bardziéj dobrém jest to, z czego więcéj wypływa pomyślnych następstw, niż to, z czego wynika tylko jedno dobre następstwo". Takiż pogląd na kryteryum dobra i zła moralnego rozwinął autor w studyum o Humie, uznając powszechną szczęśliwość na najwyższą zasadę moralności, za *summum bonum*.

Przyjąwszy za kryteryum moralne czynów ludzkich powszechną szczęśliwość, czyli szczęście, trzeba rozważyć, na czém to szczęście zależy, jaki jest ostateczny cel, do którego postępowanie nasze zmierzać powinno. Pod tym względem etycy starożytni i nowsi są zgodni, że tym celem jest szczęście, ale różnili się i różnią w pojmowaniu owego szczęścia. Kiedy bowiem jedni szczęście zakładali na *cnocie* i życie cnotliwe, choć-by bardzo niefortunne, nazywali szczęśliwém; inni widzieli owo szczęście w *przyjemności*, zwłaszcza w indywidualném zadowoleniu potrzeb ciała i umysłu, w unikaniu i oddaleniu przykrości jakiegokolwiek rodzaju. Nowsza etyka widzi najwyższy cel życia obyczajowego w szczęściu powszechném i wymaga od jednostki, aby osobiste swoje przyjemności stawiała niżéj od szczęścia ogółu. P. Giżycki i w tym punkcie zgadza się z etyką nowszą, mówiąc, że „szczęście, lecz nie własne szczęście jednostki, ale wszystkich jednostek, krótko mówiąc, powszechna szczęśliwość, może być jedynie etyczném najwyższém dobrem" (str. 30).

Jeżeli tedy dobro i szczęście powszechne winny być celem czynów obyczajowych, to już tém samém dążenia do szczęścia egoistycznego nie nazwiemy moralném: miłość własna, a miłość ludzi to uczucia nie jednakowéj wartości etycznéj. Opinia ogółu, jak mówi autor, uznawała częstokroć czyn moralny, jako będący w pewnéj sprzeczności z czynem somolubnym. Arystoteles twierdził, że cechą zacności jest bezinteresowność, a ztąd takie czyny nazywano zacnemi, wzniosłemi, wielkodusznemi, które nie pochodziły z pobudek egoistycznych; gdy tymczasem czyny pożyteczne, najbardziéj dalekie od egoizmu, czyny poświęcenia, jak Regulusa lub Arnolda von Winkelried, zyskiwały największe uwielbienie.

Ten nacisk, kładziony przez moralistów, na wartość czynów bezinteresownych, lubo nie jest nowością w rozwoju pojęć etycznych, jednakże godzien jest zaznaczenia dla tego, że wielu zarzuca nowszéj etyce jéj utylitarny, co ma u nich znaczyć, egoistyczny charakter. Otóż moglibyśmy przytoczyć wielu najcelniejszych etyków spółczesnych, którzy egoizmu wcale moralnym nie nazywają. „Różnica między człowiekiem moralnym a niemoralnym, mówi p. Gi-

życki, na tém polega, że w człowieku moralnym wyobrażenie obowiązku, słuszności, dobra, zacności, wielkości, budzi silne uczucia moralne, a myśl działania niezgodnie z niémi pobudza silne, nieprzyjemne uczucia, tak, że przed pierwszemi muszą ustąpić drugie; tymczasem w człowieku niemoralnym wyobrażenia te (o zacności, słuszności itd.), albo żadnych nie budzą uczuć, albo téż tak słabe, że się nie oprą innym uczuciom" (str. 38). Gdyby egoizm miał być kierownikiem ludzkich czynów, gdyby osobiste nasze szczęście miało górować nad wszelkiemi stosunkami, trzeba-by się zgodzić na zdanie Kanta, iż taka moralność stała-by się karykaturą moralności. Etyka zatém każe uwzględniać własny interes o tyle, o ile jest on słuszny, o ile odpowiada interesowi ogółu. Nie jest téż prawdą, bo się nie zgadza z rzeczywistością, jakoby samolubstwo było jedyną pobudką duszy ludzkiéj, na którą prócz tego działają i opinia publiczna, i sympatya i prawo stanowione. Więc téż etyka nie odwołuje się do miłości własnéj, lecz do moralnych popędów człowieka, zaleca mu czynić to, co słuszne, przypuszczając, iż wié, jakie czyny są słuszne, a jakie niesłuszne.

Różnica między dawną a nową etyką rozciąga się nie tylko do kryteryum moralności i do ostatecznego celu czynów obyczajowych, lecz także co do początku, czyli pochodzenia uczuć moralnych. Rozbiór uczuć należy właściwie do psychologii i tam téż spotykamy przedmiot ten traktowany. Etyka przyjmuje rzecz gotową, tj. istnienie w człowieku cywilizowanym, żyjącym w społeczeństwie, pewnéj zdolności do oceniania czynów ludzkich pod względem etycznéj ich wartości. Zdolność tę nazywają rozmaicie: jedni zmysłem moralnym, drudzy poczuciem słuszności i niesłuszności, inni sumieniem. Że taka zdolność w człowieku cywilizowanym istnieje, to nie ulega wątpliwości, że zawiązek jéj spotykamy wśród plemion dzikich, a nawet, jak chcą niektórzy, wśród wyżéj organizowanych zwierząt, to dowodziło-by, że moralność tkwi w psychicznym organizmie człowieka, a tém samém, że jest potrzebą natury naszéj. W dawnéj etyce wiele o tym zmyśle moralnym rozprawiano, tak jak wogóle o wielu innych przedmiotach, które dziś przeniesiono do psychologii.

Możemy tedy przyjąć za pewne istnienie, w rozwiniętym do pełni człowieku, owego zmysłu moralnego, bez którego, prawdę mówiąc, żadna moralność wśród ludzi powstać-by nie mogła. Ale zgodziwszy się na to, pozostaje sporne pytanie, zkąd się wziął ten zmysł moralny w człowieku. Jest-że on mu dany od urodzenia, czyli wrodzony? Jest-że on nabyty, a jeżeli nabyty, to pod wpływem jakich czynników? Że zmysł moralny, czyli owa zdolność do odróżniania czynów dobrych od złych, nie jest wrodzony, tak jak wogóle wro-

dzonych idei piękna lub prawdy nauka nie przypuszcza, to powinno-by dzisiaj być uznane za rzecz rozstrzygniętą. Gdyby bowiem zmysł moralny był człowiekowi dany od urodzenia, musiał-by we wszystkich ludziach być jednaki, a témsamem czyny ludzkie na całym świecie były-by jedną miarą, tj. owym zmysłem mierzone, czyli innemi słowy, wszędzie te same czyny ludzkie były-by chwalone, lub ganione, uznawane za moralne lub niemoralne. Tymczasem pod tym względem panowała i panuje wielka rozmaitość między jednostkami i narodami, tak, że w téj właśnie rozmaitości widzą najsilniejszy dowód mówiący przeciw istnieniu wrodzonego i gotowego zmysłu moralnego (1). Jeżeli nie ma zatém w człowieku gotowego i bez pracy danego takiego zmysłu; jeżeli tylko pewne usposobienie duszy ludzkiéj w tym kierunku można przypuścić; pozostaje rozwiązanie pytania, jaką drogą i pod wpływem jakich czynników, owo usposobienie duszy w kierunku moralnym wytworzyć i wyrobić się mogło?

Zarodek zmysłu moralnego, czyli raczéj pewne usposobienie do wykonywania czynów obyczajowych, a unikania złych i niemoralnych, można w części przypisać odziedziczeniu przez następne pokolenia pewnych, tak dobrych jak i złych skłonności: gdyby jednak te skłonności nie były rozwijane przez otoczenie, w którém jednostka wzrasta, to prawdopodobnie zostały-by one niejako w uśpieniu. Cała ta sprawa należy do psychologii, chociaż jest wielkiéj wagi dla etyki, zwłaszcza nowéj, gdyż dawniejsza przypuszczała w człowieku wrodzony zmysł moralny, gotowy jak sędzia z kodeksem potępiać lub uniewinniać czyny ludzkie. Zobaczmy tedy, co o tym zmyśle moralnym mówi psychologia: chodzi tu o jego początek, o źródło, albo lepiéj mówiąc źródła.

Jeden z nowszych psychologów tak mówi o początku zmysłu moralnego:

„Długo rozprawiano nad tém, czy zdolność moralna jest wrodzona, instynktowa, czy téż jest wynikiem doświadczenia i edukacyi. Niektórzy autorowie przypuszczali, że powaga sumienia (tj. owéj zdolności moralnéj) była-by nadwerężoną, gdybyśmy twierdzili, że ono mogło się rozwinąć z uczuć prostszych. Pogląd ten wszakże stał się dzisiaj pospolitszym, niż był dawniej. Uznano, że wartość wyroków sumienia jest do pewnego stopnia rzeczą różną od początków jego. Gdyby nawet sumienie nie było dziecku od urodzenia

---

(1) Dość tu przypomnieć, że np. w jednych społeczeństwach jedzenie mięsa wieprzowego, picie wina, niezasłanianie twarzy przez niewiasty na ulicy, uważa się za czyny grzeszne i niemoralne; gdy tymczasem drugie nic w tém zdrożnego nie widzą.

wszczepione, lecz stopniowo, jako wynik edukacyi, wzrastało, może przecież zachować powagę swoję.

„Że uczucie moralne jest w części instynktowe, na to się można zgodzić. Można utrzymywać, że ono jest rezultatem długiego szeregu wieków życia społecznego i jako pewien nałóg, przyzwyczajenie, przechodzi na każde nowe dziecko, jako instynktowne usposobienie do ulegania prawom moralnym. Ale zgodziwszy się na to, pozostaje rzeczą niezaprzeczoną, że zdolność moralna utworzyła się w znacznéj części w ciągu życia jednostki“ (1). Uważa się tedy dzisiaj za rzecz dowiedzioną, iż zmysł moralny jest *wypadkową* rozmaitych czynników działających w społeczeństwie; że jest wynikiem wychowania domowego, karności szkolnéj, prawa stanowionego, czyli władzy zwierzchniéj, wpływu rówieśników, opinii publicznéj, spółczucia czyli sympatyi, religii; że zmysł ów pod działaniem tych czynników kształci się, uszlachetnia i doskonali.

Dla etyki nowéj zatém jest dowiedzioném, że zmysł moralny nie jest gotowym darem, lecz że się wyrobił i daléj wyrabia w świecie społecznym pod działaniem wzmiankowanych czynników; że gdyby człowiek nie żył w społeczeństwie, a więc najprzód w rodzinie, potém w hordzie czy plemieniu, daléj w narodzie i ludzkości, nie wiedział-by o tém, że jest jakaś moralność, że jest dobro i zło obyczajowe: słowem, moralność uważa się dzisiaj za produkt życia społecznego. Ztąd téż trudno myśléć o kodeksie moralnym, ułożonym dla człowieka uważanego *in abstracto*; ztąd przy ocenianiu moralnéj lub niemoralnéj strony czynów ludzkich, czy-to dawnych, czy obecnych, trzeba brać w rachubę te czynniki, które się składają na utworzenie zmysłu moralnego.

Daléj, jeszcze jeden punkt w rozważaniu zagadnień i zjawisk etycznych jest wielkiéj wagi i dotychczas sporny: mianowicie, pytanie dotyczące woli, albo, jak zwykle mówią, wolnéj woli. Ponieważ w organizmie umysłowym wola obok uczucia i rozumu, uważa się za źródło i sprężynę czynów ludzkich, zatém ważny dział etyki o odpowiedzialności moralnéj zawisł od rozstrzygnienia pytania o woli ludzkiéj. Patrząc na czyny ludzkie, zadajemy sobie pytanie, czém, jakiemi pobudkami zostały one spowodowane. Był-że działacz przytomny sobie, czy nieprzytomny, mógł-że się oprzéć pobudkom, czy przeciwnie, rządzi czynami ludzkiemi kapryśna swawola, czy są one determinowane szeregiem innych czynów poprzedzają-

---

(1) James Sully, *Outlines of Psychology* etc. Londyn, 1884. str. 559 i n. Toż samo czytamy u Bain'a, *Emotions and the Will*. Londyn, 1875. Cały rozdział: The ethical emotions or the moral Sense. Str. 264 i n.

cych, oraz pobudek grających w duszy działającéj osoby? Wszystko to są pytania należące do psychologii, a od tego, w jakim duchu moralista na nie odpowie, zależy charakter, jaki etyka jego będzie nosiła. Krótko mówiąc, etyka musi przyjąć albo wolę kapryśną, albo wolę determinowaną, działającą pod wpływem pobudek. Cała ta dyskusya o woli wolnéj, determinizmie i konieczności zajmuje w każdéj psychologii, a po części i w etyce obszerne rozmiary i nieskończone spory, tak, że niektórzy autorowie radzi-by byli przedmiot ten wypuścić ze swoich badań. Z historyi wiadomo, że starożytni moraliści mniéj się nad tém pytaniem zastanawiali, że dopiero niektóre sekty chrześciańskie (Pelagianie późniéj Kalwiniści) i dzisiejsi metafizycy osobne dzieła rozwiązaniu tego problematu poświęcili (1).

Nietylko nad wydzieleniem etycznéj treści z różnorodnego materyału, lecz i nad metodami nowa etyka pracuje, rozumiejąc przez metodę, już nie samo zewnętrzne uporządkowanie materyału naukowego, lecz drogi, sposoby, któremi dochodzimy do ocenienia moralnego postępowania. Sidgwick np. ogłosił bardzo gruntowne dzieło w tym przedmiocie, pod tytułem: *Metody Etyki* (2 wyd. 1877), w którém dowodzi, że takich zasadniczo różniących się od siebie metod jest trzy, mianowicie, *egoizm*, *intuicyonizm* i *utylitaryzm*. Egoizm, według Sidgwick'a, polega na tém, że człowiek osobiste szczęście uważa za jedyny racyonalny cel wszelkiego działania; intuicyonizm, czyli moralność pospolitego rozsądku (*common-sense*), przypuszczająca, jakobyśmy mieli w umyśle gotowe intuicye, tj. idee o tém, co słuszne, a co niesłuszne, co dobre, a co złe moralnie; nareszcie utylitaryzm, który dobro powszechne, czyli szczęście jaknajwiększéj liczby ludzi, za ostateczny cel moralnego działania naznacza. Do tych trzech metod, albo może lepiéj, systematów, dają się zredukować wszelkie inne przez etyków zalecane.

Z powyższego widzimy, że praca około odnowienia etyki odbywa się przy współudziale najzdolniejszych umysłów, że rozmaite kwestye z zakresu etyki i psychologii są rozbierane, że niektórzy autorowie, jak np. H. Spencer, uważają etykę za koronę systemu całéj swojéj filozofii.

Nie wszystkich punktów, o których tu była mowa, dotykał p. Giżycki, którego książeczka posłużyła nam za okazyą do niniejszego artykułu, bo téż nie kusił on się o całkowity wykład etyki. Praca jego zaledwie krótki jéj zarys stanowi, ale ponieważ od niéj zaczęliśmy, więc na niéj skończymy.

---

(1) A. Fouillée *La Liberté et la Déterminisme*. Paryż. 1884, wyd. drugie.

Autor, wyłożywszy naukę o kryteryum, czyli zasadzie moralności i celu, do którego czyny prawdziwie moralne zmierzać powinny, rozważa pojęcie obowiązku i cnoty. Etyka bez tych rozdziałów była-by niepodobną; jakiekolwiek jest stanowisko piszącego, musi on ich dotknąć, tym bardziéj, że niektórzy obowiązek i cnotę uważali za ostateczny cel czynów moralnych.

Dawniejsi nasi etycy rozważali w tém miejscu nie obowiązki, lecz *powinności* i stawili naprzeciw nich nie prawa, lecz *należytości;* dzisiejsi mówią o obowiązkach i prawach. Obowiązek i prawo wzajem się pociągają, gdzie ustaje pierwszy, znika i drugie, ztąd maksyma obyczajowa, że niémasz praw bez obowiązków i odwrotnie. Pomijając w téj chwili odcienie, mogące tkwić z jednéj strony w terminach: obowiązek — powinność, a z drugiéj w terminach: prawo—należytość i przyjmując je za blisko lub tosamoznaczne, pytamy się, czém jest obowiązek? W etyce, mówi p. Giżycki, lecz nie w życiu powszedniém, nazywamy *obowiązkami* wszystkie czyny zgadzające się z najwyższą zasadą moralną, które się przyczyniają do urzeczywistnienia najwyższego dobra, to jest powszechnego szczęścia. Ale w znaczeniu ściślejszém obowiązkami są tylko te czynności, przez których zaniechanie czynimy krzywdę innym ludziom i zasługujemy na *karę* lub naganę. Główną cechą obowiązku zatém jest ta okoliczność, że opuszczenie, czyli zaniedbanie tegoż, pociąga za sobą karę, lub naganę; karę ze strony prawa, gdy czyn przez prawo był nakazany, a naganę ze strony sumienia lub opinii publicznéj, gdy czyn był uważany za powinność moralną. Związek prawa, szczególniéj karzącego, z etyką, widoczny w rozmaitych jéj działach, tu, gdzie chodzi o obowiązki, szczególniejszéj nabiera mocy. Mnóstwo czynów najistotniéj do moralności należących wykonywa się pod grozą prawa karzącego. „Takie przepisy zowiemy obowiązkowemi, mówi autor, od zachowania których zależy istnienie społeczeństwa, które stanowią minimum tego, czego wymaga dobro pospolite. A znów takie czyny, których zaniechanie kary za sobą nie pociąga i których spełnienie zależy od dobréj woli czyniącego, ściągając na działacza pochwałę, uwielbienie, nazywają się *cnotami*“ (49—50). Jednakże ściśléj granicy między obowiązkiem a cnotą przeprowadzić niepodobna. Często jedno społeczeństwo, wyżéj ucywilizowane, albo pojedyńczy człowiek wyżéj rozwinięty, mogą takie czyny uważać za obowiązkowe, czyli za obowiązki, które w społeczeństwie niższém uchodzą już za cnoty. Prócz tego, do pojęcia cnoty przywiązujemy pewną *trwałość* w czasie; cnotliwym nazywamy nie tego, kto raz przypadkiem dokonał czynu cnotliwego, ale tego, kto stale i trwale go wykonywa, czyja wola tak się włożyła w dobre postępowanie, że się stała prawie drugą jego naturą.

Obowiązki i cnoty autor dzieli na osobiste i społeczne; osobistemi są takie czyny, które służą do zachowania bytu jednostki; społecznemi takie, które społeczeństwo zachowują od rozpryśnięcia się na atomy. Przykładem pierwszych może być *roztropność*, przykładem drugich *sprawiedliwość*.

Roztropność zaliczana już u starożytnych do cnót głównych, czyli kardynalnych, polega na przewidywaniu następstw swojego postępowania. Nazywamy roztropnym tego, kto się oblicza z następstwami swoich czynów, kto gotów wyrzec się chwilowéj przyjemności, ażeby późniéj uniknąć większéj przykrości, albo zgadza się na poniesienie przykrości, by sobie na przyszłość zapewnić większą przyjemność. Maksyma obyczajowa, hasło, które człowiek ciągle powinien mieć na pamięci, brzmiało już w dawnych etykach krótko i zwięźle: Cokolwiek czynisz, czyń roztropnie i oglądaj się na skutki, *Quidquid agis, prudenter agas et respice finem*. Do roztropności téż należy zapobiegać złemu z początku, co równie zwięźle wyrażono: *principiis obsta*. Inna cnota osobista, *męztwo* zasadzające się na wytrwałém znoszeniu tego, czego nikt uniknąć nie zdoła, oraz na gardzeniu miękkością i zniewieściałością, jest w życiu człowieka nieodzowną, jeżeli przy téj naturze, jaką mamy, chcemy żyć szczęśliwie lub przynajmniéj znośnie. Była to cnota cechująca dawnych stoików i od nich pochodzi moralne hasło: Wiele znoś i wiela sobie odmów, *Sustine et abstine*. Osobistą jest cnota *umiarkowania* czyli wstrzemięźliwości; ściąga się ona zarówno do umiarkowania w jadle i napoju jak niemniéj do umiarkowania wszelkich działań umysłu, ażeby zachować zdrową duszę w zdrowém ciele. Niczego nadto (nie używaj), *Ne quid nimis*—oto maksyma umiarkowania. „Istnieje nawet rozpusta fantazyi i myślenia" bardzo słusznie mówi p. Giżycki—więc nie należy zbytecznie wyciągać ani strun umysłu, ani sił ciała, chcąc żyć szczęśliwie. Mędrzec prawdziwy nie będzie téż więcéj cenił przyjemności ciała od przyjemności duchowych, znając większą trwałość tych drugich.

Przechodząc do obowiązków i cnót społecznych widzimy między niémi sprawiedliwość, słowność, prawdomówność, życzliwość. Na czém każda z nich polega, o tém nie będziemy mówili szczegółowo, nie chcąc powtarzać znanych powszechnie orzeczeń. Że od wykonywania każdéj z tych cnót, a témbardziéj od wszystkich razem zależy szczęście naszych bliźnich, rzecz to w oczy bijąca; a ponieważ uznaliśmy za najwyższe prawo etyczne, ażeby każdy członek społeczeństwa przykładał się do szczęścia powszechnego, więc témsamém winien przestrzegać sprawiedliwości, słowności i prawdomówności mając ciągle na myśli, jakie skutki dla społeczeństwa pociągną

jego czyny, ile nieszczęść sprowadzi jego niesprawiedliwość, łamanie umów i danego słowa, kłamstwo lub brak odwagi w mówieniu prawdy. Jeżeli sprawiedliwość polega na oddawaniu każdemu, co mu się należy, i nieczynieniu krzywdy nikomu, według maksymy: *neminem laede*, to chociaż człowiek cywilizowany i obyczajowy w teraźniejszych społeczeństwach zgadza się na owę maksymę co do czynów przez kodeks karzący zagrożonych; jednakże co do niektórych, oczywiście niemoralnych, przynoszących krzywdę bliźnemu, a więc zmniejszających szczęście powszechne, gotów jest i na siebie i na innych patrzéć pobłażliwiéj, tymbardziéj, że opinia publiczna poniekąd go w tém podtrzymuje. Do takich czynów należą: pojedynek i uwodzicielstwo. Pozwolimy sobie przytoczyć opinią p. Giżyckiego o pojedynku, na którą się zupełnie piszemy. „Pojedynek jest zabytkiem poprzednich stopni cywilizacyi, na których wymierzanie sobie sprawiedliwości i zemsta osobista były regułą, a przytém (jak w ordaliach) wierzono, iż opatrzność koniecznie przychyli się do tryumfu słusznéj sprawy. Dzisiaj nie wierzymy, iżby w pojedynku zwyciężała strona, za którą przemawia sprawiedliwość, a zatém upada jedyna przyczyna mogąca poniekąd jeszcze usprawiedliwiać zwyczaj pojedynkowania się“ (s. 87). Należy obrazę honoru ścigać zwykłemi prawami i sądami, należy błędną opinią publiczną prostować, a im się więcéj znajdzie ludzi poważnych i rozumnych, gotowych podjąć walkę z taką opinią i nie przyjmować w danym razie pojedynku; tym prędzéj ten zabytek barbarzyństwa zginie.

Godne jest również podniesienia i to, co autor mówi o cnocie prawdomówności, czyli o obowiązku mówienia prawdy. „Cały stosunek społeczny polega na tém, że jeden człowiek wierzy drugiemu, a każde kłamstwo przyczynia się do zmniejszenia téj wiary, téj ufności; każde przeto kłamstwo wyrządza pewną krzywdę ludzkości, jeżeli nie bezpośrednio, to pośrednio, drugorzędnemi następstwami i deprawacyą umysłu. To należy powiedziéć o tak zwanych niewinnych kłamstwach. Podwójnie zaś obowiązany jest do prawdomówności uczony, badacz—a każdy akt nieprawdomówności, jakiego się dopuszcza w naukowéj swéj pracy, jest nietylko kłamstwem, lecz i wiarołomstwem“ (s. 110).

Obowiązek kształcenia samego siebie moralnie, doskonalenia i uszlachetniania uczuć moralnych, poznania samego siebie powinien być ciągle w głowie i sercu człowieka obyczajowego—a za to osiągnie wewnętrzny ład, spokój i zgodę stanowiące błogosławieństwo sumiennéj i cierpliwéj pracy nad sobą.

Pozostaje nam dotknąć nakoniec jednego i wielce ważnego dla etyki pytania. Przypuszczamy, że czytelnik zgodził się na określenie

zadania etyki, na kryteryum, według którego mamy odróżniać czyny moralne od niemoralnych, na cel ostateczny ludzkich czynów i na inne sporne jeszcze punkta—a teraz występuje i pyta samego siebie, lub etyki, dlaczegom powinien tak czynić, jak uczysz? Dlaczego mam zwrócić rzecz ukradzioną, dlaczego mam dotrzymywać słowa i zawartej umowy, dlaczego mam mówić zawsze prawdę, dlaczego, słowem, mam się troszczyć więcéj o szczęście powszechne, niż o własne? Kto, albo co mnie do tego zmusza? Innemi słowy, jaka jest *sankcya* téj moralności? Na to tak odpowiadają: Sankcyą czynów obyczajowych takich, które moralność i prawo stanowione nakazują, stanowi *kara*; takich zaś, których prawo ani zabrania, ani nakazuje, a które jednak społeczeństwo uważa za potrzebne dla siebie, sankcya leży we *własnym* dobrze rozumianym *interesie* działacza, w jego *sumieniu*, w *sławie* lub *pogardzie*, któremi opinia nagradza lub potępia sprawcę. Etyka religijna taką sankcyą widzi oprócz tego i przedewszystkiém w karach i nagrodach przyszłego życia. Nie mówimy nic o sankcyi wynikającéj ze *skutków* takiego lub innego postępowania, chociaż dla myślącego działacza, sankcya leżąca w skutkach z czynów jego wynikających, jest od wczesnéj młodości najpierwszém źródłem, z którego płynie poznanie czynów moralnie złych lub dobrych. Dość, że z jakichkolwiek elementów pojęcie sankcyi zostało złożone, jest ona w dzisiejszym stanie cywilizacyi pojęciem w etyce nieodzowném. Ale téż stan ten jest, według niektórych etyków, patologicznym i bardzo jeszcze nizkim w porównaniu z takim, o jakim marzy etyka idealna, absolutna. W tym spodziewanym, doskonałym stanie zniknie potrzeba mówienia ludziom o powinnościach i obowiązkach, gdyż sami, z dobréj woli, bez kary i nagrody, dla zadowolenia udoskonalonéj natury swojéj dobrze, moralnie czynić będą. Może ten optymizm dalekim być od urzeczywistnienia, zawsze lepszy on jest od téj myśli, że człowiek, jak był, tak na zawsze pozostanie jeden dla drugiego, wilkiem.

Etyka rzeczywista, nie idealna, trudni się uregulowaniem postępowania ludzi takich, jakich w danym okresie rozwoju, znajduje; wolno jéj wszakże mieć pewien ideał, ku któremu ma dźwigać ludzkość z błot i nizin, ażeby *pro sua parte* przyczyniła się do zwiększenia szczęścia ludzkiego. Nie mogąc myśléć o szczęściu absolutném, dość będzie, gdy każde pokolenie otrząśnie się trochę z barbarzyństwa i o krok posunie się bliżéj ku szczęściu względnemu.

K.

O NIEWYDANYM DRAMACIE

ANTONIEGO SOWY.

Rozważając stanowisko Antoniego Sowy, jako poety, wobec społeczności rodzinnéj, przekonywamy się, nie bez pewnego zdziwienia, że od czasu ukazania się ostatnich utworów Mickiewicza, aż do roku 1847 żaden z poetów nie wstrząsnął tak potężnie umysłu ziomków, jak przedwcześnie zgasły autor „Jordana". Potęga jego pisarskiego talentu, dość skromna, nie usprawiedliwia tego zjawiska. Rozwiązania zagadki należy szukać w szczęśliwym wyborze przedmiotu, pochwyconego przez poetę, ze względu na warunki chwili spółczesnéj, tudzież w gorącém uczuciu jego i szlachetności przekonań, któremi dotarł do serc młodego pokolenia.

Po roku 1838 smutny letarg i odrętwienie opanowały społeczeństwo polskie w zachodnich prowincyach cesarstwa. Przerywały je tylko, niby widma snu niezdrowego, hulaszcze wyskoki wyrodzonéj, pod postacią bałagulstwa, dawnéj tężyzny. Otóż cała czczość ówczesnego życia obywatelskiego, cała apatya i zacofanie pojęć: którego uwidomieniem był opłakany stosunek dwóch stanów społecznych—kmiecego i szlacheckiego, znalazły w „Jordanie" wymowny wyraz i piorunujące potępienie. A nie zapominajmy, że nikt przed Żeligowskim, nie wyłączając nieśmiertelnéj ryady wieszczów naszych, nie dotknął w poezyi tych stron narodowego żywota. Autor „Jordana" pierwszy położył rozpalone żelazo na ranę: nie dziw, że cały organizm, zakażony jadem pańszczyznianym i nie czujący już prawie chronicznéj swojéj choroby, wstrząsł się boleśnie. Smutno to wyznać, ale nie podobna zaprzeczyć, że pod względem stosunku panów do chłopów, byliśmy aż do roku 1848, a może jeszcze kilka lat późniéj, w takiém nieomal położeniu, jak Stany południowe Ameryki, przed wyzwoleniem murzynów. Ludzie zkądinąd

zacni, światli, często nawet sentymentalni, gdy chodziło o chłopa, stawali się najokrutniejszymi plantatorami. Przeciążano go pracą, dozwalano umierać z głodu, nie szanowano świętości jego uczuć rodzinnych. Żeligowski, jako chrześcianin, a z przekonań społecznych demokrata gorący, napiętnował hańbą ów wielki grzech swych braci. Za niemałą mu to należy przyznać zasługę, że *credo* swojego nie przemilczał, a przeciwnie, w energicznym zawarł proteście świeżo po wypadkach galicyjskich r. 1846, podczas kiedy ci nawet, którzy podzielali przekonania jego, zamilkli w niemém przerażeniu. A dokonał on swego zadania z pewnym realizmem, malując sprawy ziemskie na tle stosunków powszednich, nie przenosząc ich w krainę fantastyczną, jak to robili więksi od niego geniuszem i słowa potęgą.

Nie trudno przeto zrozumiéć, dla czego „Jordan", po ukazaniu się swojém, razem z niepospolitym rozgłosem pozyskał wielu nieprzyjaciół. Zarzuty ich, jak to było do przewidzenia, nie odznaczały się szczerością. Z prawdziwemi tajono się, albo odzywano tylko półgębkiem. Głośniéj, choć nie bezstronnie, oceniano utwór ze stanowiska literackiego.

Dwa przedewszystkiém zarzuty czyniono „Jordanowi": jeden tyczący się formy, drugi—braku akcyi dramatycznéj. Co do formy, autor zbłądził chyba tém tylko, że utworowi swemu dał nazwę fantazyi „dramatycznéj"; gdyby go był nazwał fantazyą „niedramatyczną", zarzut-by upadł sam przez się. Ramy dramatu są często za ciasne, ażeby mogły w sobie zamknąć całą myśl autora; czuł to poeta i dla tego użył formy najswobodniejszéj, a miał do tego zupełne prawo, tém bardziéj, że miał przed sobą wzory swych mistrzów: Goethego, Byrona, Jean-Paula, nareszcie autora „Dziadów". Jedno jest tylko prawo zasadnicze dla formy: piękność. We wszystkich utworach prawdziwego natchnienia forma musi być koniecznie piękną, gdy przeciwnie, wykonana wedle wszelkich przepisów, ale bez „ognia świętego", będzie nieudatną lub szpetną. Nie pisząc tu rozbioru „Jordana", poprzestajemy na tém zasadniczém uchyleniu kwestyi formy.

Co do zarzutu, jakoby w „Jordanie" niéma akcyi, poeta mógłby odpowiedziéć krytykom swoim, że słowo jest nieraz większym czynem, niż czynność w ścisłém znaczeniu tego wyrazu. Wielkie słowo ducha, co zapładnia i ożywia piersi tysiąców, co tysiące serc uszlachetnia, podnosi i posila moralnie, większe ma prawo do nazwy czynu, niż najgłówniejsze zwycięztwo. Rozwiązanie akcyj dramatycznych sztyletem, kulą, trucizną jest na dzisiejsze czasy rzeczą zbyt zwietrzałą. Jordan patrzy, myśli, cierpi, mówi — nie jest więc

zupełnie bezczynnym, snadź gotuje się do czynu. Czyn zaś jego widoczny jest ten, że wśród pognębiającej go boleści i ohydy społecznéj uszedł niespodlony i uniósł czystość swojego ducha.

Najczęściéj jednak autorowi „Jordana“, podobnie jak i wielu innym pokrewnym mu z ducha, ciskano w oczy zarzut, podniesiony do godności zasady, a który dałby się zawrzeć w następujących słowach: „Na co tu swoich dotykać wad? na co dawać nieżyczliwym pochop do tryumfów? wszak wszyscy wiemy, że to jest źle“. Ale gdzież rękojmia, że wiemy? Zwyczajne to rozumowanie zamyka się zwykle przysłowiem: „zły to ptak co własne gniazdo brudzi“. Ależ dotykać wad jest przecie oczyszczać gniazdo a nie brudzić! jest-to w imieniu swoich współbraci uderzyć się w piersi! Każdy bowiem pisarz, chociaż-by najniższych zdolności, chociaż-by najmniéj sympatyczny, jest organem pewnéj liczby podzielających uczucia jego i myśli, jak najniedorzeczniejszy wśród sejmu deputowany jest przecież reprezentantem pewnéj sumy niedorzeczności zbiorowéj. Dla czegoż-by więc przyjęta i uświęcona w religii i etyce zasada, że przyznanie się do winy jest już krokiem postępu na dobréj drodze, miała w znaczeniu rozleglejszém tracić swoję moralną wartość? Każdy przecie, kto się do winy nie poczuwa, obrażonym być nie może, a kto, będąc winnym, przyznać się do tego nie chce, ten jest nieszlachetny. Zkądinąd bywają winy całych pokoleń, do całych więc pokoleń należy zmyć historyczne winy. Drażliwość zaś na tryumf nieprzyjaciół nad wadami naszemi, wobec naszéj własnéj obojętności na tych wad skutki, jest zbyt śmieszną. Zaprawdę śmieszną to jest rzeczą zajmować się jakiémiś ubocznemi względami wtenczas, kiedy cała nasza uwaga powinna być zwróconą na przedmiot głównie nas dotyczący. Przypomina to owego dworaka francuzkiego, który już prawie umierający, prosił obecnego króla, aby mu nie miał za złe, jeśli konając będzie robił nieprzyjemne miny. Przystałoż myśléć o opinii, choć-by królewskiéj, w chwili, kiedy jedynie myśl o Bogu była właściwą!.. Ale nieraz czułość ściera się z sumienia jednostek, jak żywe srebro ze zwierciadła. Zdarza się to nawet z całemi warstwami społecznemi, wtenczas-to umrzéć jest jedyną zasługą..... Grześć umarłych jest również obowiązkiem chrześciańskim, jak chrzcić nowonarodzonych. Czasy panegiryków przeminęły. Właściwém tu będzie powtórzyć wielkie słowa Schillera: „*Die Weltgeschichte ist das Weltgericht*“.

Druga część „Jordana“, dotychczas niewydana nosi w rękopiśmie tytuł: *Zorski*, *Dramat społeczno-obyczajowy*. Pomysł jéj oparty jest na wypadkach domowych, ściśle historycznych z ostatnich kilkudziesięciu lat stosunków pańszczyznianych na Litwie.

Założenie autora bylo rozległe, jak to okazują przytoczone jako epigraf słowa francuzkiego pisarza Saint-René Taillandier: „Trudne to zadanie podnieść bezładny gwar tłumu do dostojeństwa sztuki, natchnąć się samodzielnie widokiem rzeczy powszednich i uświęcić poważną symboliką myśl gminną.“ Zanim wskażemy, jak poeta wykonał wielki swój zamiar, powiedzmy kilka słów o zasadzie moralnéj, na któréj świadomie oparł on całe swe dzieło.

Myśl zasadniczą utworu wyświetla inny epigraf, zawarty w następującym mistycznym 4-wierszu:

„Na krzyżu gołąb' siądzie i krzyża ramiona
Skrzydłem Ducha Świętego w jeden promień złączy,
Nie przemoc, ale miłość złość wytoczy z łona
I co miłość poczęła, to miłość dokończy.“

We wstępie, poprzedzającym dramat czytamy znowu:

„Napróżno rozum ludzki kusił się od wieków odległych starożytności aż do dzisiejszych czasów utworzyć pewne socyalne formuły, rozmodelować stosunki społeczne ludów, zlać w jednę harmonją różnorodność indywidualnych interesów i usposobień, wynaleźć, że tak powiem, humanitarny dyapazon, według któregoby wszystkie tony ludowych stosunków nastroić się dały. Ani utopia Platona, Morusa, Campanelli, Heryngtona, ani Münzera zasady, ani Owena antiobyczajowe postulaty, ani złotego wieku Towersa sielanki, ani żadnego z najnowszych socyalistów marzenia, nie znalazły powszechnego odgłosu, nie mogły wejść w życie. Żadna albowiem teorya nie tworzy życia, lecz jest życia wypadkiem; żadne społeczeństwo nie daje się uorganizować w sposób konwencyonalny, a tak urządzone rozprządz się musi. Jedna jest tylko—że tak sobie w stosunku do życia ludów nazwać pozwolę, utopia—Ewangielia, obejmująca wszystkie warunki doskonałego spowinowacenia najsprzeczniejszych żywiołów, ale najpierwsza, najżywotniejsza zasada dotąd nie była wcieloną w życie ludów. Że udoskonalenie się duchowe podług zasad chrystyanizmu jest rzeczą dla ludzi dostępną, przekonywają nas żywoty świętych, oraz tych nadzwyczajnych dobroczyńców ludzkości, którzy zdumiewali swą cnotą współczesnych i którym hołdy czci i następne oddają pokolenia. Ale żadnego jeszcze świętego, żadnego prawdziwie chrześcijańskiego narodu, historya dotąd nam nie ukazała. Goethe w jedném z dzieł swoich (*Wilhelm Meisters Lehrjahre*) wypowiedział zdanie, że idea chrześcijańska, dla swéj wysokości moralnéj, może być tylko właściwą dla pewnych indywiduów, a że nigdy w masy wcielić się nie da. Miałaż-by więc być moralną utopią?.. Moja wiara w tym względzie zupełnie jest inną. Ja wierzę

ze św. Janem, w nowe Jeruzalem i wierzę, że Chrystus nie przyszedł zbawić, podnieść i uświęcić pojedyńczych tylko ludzi, ale świat cały...

„Co dzisiaj jest niezmiernie pocieszającém i dowodzi pewnego wdrożenia się w kolej duchowego postępu, to upowszechniająca się wiara; że religia i narodowość są nierozdzielne, jakby jedno ciało, i że uczucie narodowości, czyli głębokie przejęcie się bratnią miłością, jest owym świętym uczynkiem, bez którego wiara, jak powiedziano, martwą jest. Gdyby, pomijając wszystkie inne dowody moralnego wzniesienia się ludów, ten jeden tylko fakt był przed naszemi oczyma, już mielibyśmy dostateczne przekonanie, że w masach poczęła się już przebudzać myśl zbiorowéj, narodowéj świętości.“

Z przytoczonych ustępów widzimy, że świętość ewangeliczna w życiu społeczném jest dogmatem zasadniczym autora, który często wkłada go w usta dodatnich postaci swego dramatu, stosując go przedewszystkiém do wzajemnego stanowiska włościan i panów. Treścią bowiem „Zorskiego“ jest ujęty w chwilach charakterystycznych stosunek wzajemny dwóch stanów społecznych, reprezentowanych przez postacie mniéj więcéj typowe. „Bez interesu szlachcica i bez fanatyzmu anarchisty, powiada autor—dotknąłem obrazów drażliwych, często bolesnych, lecz zawsze najsumienniéj prawdziwych. Jeżeli napomknąłem o złym stosunku jednego stanu do drugiego, o złych, a często zbyt nieszlachetnych nadużyciach klasy społecznie przeważającéj, to w imieniu mych rówienników i obywateli współczujących mi i jednakowo ze mną myślących napisałem akt protestacyi, a przyszłym młodszym braciom wyciągnąłem dłoń pojednania i przyjaźni. Pan Bóg wszystkich oświeci, odkupi i zbawi, a kto myśli, że prawdę schowa, oszuka się, jak ów zły duch, który sądził, że zagrzebawszy do ziemi garść zboża, głodem umorzy cały rodzaj ludzki.“

Współczucie poety stanowczo przechyla się na stronę ludu. „Lud nasz—mówi on, ma bardzo wiele wad obyczajowych, które tłómaczyć się dają nieoświeceniem, nędzą, złą opieką, a częstokroć wpływem zgorszenia z góry; lecz jest w nim pierwotne, święte moralności ziarno, którego najsmutniejsze nawet położenie jego wyplenić nie zdołało; to właśnie stanowi typową cechę jego ducha. Tu ważne zachodzi pytanie: czy brak dostatecznéj reakcyi względem smutnego położenia jest skutkiem podłości niewolnika, czy objawem religijnéj rezygnacyi, żywionéj nadzieją w Boga. Niech kto mówi co chce ja jestem ostatniego zdania...“

Wstęp swój autor kończy słowami: Wielka trudność obecnego dzieła zależała w moralnéj charakterystyce naszego ludu, w obra-

zach ze sfery jego uczucia—uczucia, któremu się nie zwykło przypatrywać, a stokroć wygodniéj było zaprzeczać je zawsze. A przecież, doprawdy, możeby grzechem było pomyśléć, że ten lud nasz, który codziennie kładzie na piersi swojéj znak krzyża świętego, który dwa razy przynajmniéj w życiu swojém, u chrztu i pogrzebu obrzędów, z królewskiemi nawet równa się dziećmi, któremu nie wzbroniono kochać Boga i bliźnich swoich, pozwolono płakać i cierpiéć w skrytości—doprawdy, mówię, może-by było grzechem, i ciężkim grzechem pomyśléć, że ten lud nie ma serca zdolnego do uczuć szlachetnych.“

Przejdźmy do streszczenia dramatu.

W pierwszéj scenie prologu już występuje sam Zorski. Któż to jest?—„Zorski—mówi autor we wstępie—jest to dalszy rozwój „Jordana.“ Tam był on w stanie przejścia z życia kontemplacyjnego do życia czynnego, tu jest człowiekiem czynu. Może moralna jego fizyognomia zdziwi nie jednego czytelnika?.. Ten umysł poetyczny, marzący schodzi do sfery życia rzeczywistego. Może lepsze miano o nim nadzieje, o przyszłości duszy jego ognistéj?.. Może się spodziewano widziéć go bardziéj ekscentrycznym, z innemi troskami na czole?.. Nie jego to wina. Autor chciał go miéć dzieckiem dzisiejszéj epoki, w sferze domowego życia, które na dzisiaj jedynie mu przystało. W dzisiejszéj świtającéj epoce, według pojęć autora, każda wielkość excentryczna bardzo maleje. Rozgłos imion wielkich bohaterów i wodzów był najczęściéj stygmatem nagromadzonéj siły materyalnéj, a reprezentowanéj tylko w jednostce, co ją tak zadziwiająco wielką czyniło. Istotnie była to wielkość swojego czasu. Ażeby być wielkim, potrzeba było być głośnym i silnym. Dziś, ażeby być wielkim, trzeba być cnotliwym. Cnota a wielkość—to jedno.“

Zawiedzie się jednak czytelnik, spodziewając się, według zapowiedzi autora, ujrzéć w Zorskim człowieka czynu. Wprawdzie słyszymy o nim ze strony, że obdarzył swoich poddanych ziemią, że dopomaga im w każdéj potrzebie; lecz gdy on sam występuje na scenę—a powtarza się to trzy czy cztery razy w ciągu akcyi całéj,—zdaje się, że widzimy przed sobą książkę, a nie człowieka. Wypowiada on swoje zasady, marzenia, przekonania, wpływa przez to na postępowanie innych, ale sam nic nie robi. W najlepszym razie można go nazwać cudotwórcą słowa; obojętniéj usposobiony czytelnik posądzi go o deklamatorstwo i trochę rozstroju umysłowego.

Dla przykładu przytaczamy wyjątek z monologu Zorskiego w I scenie tudzież przemowę *Ducha dziejów*.

Zorski.

O! jak myśl młoda za dom się wyrywa,
By poznać głośne obcych krajów cuda!
Pragnie w ramiona objąć wielkoluda,
Ujrzéć jak Pan Bóg w narodach przebywa
I jak narody żyją w Stworzycielu,
I jako z wieży podniebnéj Babelu
Idą mozolnie każdy głoskę złożyć
Na słowo wieku, ażeby w niém ożyć
I zlać się z sobą świętą spójnią ducha,
Tam gdzie się wszyscy rozumieją w Bogu!
. . , ...
Widziałem mgliste kraje Albionu,
Kraj głośny z kupców, warsztatów, pieniędzy
I z praw wolności—bo dozwala zgonu
Każdemu z ziomków, kto umiera z nędzy.
Widziałem świętą krainę Auzonów,
Gdzie przy różańcu tkwią ostrza sztyletu—
W siedzibie wiary taki owoc plonów
Z życia i śmierci dziecka Nazaretu!
Widziałem różne Giermańskie odłamki,
Kraj filozofów, mądrości, nauki,
Którą przed ludem ukrył w formuł ramki,
A sam w niewoli rozdarty na sztuki.
Na sto ryglów zamknęli prawdy okruszynę,
Mądrością brylantową zasłonili nieba;
Lud prosi, woła duchowego chleba,
A oni formuł dają mu łupinę.
Kraj Sekwańskiego widziałem olbrzyma,
Bogaty w myśli i potężne czyny,—
Zaklętą wielkość w słów szermierce trzyma...
Czyż z marnych dźwięków odkwitną wawrzyny?
. . . .
O duchu dziejów! ty, jak matka czuła,
Uczysz swe dzieci narodowéj cnoty,
I coś w ich piersi ty matko zasnuła,
Nie wydrą gromy ni losów sromoty.
Bo wiekuiste jak świętość ludzkości
Przebywać będzie to w piersi głębinie
Los może zniszczyć twe ziemie—świątynie,
Lecz twoich zniszczyć nie może świętości.
O duchu dziejów! błagam cię ze łzami:
Promień światłości twéj rozniecć nad nami.

Duch (w szkarłatnéj szacie, w koronie królewskiéj oplecionéj taśmami z kory lipowéj).

Pasmo dziejów to Boga słoneczne przędziwo;
Nieraz ich blaski zamglone pochmurnie,
Ale w piersi wybranych ich świętość przeżywa.
Jako świętość prochów w urnie.
Tyś to odgadł i znamiona
Bożéj myśli nie zamierzchną
W głębi twego ludu łona
Bom ja jego władzą zwierzchną;
A to wszystko co przynosi
Ludom dziejów zawierucha,
Ból, męczeństwo—to podnosi
Urodzone dziecię z ducha.
A ciemnoty ząb padalczy
Jasny słońca grot przesila:
Jest narodów, jak dnia, chwila
W któréj światło swe wywalczy!
Gdy lud ducha światło w czoła
W pierś swą przyjmie, wcieli w życie,
Na pojęcia stanie szczycie,
By z pochodnią Archanioła!
Kto mą świętą myśl uczuje,
Kto myśl ludu wypiastuje
Pośród domu, sioła, miasta,
Na wzór króla—chłopa Piasta.
Kto się duchem z ludem stopi,
Przejrzy dziejów w nim koleje,
Po królewsku kto się schłopi
I po chłopsku skrólewszczeje,—
Zedrze z życia kir grobowy
I rozpocznie żywot nowy.
Życie swoje walką zrobi
Swoich, bratnich ułomności,
Ten się tylko usposobi
Do kościoła wejść przyszłości.

. . . .

To wybranych naszych praca!
Wy samotni dziś śród tłumu,
Który bluźni bez rozumu,
Temu, czego nie namaca!
Co przechodzi zmysłów chcenie,
Nie pojmuje człowiek—zwierzę,
W jednéj tylko silny wierze:
W swoje własne poniżenie!
Ludzie zmysłów i monety,
Z słowiczemi nieraz słowy,
To już wymiot narodowy,
Przedzierzgnieni bracia w krety.
Wy wylejecie łzę nad niemi,
Jak nad temi straconemi

Aniołami z wysokości!
Bo to biedne dzieci rodu:
Nie szukajcie w nich miłości
Ni bliźniego, ni narodu!
Ani chciejcie ich przetworzyć,
Bo trud taki—pracą marną!
Pielęgnujcie nowe ziarno,
Co ma w nowéj wiośnie ożyć...

Oczywiście, tém nowém ziarném może być żywioł ludowy, którego dalsze, nie bardzo zrozumiałe apoteozowanie opuszczamy. Po zniknięciu Ducha, Zorski w najwyższém wzruszeniu, padając na kolana, woła:

„O duchu dziejów, ty, światłości Boża,
Co losy ludzi i narodów przędziesz,
Gdy ty swém światłem iść przed nami będziesz,
Widoma szczęścia rozświetli się zorza.
O duchu święty! w sercach braci ożyj!
O serce! ożyj w świetlaności ducha,
Zwiąż dziejowego ogniwa łańcucha,
Jako dwóch—wschodniéj i zachodniéj zorzy.
Z wschodu na zachód i na wschód z zachodu
Obejmij ludy w zorzy twéj światłości,
Naucz czcić świętość każdego narodu,
A naucz wszystkie świętości!
O duchu święty! weź me życie całe,
Ucz mię i prowadź w każdéj życia dobie,
Daj mi za pomnik i za całą chwałę
Jednę wdzięczności łzę ludu na grobie.“

Jak widzimy, Zorski, wbrew zapowiedzi autora, występuje tu raczéj jako marzyciel, jako mesyanista, a nie jako człowiek czynu. Nie zbyt praktycznie wygląda on i w następnéj scenie, kiedy włościanom podejmowanym przez się w gościnie opowiada o zasłudze obywatelskiéj Staszica, Chreptowicza i Dominika Moniuszki...

„Stryj Stanisława—wielkiego muzyka,
Co swemi pieśni (*sic*) budzi ze snu dzieje,
Słodzi obecność i żywi nadzieje,—
Którego pieśni wy dotąd nie znacie,
A kiedyś będą w każdéj śpiewać chacie.“

Wszystko to brzmi trochę ckliwo i nienaturalnie, bo nie odpowiada poziomowi pojęć ludowych. Ale najbardziéj razi wykład bohatera, *ad usum* tychże włościan, o początku wszelkiéj niewoli, zakrawający w pierwszéj połowie na podszept najradykalniejszéj pro-

pagandy i w dziwnéj pozostający sprzeczności z zakończeniem, zalecającém czystość serca, obowiązek i cnotę. W scenie téj odzwierciedliły się prądy historycznéj chwili i myśli, które nurtowały społeczność ówczesną. Dlatego przytaczamy tu obszerniejszy z niéj ustęp.

Jeden z włościan:

Może to, panie, jest Boskie zrządzenie,
By chłop był w wiecznéj biedzie i potrzebie
I żeby zawsze został pańskim sługą...
Bo, tak jak mówią, strasznie, panie, długo
Jak jest chłop chłopem—i mówią tak wszędzie
Bywało panie—i tak zawsze będzie.

Z o r s k i.

Źleście słyszeli i źle tak myślicie,
A za złą myślą pójdzie i zła mowa;
W złéj mowie zły się uczynek wychowa...
Ja was tak kocham... wszak temu wierzycie?

Wiele głosów razem.

Ach, wierzym! Niech nam tak Pan Bóg da życie!
Nam takie święte każde pańskie słowo,
Ze my gotowi choć nałożyć głową.

Z o r s k i.

Oto słuchajcie—ja wam mówię święcie...
Jedno jest z Boga—człowieka poczęcie
I jedna równość tak jak jedna dusza,
Ale zepsucie tę równość narusza—
I wtenczas w podłość niewoli się wciela.
Jeszcze przed przyjściem na świat Zbawiciela
Ludzie się z sobą złością rozróżnili:
Ci co silniejsi, ci słabszych podbili
I przemienili ich w swoich poddanych
I tak przywykli do swych praw mniemanych,
Że im się zdało, że to inni ludzie
I że powinni w ustawicznym trudzie
Pracować dla nich, by zrodzeni słudzy.
I źle tak było!—lecz jedni i drudzy
Byli źli równie, bo gdyby pobili
Ci co pobici—toby tak zrobili
Jak tamci—nawet może jeszcze gorzéj;
Bo ludzie woli wyrzekli się Bożéj
I żyli z sobą jak dzikie zwierzęta,
I jedni drugim nakładali pęta.
I tak bywało, gdy w złości przebrali
Zwycięzcy, jutro w niewoli zostali
I tak przywykli wzajem gnębić siebie,

Że im się zdało, że Bóg tak chce w niebie.
I kiedy Pan Bóg w niezmiernéj miłości
Zesłać w świat Syna, by ludzie odżyli
W cnocie i prawdzie—to oni w swéj złości
Nawet i Syna Bożego zabili.
Zabili Zbawcę—lecz świata zbawienia
Zabić nie mogli, bo Bóg litościwy!
Oto Zbawiciel zmartwychwstaje żywy
Na wysokościach i w głębiach sumienia!
Ziemi zostawił naukę, przykłady,
A w niebie przystań dla prześladowanych.
Kogoż on wezwał do swojéj biesiady?—
Nie głowy panów, nie koronowanych,
Ale was wezwał, was braci, śród ludu,
Braci rolników, rybaków i cieśli,
I was nauczył świętości i cudu,
I wyście jego naukę roznieśli.
I was, najmniejszych, On podniósł wysoko
I was, najmniejszych, On zrobił opoką
Swego kościoła... Wybrał na kapłanów
Nie mędrców świata, ale proste chłopy
Podniósł nad wszystkich I pod wasze stopy
Zgiął karki wszystkich i książąt i panów;
Cieślów, rybaków i chłopów w korony
Ubrał i nieba otworzył im wrota;
Króle i pany biją Im pokłony—
O! bo w ich sercu był Pan Bóg i cnota.
O! i wy, bracia, wy bracia rodzeni
Owych wybranych rybaków i cieśli,
Gdybyście serca do Boga podnieśli,
Gdybyście byli, jak oni, wzniesieni!
O! wierzcie, bracia: ja wam mówię święcie,
Że idzie chwila wielkiego zbawienia,
I dziś to tylko, co Boskie poczęcie,
Co żywi w sobie głos Boży sumienia,
To tylko jedno Bogu się podoba,
A inne zniszczy głód, mór i choroba!
Albo się zjedzą jako psy szalone
Lub ludzie wściekli—porzną się i zduszą,
A to przez Boga będzie ocalone,
Co z czystém sercem i co z czystą duszą,

Wiele głosów razem.

O! święta mowa!

Jeden z wieśniaków.

Nigdy nie słyszeli!

D r u g i.

Gdy prawdę słyszysz, to się duch weseli.

Trzeci.

Zda się, że człowiek rodzi się nanowo,
Kiedy posłyszy święte prawdy słowo.

Podziwiać trzeba szczególniejszą naiwność poety, który wyobrażał sobie, że wymarzony przezeń świat ma jakiekolwiek podobieństwo do rzeczywistego i że jego Zorski, mistycznemi swemi wynurzeniami, zabarwionemi mocno na czerwono, spełnia dostatecznie zadanie „człowieka czynu.“ Pamiętajmy jednak, że były to złudzenia zbiorowe...

W II-gim akcie przenosi nas autor do zagrody młynarza Sosnowskiego, poddanego p. Wodzicza. Sam Sosnowski ma wyobrażać typ zacnego chrześcijańskiego kmiecia; córka jego, Zosia, oczekująca właśnie swatów od ukochanego, dosyć wdzięcznie, acz nieco sentymentalnie jest pojętą. Cala ta scena stanowi jakby sielankę, zachmurzoną zlekka przeczuciem zamiarów dziedzica i jego nikczemnego faktora, Lańca, zamiarów skierowanych ku zgubie Zosi.

W następnéj scenie jesteśmy świadkami wyprawianie swatów do Zosi przez młodego kmiecia, Lewińskiego, z majątku okrutnego pana Kniprucia. Zjawia się tymczasem jakiś złowieszczy wędrowiec, który zapowiada włościanom wielkie zmiany w blizkiéj przyszłości. Gdyby tylko zechcieli pójść w ślady tych, co umieli poradzić sobie raźnie i bez wahania:

„Oto poprostu wyostrzyli kosy,
Noże, siekierki—kto w butach, kto bosy,
Bez żadnéj rangi, wszyscy by żołnierze,
Wypili wódki, zmówili pacierze (!),
Bez długiéj rady i rozhoworu
Szli w imię Boże od dworu do dworu...
Ten kosą, nożem, tam siekierą trzeci
Dawaj rznąć panów i żony i dzieci...
Państwo nuż łajać, nuż prosić... krzyczeli
I słyszę, bardzo umierać nie chcieli.
Mówili, że niewinni, że ciężki grzech
Biorą chłopi na duszę, a chłopi w śmiech:
My do piekła, wy niewinni do nieba,
Na piwo Abrahamowe... nam chleba
Choć raz pozwólcie — i choć raz pot z czoła
Otrzéć — i niechaj choć raz chłop zawoła,
Że i on człowiek— a potém choć smoła,
Choć ogień wieczny... dziej się wola Boża.
Mamy tu piekło... I daléj do noża,
I słyszę rznęli już bez przebaczenia,
By nie zostało pańskiego nasienia
W całutkim kraju ani na lekarstwo,
By zaprowadzić nowe gospodarstwo.“

Szatańska jednak propaganda nie trafia do celu. Stary Lewiński odpowiada apostołowi rzezi:

Och, bracie! taka robota ladaco,
Sprawy zamorskie... Niech nas Pan Bóg strzeże.
Choć życie ciężkie, choć śród uciśnienia,
Byleby zostać wiernym swojéj wierze
I nie obciążać duszy i sumienia.

Tymczasem powracają swatowie z pomyślną odpowiedzią od Zosi. Podchmieleni śpiewają piosnkę, jak gdyby wyjętą z ust ludu:

Ej, posadzę ja przy chatce
Gruszkę i jabłonkę,
Na pamiątkę, żem w tym roku
Pojął miłą żonkę

Gdy się dziatek dohoduję,
Jabłek i gruszeczek,
To za rękę tu przywiodę
Żonkę śród dziateczek

Poczęstuję jabłuszkami,
Powiem lubéj żonce:
Ilem z tobą lat szczęśliwy
Tyle téj jabłonce.

Poczęstuje gruszeczkami,
Powiem méj duszeczce:
Ilem z tobą lat szczęśliwy.
Tyle téj gruszeczce.

Następna scena u Młynarza—widzenie się narzeczonych nie bardzo się udała autorowi. Dość powiedzieć, że w czasie rozmowy Lewiński, prosty chłop, Zosi, również chłopce, „niezgrabnie całuje rękę.“

Daléj przenosi nas autor do zamożnego domu Wodzicza, pana Sosnowskich i Zosi. Odegrywa on w dramacie rolę najwydatniejszą, choć nie zbyt oryginalną i niedostatecznie rozwiniętą. Jest to ognisty, o szlachetnych popędach młodzieniec, któremu zwichnęła życie odmowa ręki ukochanéj dziewicy, przez niegodnego ojca jéj, Kniprucia, z powodu spadkowéj nienawiści pomiędzy dwoma domami. Zrozpaczony, szuka odurzenia w winie i rozpuście, któréj ofiar dostarcza mu nikczemny Laniec. Bajroniście naszemu wpadła w oko urocza Zosia i dla tego kiedy Lewiński przychodzi prosić go, jako pana i właściciela Sosnowskich o pozwolenie poślubienia dziewczyny, Wodzicz, po krótkiém wahaniu się, odmawia. Lewiński w rozpaczy idzie do karczmy, gdzie opowiada obecnym o krzywdzie swojéj.

Scena w karczmie najlepsza może w całym dramacie. Rozprawiają tu chłopi o panach swoich. Pomiędzy innemi jeden opowiada

niezmiernie charakterystyczną i dosadną legendę o stworzeniu pierwszego szlachcica i jego progenitury. Poeta wyjął ją z ust ludu i powtórzył bez żadnéj odmiany. Dla tego téż, pomimo trywialność swoję i myśl anti-szlachecką, zasługuje na przytoczenie:

Podróżny.

Kiedy Bóg stworzył i niebo i ziemię,
Zwierzęta, wody i drzewa i kwiaty,
Gdy tak świat stworzył piękny i bogaty,
Wtenczas rzekł: trzeba stworzyć ludzkie plemię,
Aby żył człowiek, z życia się radował
I cudom ręki mojéj się dziwował!

Jeden ze słuchaczów.

Piękna historya... to z pisma świętego...

Podróżny.

Gdy więc był w świecie dostatek wszystkiego
Trzeba człowieka—rzekł Bóg—abym stworzył.
Wziął gliny, zlepił, chrząknął i człek ożył.
Po górach, lasach i po brzegach wody
Wszędzie się Boskie rozbiegły narody,
A wszystkie równe, proste, z jednéj gliny...
Żyli jak bracia, lecz gdzież człek bez winy?
A możnaż z winą swą przed Bogiem skryć się,
Co ma najskrytszych spraw ludzkich opiekę?
Zrazu lud prosty o las to pasiekę
Dawaj się kłócić, a w końcu i bić się.
Ej—myśli Pan Bóg—niéma z chłopstwem rady!
Czyż ciagle w niebie mam godzić ich zwady?
Porzną się szelmy—pana stworzyć trzeba
Delikatniejszéj niż chłopska natury,
Żeby go wzięli za posłańca z nieba
I tak się bali jako kota szczury.
Więc Bóg już nie chciał stworzyć pana z gliny,
Ale wziął w niebie najpiękniejszéj mąki,
Masła i jajek, tak jak-by na bliny,
I zlepił pańskie najpiękniejsze członki,
Ale nim chuchnął, ażeby pan ożył,
Kontent Bóg z dzieła, w niebie go położył.
Otóż słuchajcie! Bóg rad z takiéj cacy...

Kilka głosów, ze śmiechem.

Oj prawda, caca!

Podróżny

Poszedł Bóg by zważyć
Jak pańską głowę i serce usmarzyć
...Więc plany kreśli:
Jakie dać panu i serce i myśli,
Jak pan powinien nienawidzieć pracy,

Śród jakich pan ma zamieszkać pałacy,
W jakie się szaty ma stroić ozdobne
I inne pańskie myśli tym podobne.
Kiedy tak Pan Bóg rozmyśla—pan leży.
Tymczasem patrzcie, jakie ztąd zjawisko:
Było tam w niebie strasznie wielkie psisko.
Zwąchało pana... taki piękny, świeży!
A taki smaczny!.. dalej do roboty
Chrum, chrum co prędzéj i zjadł co do joty.

Kilka głosów (z zadowoleniem).

Zuch! a zkąd potém to licho się wzięło?

Podróżny

Sluchajcie! jak zjadł, strasznie psa wydęło,
A w tém wszedł Pan Bóg, by już tylko chuchnąć...
Aż pana niéma... pies ani się ruszy,
Tylko coś wkolo zaczynało cuchnąć.
Bóg spójrzał—odgadł... Jemu spójrzéć dosyć!
Jak się rozgniewa! jak porwie za uszy,
Jak pocznie bestyą wszechstronnie tormosić!
Patrzcie, dziw jaki! to nad rozum ludzki!
Z psa żywe państwo sypie się jak kluski.
Na różne końce sypali się świata,
Aż się sam Pan Bóg zdziwił z tego cudu
I postanowił dla mniejszego trudu,
Zwać ich od drzewa, od wody, od kwiatu,
Gdzie który spadnie:—na brzozę—Brzozowski;
Na skałę—Skalski; gdy na kwiat—Kwiatkowski;
Na żabę—Żaba; na wilka—Wilczyński;
Gdy na kobyłę—to pan Kobyliński.
I tak na różne ptaki i zwierzęta
I różne rzeczy—któż wszystkie spamięta!..
Dość że ich spadło co dżdżu kropel z chmury—
Wszyscy z psa rodem, wszyscy psiéj natury.

Nie mamy za złe autorowi, że spisal tę oryginalną klechdę, zachowując właściwą jéj woń i koloryt, ale nie rozumiemy, jak wprowadzony tu przezeń *incognito* August, szlachetny i wykształcony syn Kniprucia, po wysłuchaniu téj „cuchnącéj“ powieści, mógł się odezwać:

„Szczytna myśl! pełna ludowéj swobody,
Nad heraldyczne piękniejsza wywody!“

Złowrogie, napół przysłonięte zwierzenie się jednego z włościan o zamordowaniu przezeń okrutnego pana, kończy ten akt, sprawiający wogóle nadzwyczaj przykre wrażenie.

W akcie III-m zapoznajemy się z rodziną bogatego obywatela Kniprucia, rozdzieloną pod względem uczuć i przekonań na dwa

obozy. Szlachetniejszy obywatelsko-chrześciański pierwiastek reprezentują: pani Knipruciowa, córka jéj Marya i dwudziestoletni syn August. Społeczne ich poglądy wyświeca rozmowa, nie zawierająca zresztą nic nowego: wygłaszane w niéj zdania są tylko parafrazą tyrad Zorskiego. Knipruć, zjawiając się na scenę, odrazu wstrząsa nas uczuciem oburzenia i wstrętu. Jest-to upostaciowanie najwsteczniejszych pojęć szlacheckich, mieszanina przesądów, tyranii i zgnilizny moralnéj, zaprawnéj pewną dozą dobroduszności, a nawet patryotyzmu. Posłuchajmy tylko co mówi do syna:

„Wiedz: miłość kraju jest w świecie rzecz główna:
Przez nią się szlachcic może okryć chwałą,
Nieraz majątkiem z mitrami się zrówna...
Każdy, kto szlachcic, kandydat do tronu;
Wolno każdemu przez cześć dla swych przodków
Dążyć najwyżéj"—itd.

Bawi się on oczywiście i w politykę:

„Tak możem zdziałać wszystko co zechcemy:
Wszak tajemnice zakryte przyszłości,
Lecz być gotowym trzeba do godności.
Wieją chorągwie od Renu, Sekwany,
I wielkie zajdą na świecie przemiany..."

Tymczasem dają mu znać o stawieniu się wezwanéj gromady włościańskiéj:

„Niech przed dom przyjdzie cała ta czereda"—

rozkazuje Knipruć i wychodzi.

Tragiczną kolizyą pojęć rodzinnych w dwu pokoleniach, wyrażają słowa Augusta do matki:

„O! jakże, matko, to serce rozdziera,
Gdy w uroczystéj, tak świętéj godzinie,
W któréj się ojciec przed synem otwiera,
W któréj miłości słowo z serca płynie,
Gdy syn rad ojca, jak przekleństwa, słucha
I widzi w łonie samobójstwo ducha!
Przyszłość!.. na takiéj budować ją skale
I samolubstwa kluczem ją otwierać!
Przez całe życie grosz wąchać, czcić, zbierać—
I na to tylko, by dzieciom w podziale
Zostawić pieniądz i poprzestać na tém,
Aby je w stadle zobaczyć bogatém.
Myśléć wysoko, być duchowym śmiałkiem,
Iść w przyszłość torem wydeptanym w błocie
I zostać wielkim człowiekiem—marszałkiem!
Może i królem przyszłości—przez krocie!..

Tymczasem stary Knipruć zabiera się do ważnego gospodarskiego dzieła—do zapewnienia sobie na rok przyszły nowego remanentu żywego, innemi słowami, do kojarzenia małżeństw pomiędzy chłopcami i dziewczętami kmiecemi, nie pytając się wcale o to, jak się tam chłopskie serca na jego wybór odezwą. Ekonom jego, Drozd, ułożył już odpowiednią listę. Występuje więc z przemową do ludu:

Knipruć.

No, teraz, w jesieni
Gdy z pól zebrano, gdy Pan Bóg dał chleba,
Wszak wiecie sami, że żenić się trzeba.
Choć z pól zebrano, nie trzeba próżnować.
Dorosły dziewki, dorośli i chłopcy...
Gdzie niepotrzebne dziewki lub parobcy,
Na co gospodarz ma darmo hodować.
Trzeba pomyśléć i o przyszłym roku,
Aby i z sierpem i z kosą i w toku
Mogła się stawić równie każda chata...
Pan Drozd, tak dobry, staje wam za swata—
On wie najlepiéj—więc tu zachód krótki...
Na zaręczyny wszystkim da się wódki.
Jutro niedziela—ksiądz proboszcz w kościele
Niech moim kosztem zapowiedzi czyta,
I tak, szczęśliwi, od dziś za niedzielę
Będziecie sobie kochać się... i kwita.
Ale też jestem ciekawy wyboru".

Na skinienie pana Drozd czyta dość długą listę dziewcząt i chłopców, przeznaczonych do pobrania się, pomiędzy innymi figuruje tu i narzeczony Zosi młynarczanki, młody Lewiński z jakąś obojętną mu całkiem dziewczyną. Czytanie swoje kończy Drozd następującą trafną uwagą:

„Na ten rok wszyscy... widzi pan dobrodziéj,
Inne dziewczęta i chłopcy zbyt młodzi,
Lecz gdyby taka pańska wola była,
Może-by jeszcze para się złożyła.
Lecz doświadczenie mam zresztą niemylne,
Że z takich małżeństw są dzieci niesilne,
Lub niéma wcale, albo mrą w młodości
I nic inwentarz nie zyska w ludności.

Knipruć.

Bardzo dziękuję, ja acanu wierzę
(*do ludu*) I wy dziękujcie swatowi waszemu:
On o was myślał i starał się szczerze,
By dobrze było.
(chwila milczenia).

Lewiński.

Nie dziękujem jemu,
Bo my tak, panie, nie będziem szczęśliwi.
Cóż potém, że on nam tak żony rozda,
Gdy Pan Bóg w sercach temu się przeciwi.
Wszak śmierć i żona od Boga nie Drozda.

Knipruć.

A! łotr zuchwały!

Kilku włościan, (kłaniając się).

Nie, panie! nie chcemy.
My sami sobie żony wybierzemy.

Drozd do (Kniprucia z cicha).

Lewiński zawsze jest początkiem złego.

Knipruć.

A! łotr! buntownik! ja nauczę jego!
(*uderza Lewińskiego*).
Słyszysz ty łotrze? wiesz co pańska wola?

Lewiński.

Wiem, jaśnie panie! zawsze słucham wiernie,
Ja pierwszy w polu i ostatni z pola,
Zawszem wypłatny, choć żyję mizernie.
Lecz téj dziewczyny nie mogę ja lubić,
Nie chcę jéj szczęścia ni swojego gubić.

Knipruć.

— Romantyk! proszę!

I na tę niesłychaną u chłopa chorobę rozkazuje mu dać pięćset!.. Lecz tu nagle zachodzi interwencya Augusta, który czynnie sprzeciwia się wykonaniu ojcowskich rozkazów. Rozwścieczony ojciec każe go porwać, lecz chłopi zasłaniają swego obrońcę, który z tego powodu, nie bardzo w porę, wysławia potęgę miłości. Stary Knipruć ze złości dostaje apopleksyi, i następnie w gorączkowém bredzeniu odsłania wszystkie brudy swéj duszy. Przesuwają się tu przed nim różne widma, przekraczające granice realizmu na scenie, choć wyglądają dość szablonowo i uczucia grozy nie budzą.

W akcie IV-m, znowu jesteśmy u Wodzicza i słuchamy hamletowskiego monologu jego, z niezbędném zapytaniem: „być, czy nie być?“ Trawi go zgryzota i nuda, ów robak,

„Co wiekuiście panuje zgniliźnie,
Bo kogo ona raz jeden nawiedzi,
Tam na tron śmierci on zaraz się wśliźnie.
Jedynowładca w umarłych ojczyznie!

Następnie autor ukazuje nam w gościach Wodzicza kilka typów szlacheckich: hr. Racinkiewicza, posesora Rubieszę i dwóch

młodzieńców charakteru nieustalonego. Hrabia mocno skarykaturowany, Rubiesza wygląda naturalniéj—człowiek, co byłby może rozsądnym i poczciwym, ale mu ustawiczna troska o żonę i dzieci psuje szyki. Zamierzone polowanie poprzedza rozmowa o kobietach, o Zosi, nareszcie, *comme de raison*, pijatyka uczciwa. Goście nie odznaczają się wielkim dowcipem, a Wodzicz, jak to było do przewidzenia, prawi im impertynencye konwencyonalne.

W następnéj scenie jesteśmy świadkami rozmowy Augusta z Zorskim. August uskarża się na los, Zorski dodaje mu utuchy, stawiając przed oczyma wielkie zadania ludzkości. Nie brak tu pięknych myśli, choć wysłowienie zawsze niemal wadliwe. Zorski np. mówi:

„Nie samochwalcy, ani blasku chciwi,
Lecz cisi sercem, pracowici ludzie.
W niezmordowanym swym prowadzą trudzie
Ludzkość po wielkiéj postępu drabinie.
. . . .
Wielki czyn jedno jest, co wielka cnota;
Chrześcianin w ukryciu dokonać go umie,
A wszystkie inne, co się lęgną w dumie,
Nie wejdą w wieczność, bo zlepione z błota,
I wszystkie inne są przelotnym szumem,
Albo pożaru roznieconą łuną;
Chwilką znikomą błysnąwszy przed tłumem,
Zgasną jak głównie i w popiele runą.
A cnot publicznych nasieniem i szkółką
Jest dom, co cichych poświęceń straż trzyma;
Niéma cnót w kraju, gdy ich w domu niema.
. . . .
Lecz nie trwoń życia próżnemi balami!
Wszystkie dni twoje, wszystkie piersi tchnienia;
Zrób tak, by były żywemi głoskami
Żywéj historyi twojego istnienia.
Jest urna ducha, jak urny popiołów:
Jest to myśl wieku, co się w czyny zmienia,
Téj urny strzeże chór stróżów—aniołów,
Których we wszystkie Bóg szle pokolenia.
Bo wiedz, że kochać, czcić moralne piękno
Jest to niezłomna ludzkości potrzeba;
Bo taka miłość jest to zakon nieba,
Przed którym wszystkie mamony uklękną!“

Po wyjściu Augusta nadchodzą zrozpaczeni: stary Sosnowski i Lewiński, ojciec i narzeczony Zosi. Zorski pociesza ich i zaleca ufność w sprawiedliwości Boskiéj.

Akt V i ostatni rozpoczyna niebardzo potrzebny i niewłaściwie umieszczony monolog Lańca. Nikczemny ten rajfur, zamierzywszy

porwać Zosię dla swego pana, marzy już o herbach i całym szeregu przodków bajecznych.

W 2-giéj scenie przenosi nas autor do domu Kniprucia, który, acz niezupełnie zdrów jeszcze, zamierza doprowadzić do końca przerwane skojarzenie par swego inwentarza ludzkiego, a zarazem ukarać syna przez oddanie go do wojska i wysłanie na Kaukaz. Spotykamy tu dobrze pojętą postać mądrego i przebiegłego chłopa Dymitra, który na pozór nie sprzeciwia się panu, a nawet podejmuje się wykonania jego rozkazów, ale potajemnie ostrzega swych braci o niebezpieczeństwie. Chłopi gotują się do czynnego oporu i zemsty. Jeden przed drugim ubiega się o wymiar krwawéj sprawiedliwości.

Tymczasem Wodzicz i całe towarzystwo myśliwskie spotyka się z Zorskim nie opodal jego mieszkania. Wodzicz dziękuje Zorskiemu za ratowanie jego dobytku w czasie niedawno wydarzonego pożaru. Hrabia Racińkiewicz szydzi z jego „romansowéj“ miłości do ludu, Zorski odpowiada poważnie:

„Kocham ich, panie, jak młodszą rodzinę,
Jako uboższych i słabszych odemnie“,

a potém wdaje się niepotrzebnie w mglistą rozprawę historyozoficzną o „zwrotach dziejowego koryta narodu“. Na to mu Rubiesza odpowiada naiwnie:

„Jaki to, panie, ma związek z korytem?
Inny bieg może był rzek przed potopem,
Ale chłop zawsze był i będzie chłopem,
Jakimś gałganem nigdy nie umytym,
To są łajdaki jakich mało w świecie.
Inaczéj może zdaje się poecie,
Ale inaczéj w rzeczywistym stanie
Ho, ho! znam ja ich blizko, mój panie!
Łotry, pijaki, hultaje, złodzieje,
A im kto lepiéj obchodzi się z nimi,
Tém niewdzięczniejsi—stają się gorszymi,
I barzdiéj źli gdy lepiéj im się dzieje.
Prawda tak jasna, jak że słońce świeci!
Zresztą, mój panie, mam żonę i dzieci“.

Zorski w odpowiedzi częstuje całe towarzystwo następującą bajeczką:

„Płynęła piękną, czystą wstęgą rzeka,
Karmiła kwiaty i łąki swym zdrojem,
Liczne posługi niosła dla człowieka,
Liczne rzeźwiła stada swym napojem.
Ale raz rzeka zmieniła łożysko—
Widział to człowiek i kwiaty widziały—
Człek ujrzał—odgadł, kwiaty zapłakały.

Lecz postrzegł zmianę uszaty panisko,
I jął się gniewać nad nowém korytem
I chciał zagrzebać, zadeptać kopytem.
Strumień biegł daléj, ale pan uszaty
Myśl tajemniczą na swe ucho wije—
„Poczekaj—ryczał—ja ciebie wypiję!“
I pił, pił—ale cóż?—daremnie się trudził,
Opił się biedak, usnął—i nie zbudził.
Nie dość żołądka, nie dość mieć kopyta
By zmieniać rzeki i czasów koryta“.

Następnie w mistycznych, dosyć ciemnych obrazach maluje wielkość ludu i myśli jego zbiorowéj.

„Bo wy nie wiecie że ludu potęga,
Jak alfabetu rozprzężone dźwięki,
Z których się wieku wielkie słowo sprzęga,
Że to są tony wiekowéj piosenki,
Bez których pieśni żaden mistrz nie złoży...“

Daléj potępia wyłączność kastową i jednostkową:

„Lecz biada temu, kto świateł promienie
Ukradłszy braciom, sobie tylko świeci!
Anioł światłości w otchłań piekieł zleci,
Dzieje mu w czoło wpiszą: „potępienie!“
Bo już na dzisiaj to nie tajemnica,
Jak się na świecie zjadł nie jeden naród,—
W kast upodleniu wyrósł śmierci zaród
I zjadł, jak drzewo zjada gąsienica;
Jak w dawnych wiekach kasty lud okradły,
Poszły w niewolę i marnie przepadły
. . . .
Biada, kto ludu wybrany kapłanem,
Zdeptał kapłaństwo i został szatanem;
Kłamaną miłość na siebie przywdziewa,
Duchem i sercem z ludem się nie zlewa“.

Nareszcie wypowiada myśl zasadniczą autora i dramatu:

„Gdybym dziś jeszcze mógł dać serce komu,
Oddałbym je dziewczynie z wieśniaczego domu;
Stałbym się z ducha synem, ojcem ludu—
Godny trud życia, godne życie trudu!
Jeśli Syn Boży mógł niebo porzucić,
By tu na ziemi zostać synem cieśli,
Czemuż ci, co się nad braci wynieśli,
Nie mogą do nich w imię Boga wrócić?!
O! spójrzmy w życia domowego dzieje:
Gdy duma chuciom nie dotrzyma straży,
Żądzy niewolnik bez woli chłopieje,
Pan z swą poddanką ślubem się kojarzy!
Lecz schłopiéć z wolą jest jak Bóg z wysoka

Zstąpić z miłością dla wielkiego celu!
Stanąć wśród ludu jak ludu opoka—
Nie twój—to kościół wznosić Zbawicielu?
Nie jest to zostać idei kapłanem?
Górować arką myśli nad potopem,
Wziąć ducha berło, zostać Piastem chłopem?!..“

Słowa te sprawiają nagły, niemal cudowny przewrót w duszy Wodzicza. Przed chwilą myślał o pochwyceniu Zosi prawem senioralném, jako poddanki swojéj; teraz woła:

„Stało się! dzięki! dzisiaj dzień świtania
Po długiéj ducha mojego ciemnicy;
Dzisiaj godzina mego zmartwychwstania!
Oddam me serce i ducha dziewicy,
Któréj dać miałem upodlenie w zysku,
Zbrukać jéj czystość brudnemi zapały...
Od dziś mą żoną—w jéj czystym uścisku
I w jéj miłości ukocham lud cały!“

Wszyscy mu winszują szlachetnego postanowienia: Hrabia z lekkiém szyderstwem, dwaj młodzieńcy z nieudanym entuzyazmem, Rubiesza z niepokojem wewnętrznym, mrucząc na stronie:

„Cóż z méj posesyi i z mego kontraktu.
Takie im myśli snują się szalone!
Lecz ja mam przecie i dzieci i żonę“.

Przedostatnia scena odbywa się u młynarza. Wśród pełnéj nadziei garstki włościan, zabawiających się kieliszkiem i piosenką, spada jak piorun okrzyk: Zosię porwano! Rozognieni zemstą, wszyscy rzucają się do pościgu. Nie wstrzymuje ich nawet przyniesiona przez Dymitra wiadomość o śmierci starego Kniprucia. Pokrzywdzony w najświętszém uczuciu swojém młody Lewiński wykrzykuje:

„Dzięki Bogu, że pies zdechł!
Mniéj dla duszy jeden grzech.
Hej-że prędzéj, prędzéj w gości
Do żywego lećmy pana!
Łotr ostatni chyba z włości
Co się cofnie! lećmy w gości!“

W scenie ostatniéj, w domu Wodzicza widzimy najprzód rozpacz porwanéj Zosi, którą pociesza niegodziwy Laniec uroczą perspektywą pańskiéj miłośnicy.

Nadjeżdża Wodzicz z całém towarzystwem i wygnawszy sromotnie Lańca, uroczyście oświadcza się o rękę wieśniaczki. Tymczasem nadbiegają chłopi z groźbą zemsty straszliwéj. Sytuacya się wyjaśnia. Lewiński, z razu oburzony, wobec szlachetnych zamiarów Wodzicza, gotów jest wyrzec się ukochanéj, lecz ona pozostaje mu wierną i Wodzicz ze smutkiem widzi nadzieje swoje rozchwiane.

Na szczęście August ukazuje mu w bliskiéj przyszłości połączenie się z Maryą, dzisiaj już wolną od despotyzmu woli ojcowskiéj. Wszystko się kończy szczęśliwie. Wodzicz zaprasza włościan na ślub Zosi:

„Kochani bracia! wasz brat dziś was prosi
Na uroczysty obchód ślubu Zosi;
Lecz jeszcze bardziéj chcę dzień ten uwieńczyć:
Z waszém się sercem na wieki zaręczyć,
A wspólnie serca swe zaślubim z niebem.
Miłość powszednim zróbmy naszym chlebem,
A Bóg w stodołach da dostatek chleba.
I przykład z siebie rozdzielmy dla świata,
A gdy będziecie radzi z swego brata,
Kiedy was żadna nie dojmie potrzeba
Gdy mieć będziecie dostatek wszystkiego
Wtenczas za duszę i szczęście Zorskiego
Poszlijcie szczerą modlitwę do nieba!“

Podając niniejszą wiadomość o niewydanym dramacie głośnego niegdyś pisarza i objaśniając streszczenie jego przytoczeniami, miałem przedewszystkiém na widoku społeczno-historyczne znaczenie utworu, bez względu na jego wartość estetyczną, która, otwarcie mówiąc, jest mniéj niż mierną. Budowa dramatu nieudatna; główne osoby jego rozprawiają jak retorowie, nie wiele robiąc, a do tego rozprawiają niezgrabnie, ciężko, niepoprawnym, pełnym rusycyzmów językiem, a częstokroć ciemno do bezsensowości. Prostowałem te wady ile możności, miarkując się jednak przez uszanowanie dla cudzéj pracy. Lecz jeżeli pod względem poetycznym „Zorski“ nie wytrzymuje krytyki nieco wymagającéj, pod względem dziejowo-społecznym stanowi on pomnik niepospolitéj doniosłości. Uwidocznia on bardzo wyraźnie prądy, jakie panowały w społeczeństwie autorowi spółczesném, a zarazem daje świadectwo szlachetności i zapałowi młodego pokolenia do najżywotniejszych zadań obywatelskich, czego niezbitym dowodem był niezmierny rozgłos, pozyskany przez 1-szą część „Zorskiego“, noszącą tytuł „Jordana“. O przesadę w malowaniu ujemnych stron szlachty żadną miarą nie można posądzić autora. Nie wahamy się, polegając na własnych wspomnieniach, twierdzić, że poeta złagodził raczéj ohydne rysy pańszczyźnianego świata, a bynajmniéj ich nie zaostrzył. W każdym razie protest jego, wygłoszony w „Jordanie“ i „Zorskim“, w imieniu ludzi prawdziwie światłych i zacnych, policzony być winien za zasługę zarówno autorowi jak i pokoleniu całemu, które niepowściągniona w swéj zaciętości stronniczość, znamionuje dzisiaj piętnem wstecznictwa.

Leonard Sowiński.

Z DZIEJÓW LUDZKOŚCI.

II.

Bardzo ciekawą i pouczającą kartkę z dziedziny socyologii stanowią dzieje nasypów Ameryki północnéj i ich twórców.

Gdy pierwsi koloniści europejscy, pod wodzą Putuama osiedlali się nad rzeką Ohio (1788), zwróciły ich uwagę wały, kurhany itd. spotykane w ogromnéj ilości nad rzekami: Muskingamą, Scioto, Miami, Paintweckiem itd. Z czasem poczęto się rozglądać po sąsiednich miejscowościach. Wszędzie, od linii Wielkich Jezior do zatoki Meksykańskiéj, od gór Skalistych do Atlantyku napotykano wały, kurhany, kopce najrozmaitszych kształtów i najrozmaitszych wymiarów. Archeologia amerykańska rzuciła się na to pole, stanowiące odtąd jednę z głównych dziedzin jéj działalności. Już w 1791 wypowiedziano zdanie, iż nasypy te nie są wytworem Czerwonoskórych, lecz pozostały po innéj, istniejącéj na wiele lat przed niemi i oddawna zamarłéj cywilizacyi. Cywilizacya ta, twierdzono, zaginęła skutkiem jakiegoś kataklizmu geologicznego, nie pozostawiając nawet najmniejszych śladów w podaniach Czerwonoskórych. Wzięto się do badań nad nasypami, „*mound'ami*"—tak albowiem nazwano te zabytki dawno minionych czasów—czyli raczéj wzięto się do fantazyowania na temat owych nasypów. Na podstawie kilku faktów poczęto snuć całe obrazy. Rysowano ustrój społeczny wytwórców tych pomników („*Moundbuilder'ów*") ich typ etnograficzny, stopień cywilizacyi. Mieli oni stanowić specyficzną jednostkę etnograficzną, różniącą się kulturą i składem ciała od rasy czerwonoskóréj. Zamieszkiwali gęsto dolinę Missisipi i jéj dopływów. Rząd ich miał charakter wielce despotyczny. Religia zasadzała się na czci słońca; posiadali liczne miejsca święte, świątynie i miejsca ofiarne. Archeolo-

gia amerykańska dowiedziała się nawet, że wytwórcy nasypów składali bogom ofiary z ludzi; iż na wiosnę zabijali w ich cześć najstarszego mężczyznę, ubiegającego się o to, jako o najwyższy zaszczyt, a w jesieni—kobietę. Toczyli częste walki, budowali silne i ogromnych rozmiarów warownie; urządzali wysokie strażnice wojenne. Rolnictwo, rękodzielnictwo i sztuka u szczepu tego dosięgły wysokiego stopnia rozwoju: umieli oni prząść i tkać, wydobywali miedź i błyszcze, wytwarzali z gliny artystyczne naczynia a z kamienia ciosali postaci człowieka i zwierząt. Zdołano nawet określić psychiczny rozwój tego zaginionego narodu. Forster np. powiada: „bezwątpienia wytwórcy nasypów nie odznaczali się ani wielkiemi cnotami, ani wielką skłonnością ku występkom. Był to lud łagodny, pokojowy... „nic dziwnego, iż musiał uledz chytremu i okrutnemu wrogowi...“! Prawda, że istniało tyle definicyj, tyczących się psychicznego ustroju wytwórców nasypów, ile głów badało ich przeszłość.

Nic więc dziwnego, że różni badacze różnie myśleli. Zdarzało się nawet, że ten sam badacz, w tém samém dziele, myślał odmiennie w różnych miejscach. Tak np. wspomniany Forster, wykazując w jedném miejscu zdolności i dość wysoki rozwój umysłowy tego narodu, w drugiém powiada: „wszystko wskazuje na ich nizkie zdolności umysłowe, wychodzące zaledwie po za obręb idyotyzmu.“ Znaleziono nawet pisane dzieje wytwórców nasypów, na t. zw. „rytych tabliczkach“ (*inscribed tablets*): były to płaskie kamienie, z różnemi niezgrabnie wykonanemi rysunkami, znakami itd. Czegóż tu nie odczytano? Nie wiele brakowało, aby nie zabrano się do napisania wyczerpującéj historyi owych zamierzchłych czasów. Jedna była niedogodność: badacze nie mogli się zgodzić na to, w jakim języku pisane były owe „ryte tabliczki.“ Jedni twierdzili iż w greckim, etruskim lub starogalskim; inni, iż w staroperskim, starohebrajskim, fenickim lub celtyberyjskim. Niektórzy widzieli tu język półwyspiarzy z Korei. A co dziwniejsza, każdy, czytając w odmiennym języku, dochodził do pewnych rezultatów. Oczywiście, że przy różnych językach musiały być różnemi i rezultaty. Na jedno się zgadzano, mianowicie—że dawne cywilizacye środkowéj i południowéj Ameryki stanowią resztki téj zaginionéj cywilizacyi.

Kiedy tak jedni marzyli o wykryciu przeszłości tego ciekawego narodu i snuli jéj obrazy, drudzy wzięli się do gromadzenia faktów. Poczęto rozkopywać nasypy, studyować podania Czerwonoskórych. „Ryte tabliczki“ okazały się jedne po prostu kawałkami zwykłego kamienia, przypadkowo porysowanemi na powierzchni, drugie—wytworem specyficznego nowoczesnego kunsztu wyrabiania starożyt-

ności. Badania kraniologiczne wykazały ogromną rozmaitość form i kształtów czaszki, a nadto zwyczaj sztucznego nadawania pewnéj formy czaszkom w dzieciństwie. Fakt mający przemawiać za odmienną epoką geologiczną istnienia wytworów nasypów mianowicie—że pozostałe po nich nasypy wznoszą się nie w dolinach lecz na wzgórzach, otaczających dolinę—objaśniono po prostu tem, że ludzie ci starali się zabezpieczyć przeciw wylewom rzek, a mały procent materyi organicznych w znalezionych kościach nic nie mówi o epoce ich istnienia, nieznane są bowiem wpływy, jakim te kości ulegały przez cały przeciąg czasu. Również wiek drzew, któremi porosły nasypy nie mówi nic pewnego o epoce owéj cywilizacyi i nie daje pojęcia o czasie powstania oddzielnych nasypów; gdy bowiem na jednych nasypach wznoszą się drzewa, których wiek oznaczono np. na 800 lat, to inne porosłemi są bardzo młodym lasem. Jednocześnie z wykazaniem bezzasadności mrzonek o cywilizacyi i epoce istnienia wytworców nasypów, zbierano jak wyżéj wspomnieliśmy, fakta. Fakta te rzuciły zupełnie odmienne światło na dzieje przeszłości. Nim jednak określimy je, uważamy za konieczne przytoczyć główniejsze z pomiędzy faktów.

Nasypy, o których mowa, nie wszędzie w Ameryce północnéj rozsianemi są równomiernie. Tak np. znajdujemy je rzadko w stanach Nowéj Anglii, daleko częściéj w południowych stanach nadatlantyckich, najczęściéj zaś nad brzegami Missuri, Kanzasu, Platty, Arkanzasu. Ich granicę zachodnią stanowi pasmo gór Skalistych północną—linia Wielkich jeziór. Pomiędzy nasypami spotykamy ogromną ilość kształtów, dających się ugrupować w dwa działy: w dział wałów i w dział kurhanów:

1. Wały (*Wallmounds*). Tu trzeba odróżniać nasypy-wały znajdujące się na wzgórzach i nasypy-wały stojące na płaszczyźnie.

a) Nasypy-wały na wzgórzach. Przeznaczenie tych nasypów nie podlega najmniejszéj wątpliwości. Zastosowanie ich do korzystnych warunków miejscowości, wybór stromych i oddzielnie stojących wzgóry, mających dostęp tylko z jednéj strony, silniejsze wały i głębsze rowy na téj dostępnéj stronie, toż samo przy „bramach,“ wały naokoło wzgórza, źródło, znajdujące się zawsze w obrębie nasypu na pochyłości wzgórza, piwnice wewnątrz nasypu, przeznaczone do chowania pokarmów, położenia nasypów na stromym brzegu rzeki lub w klinie pomiędzy dwoma łączącemi się rzekami—wszystko to przemawia za tém, że wały te nie są niczém inném, jak zwykłemi warowniami. Wielkość różna: 5—140 akrów powierzchni.

b) Nasypy-wały, położone na płaszczyźnie. Bywają one najrozmaitszych kształtów: okrągłe, kwadratowe lub równoległoboczne, eliptyczne lub ośmioboczne; stoją oddzielnie lub obok siebie, łączą się z sobą przy pomocy jednego wału lub całego nawet systematu równoległych wałów. Regularny kształt tych nasypów naprowadził na myśl, że ich wytwórcy posiadali znajomość teoretycznéj geometryi. Wielkość ich rozmaita. Stoją one nad rzekami lub przy ujściu jednéj rzeki do drugiéj, lub téż chronią się choć częściowo na wzgórza. W tych nasypach niektórzy chcieli widziéć „święte zagrody“ (*sacred inclosures*); jako dowody na to twierdzenie, przytaczano iż wzgórza sąsiednie panują nad nasypami-wałami, znajdującemi się na płaszczyźnie, że wały są zbyt nizkie, że brak im rowu lub rów leży wewnątrz wałów, że kilka nasypów łączy się za pomocą wału w jednę całość a wewnątrz nasypów spotyka się „ofiarne nasypy.“ Ale to wszystko nie wystarcza do obalenia zdania, że nasypy-wały na płaszczyźnie są również warowniami jak i nasypy-wały na wzgórzach, a tém bardziéj do przekonania że nasypy-wały na płaszczyźnie były ongi „świętemi zagrodami.“ Tak np. jeżeli wzgórza sąsiednie panują nad nasypami, to mogłoby być zarzutem tylko ze stanowiska nowoczesnéj sztuki wojskowéj, następnie nizkość wałów nic jeszcze nie stanowi: wały te mogły być wzmocnione przez palisadę, jak u Czerwonoskórych; zresztą wały te nie są znowu tak nizkie, wynoszą bowiem do 12 stóp wysokości, nie licząc głębi rowu. Dla czegóż daléj spotykanie rowu wewnątrz wału ma przemawiać przeciw uważaniu nasypu za warownię? Zresztą spotykają się téż nasypy z rowami, na zewnątrz położonemi, ofiarne nasypy także niczego nie dowodzą, témbardziéj, że samo to ich przeznaczenie podlega pytaniu; przeciwnie, posiadamy cały szereg dowodów natury pozytywnéj przemawiających za tém, że opisywane nasypy służyły za warownie. Takimi są: podwójne wały w słabszych miejscach, szczególny sposób bronienia wejść przy pomocy innych wałów specyficznéj formy i położenia i resztki palisad, znajdywane w nasypach przez pierwszych kolonistów. W nasypach tych znajdujemy mniejsze wały i kopce, a w nich zużyte sprzęty domowe, ślady ogniska i odpadki kuchenne; kształt tych pomniejszych nasypów bywa różnym. Mogą to być ślady dawnych domów pokrytych ongi ziemią i darniną.

W związku z okrągłemi wałami stoją wały prostolinijne, idące pojedyńczo lub w większéj liczbie i zawsze do siebie równolegle. Wały te łączą oddzielne okrągłe nasypy z sobą, lub od nich prowadzą do źródła lub rzeki. Obronne ich znaczenie nie ulega wątpliwości.

2. Kurhany. Tu trzeba odróżniać nasypy ostro zakończone następnie nasypy z płaszczyzną na szczycie i t. z. „symboliczne“ lub „emblematyczne“ nasypy (*effigy, symbolic*, lub *emblematic-mounds*). Zacznijmy od ostatnich.

a) Nasypy symboliczne stanowią grupę najbardziéj zagadkową. Są to olbrzymich rozmiarów piktografie, długości 50—200 stóp i więcéj, kilka stóp wysokości, sypane na wolnych od wzgórzy płaszczyznach północnych stepów, posiadające kształt różnych czworonogów, ptaków, a nawet człowieka. Kształty te jednak są bardzo niewyraźne, z ostrożnością więc trzeba przyjmować nadawane tym nasypom nazwy: nasypów niedźwiedzich, lisich itd. Tak np. trzeba być wielce niedowierzającym co do wniosków, czynionych z kształtu tak zwanego Mamutowego nasypu (*Mammut-Mound*) w Wisconsinie. Nasypy te rzadko stoją oddzielnie; po większéj części w grupach lub rzędach. Za materyał do ich budowy służy okoliczna glina i ziemia, brana nie ze szczególnych dołów, lecz po prostu z powierzchni ziemi. Poszukiwania wewnątrz nic nie wykryły; znajdywane kości ludzkie należą do czasów późniejszych. Przypomnimy, że pomiędzy Czerwonoskórymi istnieje zwyczaj nazywania plemion imionami zwierząt.

b) Nasypy zakończone płaszczyzną. Obwód najrozmaitszego kształtu: okrągły, kwadratowy, etc. w ogóle regularny. Wysokość różna od kilku do 90 stóp (np. olbrzymi *Cahokia-Mound* przy St.-Louis). Drogi, przerywane przez pewne przeszkody, prowadzą na górę. Czasami sam nasyp wznosi się tarasami, łącząc się za pomocą wałów z innymi tegoż rodzaju nasypami. Tarasy przypominają nam wzgórza takiegoż rodzaju w Meksyku, na których wierzchołku wznosiły się świątynie. Sam nasyp bywa często otoczony wałem. Gdy rozgrzebano jeden z nasypów w mowie będącego typu, znaleziono w niższych warstwach czystą ziemię z małym procentem popiołu i węgla; wyższe zaś warstwy były przepełnione popiołem, węglem, rozbitemi kośćmi ssaków i ptaków, resztkami zużytych narzędzi i naczyń. Nie ulega wątpliwości, iż ów nasyp służył za podstawę, na któréj wznosił się dom mieszkalny.

Wysokość jego pierwotna dosięgała jakich 10 stóp, następnie podniósł się do dzisiejszéj wysokości przez zwalenie stojących na nim domów, itd. Nawet olbrzymi nasyp przy Cahokia (750.000 stóp kwadr. podstawa, 360.160 płaszczyzna na wierzchołku, 90 stóp wysokość) prawdopodobnie posiadał to samo przeznaczenie, na co wskazują znalezione w wytworzonych na nim przez deszcze wyrwach skorupy garnków, ułamki narzędzi kamiennych, węgiel i po-

piół, wypalona glina etc. Spadziste wejście, wały naokoło, prawdopodobnie palisady (np. w Lee-County o 8—10 stóp poniżéj wierzchołka znaleziono ślady palisady)—wszystko to z miejsc zamieszkania czyniło bezpieczne i warowne schronienie.

c) Ostrokręgowe, śpiczasto zakończone nasypy. Niektóre z nich mają przy podstawie ślady t. zw. „ołtarza". Jest-to płaskowklęsła, a nawet zupełnie płaska masa z twardo upalonéj gliny, a rzadziéj z kamienia, różnego kształtu (okrągła, eliptyczna, czworoboczna itp.) i różnéj wielkości. Masa ta jest bardzo nizka, leży bezpośrednio na gruncie, lub na małém wzniesieniu z piasku. Na „ołtarzu" znajdują się kości ludzkie, sprzęty, ozdoby (np. pierścienie miedziane, otoczające kości ramienia), dobrze wyrobione fajki, ślady ognia. Rozkopując nasyp w kierunku jego osi, z góry na dół, znajdujemy kolejno warstwy zwiru, piasku, gliny itp. Nie ulega wątpliwości, że na takim ołtarzu palono ciała zmarłych, a obok popiołów zmarłego dzięki antropomorficznym poglądom na życie po zagrobowe, pozostawiano różne przedmioty (broń, ozdoby itp.); następnie nad ołtarzem sypano kopiec, i to nie odrazu, ale częściowo, w pewnych odstępach czasu (na to wskazuje rozmaitość warstw).

Czasami w rozpatrywanym obecnie typie nie znajdujemy ołtarza. Natomiast znajdujemy szkielet w położeniu leżącém, obwinięty w skórę, futra, matę lub czerwoną tkaninę, a obok niego sprzęty, ozdoby itd.; czasami znowu znajdujemy większą ilość skieletów, ułożonych na téj saméj płaszczyznie poziomej promienisto, głowami wewnątrz lub zewnątrz; czasami skielety są ułożone bez żadnego porządku, czasami pomieszczone w pewnym rodzaju komory z kamienia lub drzewa.

Oprócz powyższych trzech typów są jeszcze inne typy nasypów kurhanów. Tak np. nasypy obserwacyjne (*mounds of observation*), położone na najwyższych wzgórzach danéj okolicy, ze śladami ognia, a nawet kości ludzkich. Następnie „nasypy kamienne" (*Stone-mound*), wzgórza utworzone z narzuconych na kupę kamieni itp. Są one jednak nadzwyczaj nieliczne.

Rozpatrując geograficzne położenie wszystkich powyżéj wymienionych wałów i kurhanów, zauważymy, że nie są one jednakowo rozdzielone pomiędzy okolice. Północne stepy, pomiędzy *Prairie du chien* a jeziorem Michigan (stany Missuri, Jowa, Michigan, a szczególniéj Wisconsin), „roją się" po prostu nasypami symbolicznemi, a tymczasem w całém Ohio znaleziono 4—6, a w Georgii zaledwie 2 nasypy, o kształtach zwierząt—i to odmiennego rodzaju. Przeciwnie, warownie, położone na wzgórzach, są w Wisconsin nadzwyczaj

rzadkiém zjawiskiem, w południowém zaś Ohio, bardzo częstém; w południowém Ohio spotykamy nadto warownie na równinie. Nasypy, zakończone płaszczyzną, nadzwyczaj rzadkie na północy, pojawiają się coraz częściéj, idąc na południe. Ztąd ważny wniosek, mianowicie: *wytwórcy amerykańskich nasypów nie stanowili jednéj jednolitéj jednostki rasowéj przedstawiali kilka jednostek, ale z różnicami w życiu wewnętrznem i zewnętrznem.*

Badając przedmioty, znajdywane w nasypach, spostrzegamy, że pomiędzy nimi mało jest przedmiotów, mogących stawiać dłuższy opór zmianom meteorologicznym lub działaniu ognia. W rzadkich np. wypadkach znajdujemy resztki tkanin. Tkaniny te są bardzo pierwotnym wyrobem, ztąd możemy wnioskować, że sztuka tkacka nie stała zbyt wysoko pod względem technicznym i artystycznym. Daleko częściéj spotykamy broń i narzędzia, ozdoby miedziane, naczynia. Co do ozdób i sprzętów kamiennych, niema żadnéj różnicy pomiędzy niémi a będącemi obecnie w użyciu u Czerwonoskórych. Tylko to można powiedziéć, że wytwórcy nasypów prowadzili obszerny handel—za wskazówkę tego służy obsydyan kalifornijski mika alegańska, muszle z nad zatoki meksykańskiéj, spotykane w najrozmaitszych miejscowościach. Spotykane narzędzia metaliczne pokazują jedynie ślady kucia, bez najmniejszych śladów topienia i odlewania; oczywiście, iż miedź była dla wytwórców nasypów jedynie kamieniem nadzwyczaj podatnym do nadawania mu przez kucie rozmaitych kształtów. Miedź ta pochodzić więc musi z miejscowości, gdzie spotykamy ją w stanie rodzimym; takiemi miejscowościami są południowe brzegi i wyspy jeziora Wyższego; tu nawet odkryto ślady kopalń. Kopalnie te, równie jak ich ślady w innych miejscowościach wskazują na nadzwyczaj pierwotny sposób poszukiwania metalu.

Wydobywane z nasypów przedmioty ceramiczne są często opracowane z wielką starannością. Glina bywa pomieszana z ziarnkami drobno utłuczonego krzemienia, granitu lub mieniącego się barwami muskowitu, albo nakoniec z utłuczonemi muszlami. Polewy w rzeczywistém znaczeniu tego wyrazu brak. Ucha nadzwyczaj małe, zamiast nich często występy w kształcie guzów. Ozdoby na powierzchni naczyń niezgrabne i bez planu: zwykłe punkciki, kreski, kółka, szczególniéj zaś różne wężykowate linie. Naczynia: dzbanki, mniejsze i większe miski, wazy, urny itd., przedstawiające kształty różnych czworonożnych, ptaków a nawet człowieka.

Najbardziéj jednak interesującemi z pomiędzy szczątków, odnajdywanych w nasypach, są fajki. W pośrodku długości, na szero-

kim i płaskim, z lekka zagiętym cybuchu, jest osadzoną główka. Za materyał wybiera się chętnie eatlinit i inne rodzaje pstrokatych kamieni, czasami upalona glina. Główka bywa niekiedy wyrobiona bardzo misternie. przedstawia głowę człowieka lub zwierzęcia (bobra, wydry, orła, jastrzębia, sowy, kruka, itp.), choć czasami trudno ściśle określić co za zwierzę ma przedstawiać fajka. Wogóle fajki wskazują na zdolność artystyczną swych wytworców, pewność ręki, itd., widocznie iż wszystkie ich zdolności artystyczne skierowały się na to pole. Zwierzęta, co do wyrazu twarzy, ruchu, itp. są wybornie uchwycone. Tu musimy zrobić małą uwagę, większość znalezionych fajek pochodzi z Mound-city, z jednego i tego samego miejsca. i mianowicie te fajki odznaczają się najbardziéj artystycznem wykonaniem. Dzięki wspólnemu ich pochodzeniu, możemy przypuszczać, iż są one wyrobem jakiéjś jednéj artystycznéj jednostki lub rodziny, wyrabiającéj je dla wymiany.

Tkactwo z konieczności idzie ręka w rękę z uprawą odpowiednich roślin.

Ztąd musimy wnioskować o istnieniu uprawy roli. Jako dowód, przemawiający za tém, możemy następnie przytoczyć napotykane resztki zwęglonych łodyg kukurydzy, których używano, jako przedmiotu rysunków na naczyniach glinianych; również wielkie tafle kamienne, znajdywane w nasypach i będące prawdopodobnie narzędziami rolniczemi. Nareszcie masa fajek wskazuje na systematyczną uprawę tytuniu, a do uprawy zbytkowych roślin biorą się dopiero wtedy, gdy uprawa roślin niezbędnych dosięgła wysokiego stopnia rozwoju. Wszak rolnictwo nie rozpoczyna od uprawy roślin, zadawalniających jedynie zbytkowe potrzeby. Wreszcie obliczywszy wielkość i ilość warowni, musimy zgodzić się, iż miejsca te były gęsto zaludnione. Tymczasem wiadomo, iż dla wyżywienia jednego myśliwca potrzeba 50.000 akrów (a więc całe Ohio może wyżywić tylko 509 ludzi!); niesposób więc by tak spora ludność, jak to miało miejsce u wytwórców nasypów, mogła wyżywić się z polowania lub w jakiś inny sposób.

Jednėm słowem, wszystko to, co obecnie nauka, licząca się z faktami, może powiedzieć o wytwórcach nasypów, da się wyrazić w sposób następujący: nie przedstawiali jednolitéj masy etnograficznéj, ale agregat mnóstwa różnorodnych plemion; gęsto zaludniali niektóre okolice, szczególniéj środkowe części kotliny Mississipi, np. Ohio, mieszkając we wsiach warownych. Szeroko uprawiali rolnictwo, nie umieli topić metali. Tkactwo i garncarstwo rozwinęło się w niewysokim stopniu. O formie rządu i religii nic nie można powiedzieć stanowczego. Czaszki wykazują sztuczne kształty. Wszyst-

kie fakta, mające wskazywać na odmienną epokę geologiczną, jako epokę ich istnienia, są bez podstawy; wskazują jedynie, iż wytwórcy nasypów ustąpili ze sceny może na długo przed odkryciem Ameryki, a może dopiero w czasach historycznych.

Jakiż jest stosunek obecnych Czerwonoskórych do wytwórców nasypów? Pierwsi badacze stawiali nieprzebytą przepaść między jednymi a drugimi: mieszkańcy dzisiejsi, podług nich, są jedynie ludem koczowniczo myśliwskim, drudzy pędzili życie osiadło-rolnicze, pierwsi stoją na nizkim stopniu cywilizacyi, drudzy uprawiali sztukę. Nadto, jedni od drugich są oddzieleni tak wielkim przeciągiem czasu, że w podaniach obecnych Czerwonoskórych niema nawet najmniejszego śladu owéj zamierzchłéj cywilizacyi. Zobaczymy, o ile takie twierdzenia zgadzają się z faktami.

Pierwsi Europejczykowie opowiadają o wysokim stopniu rozwoju rolnictwa u ówczesnych Czerwonoskórych i o tak licznéj ludności, że w żaden sposób nie mogła-by się wyżywić przy pomocy myślistwa. Gdyby nie obfite zapasy zboża u Czerwonoskórych, pierwsi Europejczykowie musieli-by umrzéć z głodu; dzięki istnieniu spichlerzy Europejczykowie mieli co kupować, rabować lub kraść. De Bry podaje opis rolnictwa i dziwi się rozległości pól; Hudson, w obecnym stanie New-York, w *jednéj* tylko wsi, znalazł tak wielką ilość kukurydzy i bobu, iż mógł naładować niemi trzy okręty; Adair i Bertram zapewniają, że trzeba mierzyć kukurydzowe pola Indyan południowych nie na akry, lecz na mile; francuzi pod wodzą Denonvile'a spalili cztery wsie Seneków (1687), zniszczyli 1,200,000 buszli kukurydzy, oprócz tego żęli kukurydzę 7 dni, aby zniszczyć ją na pniu; Fontenai (1696) w pobliżu osad ikokwerskich widział pola, mające 1½—2 mil długości. W sto lat potém, Sulivan, przy *jednéj* wyprawie na Irokezów, zniszczył 160,000 buszli kukurydzy; w jednym sadzie zniszczono 1,500 jabłoni. W 1794 jenerał Wayne pisał z Ohio: „na brzegach Miamy i Anglaize jedna wieś zdaje się ciągnąć przez całe mile; nigdzie w Ameryce od Kanady do Florydy nie widziałem tak ogromnych pól kukurydzowych“. Prawda, że teraz nie znajdujemy nic podobnego u Czerwonoskórych. Cywilizacya ich, przy zetknięciu się z cywilizacyą europejską, obumarła; sami oni przedstawiają nieliczne grupy, utrzymujące się z myślistwa. Grupy te stają się coraz mniéj licznemi, wskutek działania dwóch wytworów „wysokiéj“ cywilizacyi europejskiéj: broni palnéj i wódki... Toż samo widzimy wszędzie, gdzie zetkną się dwie cywilizacye: dość przytoczyć przykład z dziejów Indostanu, gdzie w obecnym wieku, w krótkim przeciągu czasu zmarło z głodu dwa miliony tkaczy, wyrzuconych z warsztatu przez wprowadzenie maszyny tkackiéj z Anglii.

„Nie zdążyli zemknąć przed maszyną tkacką“, mówi lakonicznie jeden z najwybitniejszych ekonomistów obecnéj epoki. Tu znowu nasuwa się pytanie, czy w takiéj walce dwóch cywilizacyj, lub wyrażając się bardziéj ogólnie, czy w walce o byt zwycięża zawsze, silniejszy, lepszy, bardziéj rozwinięty? I fakty, i rozumowanie odpowiadają przecząco. Myśl mówi, iż rozwój wszechświata i regulująca go walka o byt idą mechanicznie, wytwarzając z jednaką obojętnością głupie i mądre, dobre i złe, szlachetne i podłe. *W walce o byt nie zwycięża wyższy, lepiéj zorganizowany, silniejszy, uczciwszy (stosownie do sfery zjawisk), ale lepiéj przystosowany do warunków otoczenia.* Na wyspach oceanu zwyciężyły owady pozbawione skrzydeł uległy zagładzie organizmy wyższe, z rozwiniętemi skrzydłami; w jaskiniach uległy ryby, z rozwiniętym organem wzroku, a pozostały się niżéj stojące ryby ślepe.

To samo w dziedzinie zjawisk społecznych: mrowiska, składające się z osobników, spełniających też same funkcye (samców-robotników i samic-robotnic), musiały ustąpić miejsca mrowiskom, gdzie funkcya pracy, oddzieloną będąc od funkcyi rozrodczéj, dostaje się w udziale specyficznym osobnikom, zwanym robotnicami, tymczasem gdy funkcya rozrodcza przechodzi na własność innych osobników, niezdolnych do pracy: samców i samic. Nie ulega wątpliwości, że mrówka, posiadająca zdolności rozrodcze i zdolność do pracy, jest organicznie wyższą od mrówki, będącéj jedynie robotnicą lub osobnikiem jedynie o zdolnościach płciowych. Nie ulega również wątpliwości, iż mrowisko, zapewniające mrówce wszechstronny rozwój jéj zdolności, z punktu widzenia mrówki, jest wyższém od mrowiska z okaleczałemi osobnikami (oczywiście, mówimy o wyższości lub niższości typów społecznych). A jednak w walce o byt zwyciężyły mrowiska niższego typu. Nie zawsze więc w walce o byt zwycięża lepszy i wyższy, jak sądzi Spencer, żądając (w “Etyce“) z tego powodu zniesienia angielskich związków robotniczych, tak zwanych *Trades-Unionów*, lub pani Roger, domagająca się na téj saméj zasadzie pozostawienia stosunków ludzkich własnemu biegowi. Czy kiedy ludzkość ujmie w cugle te nieujarzmione siły społeczne, co jak wolna konkurencya, stosunki oparte na „laisser faire“, otwierają szerokie pole walce o byt i zagładzie w niéj, jeżeli nie zawsze, to w każdym razie bardzo często, osobników wyższych, lepszych, uczciwszych, to zagadka, na którą może da odpowiedź odległa dopiero przyszłość.

Ale odbiegliśmy od przedmiotu. Wrócimy więc doń. Widzieliśmy, że Czerwonoskórzy niegdyś zajmowali się rolnictwem, i to w stopniu, niemożebnym dla ich obecnie żyjących potomków. Pod

tym względem pomiędzy Czerwonoskórymi a wytwórcami nasypów nie istnieje ta przepaść, o któréj tyle naopowiadali pierwsi badacze nasypów.

Przejdźmy do samych nasypów. Uważano je ongi za coś właściwego jedynie ich wytwórcom. Zobaczmy jednak co mówią fakty. Wszystkie właściwości wałowych nasypów odnajdujemy u Czerwonoskórych. Tak np. Lapitteau powiada: „forma i właściwości powierzchni określają kształt wałów; są wały wielokątne, okrągłe“. Warownie Czerwoskórych w epoce pierwszego zetknięcia się ich z Europejczykami, były otoczone dwu lub trzyrzędową palisadą, miały rów wewnątrz lub zewnątrz wałów, były również wały równoległe, spotykamy téż w onych czasach połączenia kilku takich warownych nasypów w jednę całość, za pomocą wałów. Forma domów u czerwonoskórych—okrągła lub czworoboczna, zupełnie zgadza się z formą nasypów, znajdujących się pośród warowni i będących według wszelkiego prawdopodobieństwa zwaliskami domów mieszkalnych. Nawet znajdywanie szkieletów w takich nasypach objaśnia się istniejącym u wielu czerwonoskórych zwyczajem grzebania zmarłych pod podłogą domu mieszkalnego (u Creeków, Seminalów, Chiekasawów itp.). Symboliczne nasypy są zjawiskiem właściwém pewnym miejscowościom. Oto co powiada Charleroix o mieszkańcach tych samych okolic: „Niegdyś budowali Irokezy swe domy staranniéj niż inne plemiona i niż to sami czynią obecnie; znajdowaliśmy u nich budynki w kształcie symboli, prawda, bardzo niezgrabnych; od czasu jednak, kiedy zaczęto palić podczas wypraw wsie ich, nie zadają już sobie pracy odbudowywania zniszczonych domów podług takich wzorów“. Czy obecne nasypy symboliczne nie mogły być fundamentami dla takich domów? Toż samo co do tak zwanych „świątyniowych nasypów“, to jest kurhanów, zakończonych u szczytu płaszczyzną. Jeszcze w 1773 roku Bertram widział u Indyan niższéj Missisipi domy, wznoszone na takim fundamencie. Nareszcie, co do nasypów ostrokręgowych, wszystkie ich specyficzne cechy (szkielety, pojedyńczo lub masowo leżące, warstwy różnego rodzaju, składające taki nasyp, itp.) można wyjaśnić za pomocą istniejących obecnie zwyczajów.

Badając sprzęty Czerwonoskórych i porównywując je ze sprzętami wytwórców nasypów nie znajdujemy żadnéj wybitnéj różnicy. Ten sam kształt narzędzi i naczyń kamiennych, ta sama nieumiejętność topienia miedzi i te same wypadki używania tego metalu, te same techniczne sposoby tkactwa i garncarstwa, téż same nareszcie motywy rysunkowe na przedmiotach. Jedna tylko różnica;

przeciętna fajka wytwórców nasypów jest artystycznie wyższą od przeciętnéj fajki Czerwonoskórych. Ale z jednéj strony trzeba wziąść pod uwagę, że większość fajek owego zaginionego narodu pochodzi z jednego i tego samego miejsca i wskazuje, iż jest wytworem téj saméj ręki, z drugiéj zaś strony Squier np. powiada o indyanach stanu New-York: „fajki tak twarde, gładkie i symetryczne, iż wątpi się o ich pochodzeniu.“ Nareszcie, co do zwyczaju nadawania dowolnéj formy czaszkom, znajdujemy obecnie ten zwyczaj u Natcherów, Choctawów, Wocksawów itp.

Jeduém słowem, niema żadnéj wybitnéj różnicy między ową obumarłą cywilizacyą, a cywilizacyą Czerwonoskórych w epoce odkrycia Ameryki. Nie potrzeba więc wprowadzać żadnych kataklizmów geologicznych dla objaśnienia nie istniejącéj przepaści. Jednocześnie ze zniknięciem przepaści i kataklizmów, znika prawdopodobieństwo przypuszczenia, iż w podaniach Czerwonoskórych niema śladów owéj dawnéj cywilizacyi i wskazówek na nią. Na nieszczęście, podania Indyan stanowią dziedzinę, bardzo mało zbadaną. O ile jednak jest zbadaną, o tyle pełno w niéj wskazówek przeszłości. Wykażemy to na przykładzie stanu Ohio: Podania tutejszych plemion mówią, iż znajdujące się tutaj warownie zostały zbudowane przed 150—200 laty, w czasie wojny Wyandotów z Cherokezami. O Irokezach prawią podania, iż zamieszkiwali nadzwyczaj gęsto okolice na południe od jeziór, byli nadzwyczaj pracowici i pilni; zostali zniszczeni przez Seneków. Bitwa zaszła tam, gdzie obecnie znajdujemy kurhany z nadzwyczaj licznemi kościami. W podaniach Cusicków (resztki związku irokeskiego, 1825) znajdujemy, iż ongi, Huroni i Irokezy wysłali posłów na południe, „do wielkiego króla,“ co rezydował „w złotém mieście,“ stolicy ogromnego państwa. „Król ten zbudował wiele warowni we wszystkich swych krajach i dotarł do Erie. To spowodowało niezadowolenie ludów północnych, obawiających się, iż wkrótce zabrać im mogą wszystkie ziemie na południe od Wielkich Jezior. Przyszło do wojny, trwającéj całe stulecia. Północ zwyciężyła, miasta i warownie zostały zniszczone, ludność rozpędzoną.“

Identyczne podania u Delawarów, zachowujące nawet imię owego pokolenia, opisują jego powstanie i zniszczenie. Niejaki Schmidt woła: „może odnajdziemy wkrótce resztki żyjące wytwórców nasypów może odbudujemy ich język“... Czy nie za prędko?

W każdym razie genetyczny związek wytwórców nasypów Czerwonoskórych, zdaje się być niewątpliwym. Rozwój wszechświata nie idzie kataklizmami, przyroda nie lubi skoków... powie-

działby Spencer. Prawda to, ale z pewnemi ograniczeniami mianowicie, rozwój wszechświata nie idzie kataklizmami, t. j. jeden stan materyi nie przechodzi raptownie w stan odmienny, jeżeli nie istnieją warunki, gromadzące napiętą siłę, czyli, jak powiedziałaby obecna fizyka, jeżeli nie istnieją warunki gromadzące energią napiętą (potencyonalną), zdolną raptownie, dzięki nieznanym czynnikom rozwinąć ogromny zapas energii czynnéj (kinetycznéj). Tak proch jest takim zapasem energii napiętéj, przechodzącéj raptownie w chwili zetknięcia się prochu z ogniem w stan energii czynnéj.

KWESTYA DRÓG ŻELAZNYCH

DRUGORZĘDNYCH (1).

Sieć dróg żelaźnych, eksploatowana obecnie tak u nas jak również i w innych krajach, bez względu na mniejsze lub większe jéj rozgałęzienie, nie mogąc zadość uczynić różnostronnym wymaganiom przemysłu, handlu i rolnictwa, wyrodziła nowe potrzeby, dla zaspokojenia których koniecznym się staje dalszy rozwój udoskonalonych dróg komunikacyjnych.

Ciągły postęp w rozwoju różnych gałęzi przemysłu, nie tylko za granicą ale i u nas, zmusza ludzi przezornych do czuwania nad położeniem i potrzebami różnych miejscowości kraju, do myślenia o ulepszeniach, o doskonalszéj organizacyi pracy, krótko mówiąc, o możności wytrzymania walki ze współzawodnikami. Do tego koniecznem jest możliwe zniżenie ceny materyałów przetworowych, oraz łatwość i taniość środków komunikacyjnych.

Nie zaprzeczenie stoimy pod tym względem znacznie niżéj od innych krajów, i aby zapewnić sobie stanowisko, do którego przemysł i handel doprowadzać nas mogą, aby zadość uczynić licznym interesom, słusznym potrzebom i sprawiedliwym wymaganiom, przedewszystkiem należy ulepszyć wogóle drogi komunikacyjne i powiększyć sieć dróg żelaznych.

W krajach gdzie istnieją już drogi żelazne na głównych liniach komunikacyjnych, stanowiące główne ogniwa sieci kolejowéj, dla osiągnięcia należytego z nich pożytku, staje się nieodzownem ułatwienie do nich dostępu za pośrednictwem mniejszych linij, drugorzędnego znaczenia, będących uzupełnieniem głównéj sieci.

(1) Rzecz czytana na posiedzeniu sekcyi V Tow. popierania handlu i przemysłu.

Brak podobnych komunikacyj daje się czuć i u nas w różnych okolicach kraju i dla tego też uważamy za pożyteczne podniesienie tėj kwestyi.

Mówiąc o linjach dróg żelaznych drugorzędnych, o drogach ekonomicznych, nie możemy mieć na widoku takiego typu dróg żelaznych, jaki przyzwyczajeni jesteśmy widziéć na linjach głównych, z zastosowaniem tylko do ich budowy i eksploatacyi pewnych, określonych zmian i wynikających ztąd oszczędności; przeciwnie tutaj musimy myśléć o wszelkich rodzajach dróg żelaznych, zacząwszy od najwięcéj zbliżonych swym typem i charakterem do linij głównych, aż do najskromniejszéj kolei konnéj; klasyfikacya typów jest bardzo trudna, a nawet niemożliwa, gdyż ile dróg żelaznych, tyle różnych potrzeb i różnorodnych miejscowych warunków. Rozsądny i inteligentny wybór typu w danym wypadku najstosowniejszego stanowić będzie o większém lub mniejszém powodzeniu drogi.

Mówiąc wogóle, środki przewozowe winny być zastosowane do potrzeb miejscowych i winny odpowiadać celowi, jaki pragniemy osiągnąć. Narzędzie musi być tak wyrobione aby odpowiadało robocie, do jakiéj jest przeznaczone. Jeśli narzędzie lekkie, zastosowane do odpowiedniéj roboty, bez straty siły i bez daremnego zużycia materyału — nie może być zastąpione przez młot ciężki, to i wytwarzanie środków komunikacyjnych, silniejszych od rzeczywistych potrzeb, z nieodpowiednim nakładem, musi doprowadzić do złych finansowych rezultatów przedsięwzięcia, czego niestety bardzo liczne mamy przykłady.

Otóż, stosownie do przedstawiających się potrzeb i okoliczności, wypadało-by budować drogi żelazne takiego typu i tak je eksploatować, aby dochód brutto pokrył wydatki ruchu i utrzymania, a pozostały dochód czysty wystarczył na opłacenie procentu od włożonego kapitału i na amortyzacyą w ciągu peryodu trwania koncesyi.

Z tego jednakże nie wypada, iż linie, nieodpowiadające tym warunkom, winny być uważane za nieużyteczne i nie kwalifikujące się do budowy. Jeśli-by podobna zasada była przyjęta, to ileż linij, należących do sieci głównéj nie istniało-by dotąd? Drogi te jednak przynoszą pośrednio lub bezpośrednio wielkie korzyści krajom wogóle, jak również miejscowościom, przez które przechodzą i obficie wynagradzają ofiary poniesione. Koniecznėm więc jest aby i linie drugorzędne, przedstawiające dla kapitalistów mniejsze korzyści otrzymywały w pewnych wypadkach odpowiednie subwencye, tak ze strony rządu, jak również od osób prywatnych lub instytucyj zainteresowanych w ich istnieniu,

Rozumie się, iż podobne linie drugorzędne muszą być budowane i wyzyskiwane na zasadach znacznie różniących się od tych, jakiemi się posługujemy przy budowie linij głównych normalnego typu. U nas mało się dotąd zajmowano badaniem kwestyj, tyczących się budowy dróg żelaznych drugorzędnych, ekonomicznego znaczenia.

Budowa głównych arteryj przeważnie międzynarodowego, państwowego i strategicznego znaczenia, absorbowała wszelkie starania rządu i pochłaniała finansowe środki. Kierunek ten jednak zaczyna się zmieniać, przejawia się dążenie do studyowania lokalnych potrzeb, pod względem środków komunikacyjnych i do nadania pewnych praw i ułatwień, dozwalających wprowadzać w życie podobne przedsięwzięcia.

Bez wątpienia, na budowę linij téj kategoryi rząd nie potrzebuje ponosić tak znacznych ofiar jakich wymagają drogi żelazne pierwszorzędnego znaczenia; w każdym razie winien dawać możliwe poparcie, dopomagając ich rozwojowi.

Te to okoliczności skłoniły rządy różnych krajów do ustanowienia oddzielnych praw i przepisów, dotyczących budowy i eksploatacyi linij drugorzędnego znaczenia, noszących różne nazwy: dróg ekonomicznych, dróg podjazdowych (*chemins de fer vicinaux*, *chemins de fer ruraux*, *chemins d'inberêt local*, *chemins secondaires*, *chemins de fer sur routes*; *Secondar und Localbahnen*). Nie wchodząc w szczegółowy rozbiór tego, co w różnych krajach w tym kierunku zrobiono, zamiarem moim jest przedstawienie w krótkości głównych podstaw istnienia tych typów dróg żelaznych, a nakoniec wyprowadzenie wniosków jakie postawić wypada.

Otóż główną, charakteryzującą oznaką linij drugorzędnych, jest przeznaczenie ich dla znacznie mniejszego ruchu tak osobowego jak również towarowego, lub wyłącznie tylko towarowego, a tém samém osiągnięcie często dochodu bardzo ograniczonego z ich eksploatacyi.

Wtenczas, kiedy linie główne budowane i eksploatowane z wielkiemi nakładami przecinają po większéj części główne i ważne punkta, czy-to pod względem politycznym, między-narodowym, strategicznym lub handlowym, nie troszcząc się o miejscowości drugorzędne, z których przyciągają do siebie wszelki ruch towarowy i osobowy, to przeciwnie koleje drugorzędne winny mieć na celu zbliżenie się właśnie do tych drugorzędnych miejscowości i do możliwie znacznéj ilości punktów przemysłowych, czy-to bezpośrednio, czy-to przez swe odnogi. Typ taki także winien dozwalać na łatwe zaprowadzanie wszelkich zmian podczas eksploatacyj, spowodowa-

nych zmianą miejscowych warunków. Jeśli obok tego postawimy majestatyczną wielkość, sztywność i trudność nagięcia się do pewnych warunków linij głównych, to łatwo się przekonamy, iż każdy z tych typów okazał-by się śmiesznym, jeśli-by był zastosowany nie właściwie. Mniejsze drugorzędne linie, zachowując swój właściwy charakter lokalny, będą gałęziami nadzwyczaj korzystnemi dla głównéj sieci, zasilając jéj ruch osobowy i towarowy.

Linie takie budowane i eksploatowane niezależnie od głównych linij, oddawać będą tym ostatnim usługi takie, jakie im częstokroć przynoszą własne ich odnogi, przeprowadzane przy pomocy subwencyi towarzystw dróg żelaznych. Jeśli więc te subwencye staną się niepotrzebnemi, to przynajmniéj w zamianę spodziewać się należy, iż towarzystwa, posiadające główne linie, nieodmówią drugorzędnym drogom żelaznym swego możliwego poparcia. Z drugiéj strony, miejscowości, przez które przejdą podobne koleje, w zamian za jakiekolwiek materyalne podtrzymanie, znajdą obfitą kompensatę w powiększeniu wartości ziemi i łatwości zbytu produktów, a rząd oprócz zapewnienia rozwoju ekonomicznego i oszczędności publicznéj, zaoszczędzi także znaczne sumy przez zmniejszenie wydatków na utrzymanie dróg szosowych i dróg zwyczajnych, idących w jednym kierunku z drogami żelaznemi.

Drogi więc o jakich mówimy, winny być głównie zastosowane do potrzeb miejscowych i zbliżać się o ile możności do istniejących linij nie stanowiąc z niemi jednéj całości i nie starając się o współzawodnictwo ani swojém znaczeniem ani wpływem, na przeszkodzie ku czemu stoi słabszy ich ustrój.

Bezsensowném byłoby budować drogę żelazną takiego samego typu i mającą jednakową siłę przewozową tam gdzie spodziewać się można 2.000 rs. dochodu, i tam gdzie dochód ten stanowić może 20.000 rs. lub więcéj—na wiorstę; było by to podobne do zaprzęgania pięciu koni do wozu, na który jeden koń wystarcza, a najzwyczajniejszy woźnica powie, że jeden koń kosztuje mniéj jak pięć, i że pięć zje więcéj niż wynosi zysk dający się osiągnąć przy użyciu jednego tylko konia. Trzeba więc zawsze zastosowywać wydatek na budowę do prawdopodobnych zysków z eksploatacyi, tak aby kapitał użyty uznał to pomieszczenie za odpowiednie dla siebie.

Pomiędzy drogami żelaznemi drugorzędnemi spotykamy, pod względem systemu ich przeprowadzenia, dwa główne typy: pierwszy przy którym droga żelazna ma swój plant niezależny, przecinając pola, lasy etc. i drugi kiedy korzystając z istniejącéj drogi szosowéj lub zwyczajnéj przeprowadzamy tor kolejowy na bocznych jéj częściach; oddalając się tylko w pewnych miejscowościach gdzie zbyt

silne spadki, łuki zbyt małego promienia lub inne miejscowe warunki tego wymagają. Co zaś do szerokości toru, to takowa może być normalna lub mniejsza dochodząca do 3 stóp a nawet i mniéj—zawsze stosownie do miejscowego położenia i warunków eksploatacyi.

Nie rozbierając szczegółowo wszelkich okoliczności w których zastosowanie tego lub owego typu będzie najodpowiedniejszém, nadmienię tylko, iż zużytkowanie dróg istniejących zaleca się szczególniéj jako ułatwiające w bardzo wielu wypadkach przyprowadzenie projektu do skutku i dozwalające osiągnąć możliwe oszczędności w budowie. Mamy tutaj rozumie się na myśli koleje z motorami parowemi a nie wyłącznie tylko koleje konne, które w pewnych wypadkach mogą się także okazać odpowiedniemi.

Niema tutaj ogólnego rozwiązania kwestyi, gdyż każden wypadek przedstawia mniéj lub więcéj odmienne warunki. Można jednak śmiało powiedzieć iż dla potrzeb jakie mamy na widoku, droga wązkotorowa daje w ogóle najlepsze rozwiązanie, kolej szerokości normalnéj z zastosowaniem pewnych zmian tak w konstrukcyi, jak również w eksploatacyi, może często posłużyć do odpowiedniego rozwiązania zadania, nareszcie że droga normalnego typu dla sieci głównych linij, tak pod względem budowy jak i eksploatacyi jest dla drugorzędnych linij najmniéj odpowiednią i najwadliwéj doprowadza do celu.

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, iż linie typu normalnego są narzędziem doskonałym, którego trzeba używać zawsze, kiedy tylko przewidywany dochód lub subwencya i gwarancya Rządu tego dozwalają;—lecz w braku tych warunków jeśli nie możemy, jak to mówią, wyjść na swoje, jak tylko budując drogę żelazną innego tańszego typu, normalnéj szerokości lub wązkotorową, to trzeba zadawalniać się tém ostatniem rozwiązaniem kwestyi.

Bardzo jest godném pochwały dążenie do nieprzerywania jednostajności sieci kolejowéj lecz jeśli kwestya stawia się tak, że środki pozwalają na budowę jedynie drogi wązkotorowéj, a ta ostatnia jak najzupełniéj zadośćuczynić może potrzebom miejscowym, to bez wątpienia na tę ostatnią zdecydować się wypada a można być pewnym, iż w ten sposób zapewnimy nieobliczone korzyści miejscowościom, które przetniemy podobnemi liniami.

Nie trzeba bowiem zapominać iż w wielu wypadkach nie chodzi o maximum siły przewozowéj lecz o minimum kapitału zakładowego.

Nie możemy tutaj badać innych warunków technicznych, któremi należy kierować się przy budowie linij tego typu,—dość będzie poprzestać na tém, iż nie mając potrzeby nadawania takim dro-

gom siły przewozowéj równéj z tą jaką spotykamy na drogach pierwszorzędnych, ani téż dopuszczania przyjętéj na nich prędkości, możemy także zastosować łatwiejsze i ekonomiczniejsze warunki budowy; a mianowicie: obok mniejszéj szerokości toru dozwalać łuki znacznie mniejszych promieni, spadki gwałtowniejsze, używać lokomotyw i wagonów lżejszych, dawać podkłady mniejszych wymiarów, cieńszą warstwę ballastu, unikać budowy kosztownych stacyi, ogrodzeń, baryer itp. będących koniecznością na liniach głównych; nie dobijając się jednak w żadnym razie o oszczędność kosztem dobroci materyałów i trwałości budowy.

Jeśli więc oszczędność rozumna, jest konieczną przy budowie drogi dla możliwego zmniejszenia jednorazowo wydanego kapitału,— to podczas eksploatacyi, przy tych ciągle powtarzających się wydatkach, gra ona jeszcze ważniejszą rolę w kwestyi osiągnięcia odpowiednich finansowych rezultatów i zapewnienia tego rodzaju przedsięwzięciom przyszłości bezpiecznéj.

Kolejom więc takim winna być pozostawiana wszelka swoboda pod względem warunków budowy i eksploatacyi, a ograniczenie i przepisy rządowe winny mieć jedynie na celu poszanowanie cudzéj własności i zachowanie warunków bezpieczeństwa publicznego.

Mając z jednéj strony ruch tak osobowy jak i towarowy dość ograniczony a z drugiéj niewielkie środki materyalne, drogi podobne nie mogą być krępowane żadnemi przepisami co do ilości obowiązujących pociągów lub ich rodzaju, nie może tutaj być mowy o pociągach pocztowych, kurjerskich osobowych itp. gdyż na takich liniach przeważnie kursować będą pociągi osobowo-towarowe z prędkością nie przewyższającą 20—25 wiorst na godzinę. Ponieważ drogi podobne będą miały tylko jeden tor, a pociągi kursować będą przeważnie w ten sposób, iż jednocześnie tylko jeden pociąg znajdować się będzie pomiędzy dwoma stacyami, sygnalizacya więc ograniczy się do najprostszéj formy tj. chorągiewki w ręku stróża i gwizdałki, lub dzwonka w rozporządzeniu maszynisty. Przy większéj długości linii i znaczniejszym ruchu może być urządzony telefon lub telegraf.

Dla osobowego ruchu będą tylko dwie klasy wagonów a dla towarowego, uwzględniając miejscowe potrzeby, najmniejsza ilość różnorodnych typów wagonów; takie są główne podstawy budowy i eksploatacyi, dróg żelaznych drugorzędnych.

Drogi należące do téj kategoryi, tak normalnéj szerokości toru jak i wązko-torowe nie są nowością. W Stanach Zjednoczonych, w tym kraju inicyatywy i postępu, ogólna długość podobnych linij mających szerokość około metra (1,07) wynosi przeszło 15,000 kilo-

metrów, z których 1,200 należy do jednego towarzystwa drogi z Denver do Rio Grande. W Brazylii, wszystkie linie mają tor wązki, w Indyach angielskich jest 12,000 kilometrów takiego typu, a w Europie w Szwecyi i Norwegii istnieje około 2,000 wiorst.

W ostatnich latach dziesięciu w Austryi, Francyi, Niemczech Belgii, we Włoszech i w Szwajcaryi, kwestya budowy dróg żelaznych drugorzędnych zajmowała tak Rządy jak również prywatną inicyatywę i w tych wszystkich krajach znajdujemy liczne zastosowania typów takich linij różnych długości od kilku do stu i więcéj kilometrów.

Co się tyczy kosztów budowy dróg żelaznych, któremi się zajmujemy, to one stosownie do miejscowych warunków i siły przewozowéj bywają różne. W naszych warunkach koszta te mogą się zmieniać od 10—25.000 rs. na wiorstę.

Wszędzie, gdzie podobne przedsięwzięcia oparte są na odpowiednich przeznaczeniu i racyonalnych podstawach, dały one jak najlepsze rezultaty; tak pod względem ekonomicznym jak również i finansowym, a w skutek tego dalsze zastosowanie i rozwój znajdują ciągłe poparcie. Ponieważ jednak budowa tych linij w większéj ilości wypadków, jak już wyżéj wspomnieliśmy, nie może przedstawiać dla prywatnych kapitałów tak widocznych korzyści jak budowa głównych linij, rozwój więc w tym kierunku tylko przy należytém poparciu ze strony Rządu i osób zainteresowanych nastąpić może. Detaliczny rozbiór prawodawstwa różnych krajów w tym przedmiocie zbyt długo by nas zatrzymał, wogóle różne rządy uznały za konieczne okazywanie tym przedsięwzięciom możliwego poparcia, już to bezpośrednio je wspierając już pośrednio przez ułatwienia i uproszczenia wszelkich formalności dla otrzymania koncesyi, a następnie przy budowie i eksploatacyi.

Na pierwszém miejscu postawić tutaj należy przyznanie podobnym linjom charakteru przedsiębierstw użyteczności publicznéj, oraz prawa przymusowego wywłaszczenia, jako warunków znoszących napotykane przeszkody, nietylko utrudniające lecz często uniemożebniające urzeczywistnienie podobnych projektów.

Ostatnie prawo francuzkie z 1880 r. (*La loi sur les chemins de fer d'intéret local et les tramways*) dzieli linie drugorzędne na dwa typy: 1-e przeprowadzone na planie niezależnym od istniejących dróg zwyczajnych, 2-e przeprowadzone przeważnie na planie wspólnym z drogą zwyczajną.

Nie przytaczając szczegółów tego prawa wskażemy tylko główne jego zasady.

I tak jeśli droga żelazna ma być budowaną przez władze departamentowe i przechodzi przez jedną lub kilka gmin (*communes*) to po poprzedniéj ankiecie i zbadaniu propozycyi przez prefekta, Rada jeneralna departamentu (*Conseil général*) wydaje decyzyą i przedstawia ją do zatwierdzenia radzie dróg i mostów (*Conseil des Ponts, et Chaussées*), oraz radzie stanu. Jeśli jedna gmina pragnie przeprowadzić drogę żelazną przez swe teritoryum, to w tym razie rada gminna, zajmuje miejsce rady departamentowéj. W razie zaś przeprowadzenia toru kolejowego na plancie istniejącéj drogi szosowéj lub zwyczajnéj, koncesyą wydaje rząd, rada departamentowa lub też gminna stosownie do tego jakiéj władzy podlega droga po plancie któréj ma być przeprowadzona droga żelazna (*route nationale, route departamentale, chemin vicinal ou rural*). Jeśli droga żelazna ma przecinać kilka departamentów, to następuje porozumienie się rad departamentowych, które wspólnie decydują.

Co się tycze subwencyi rządowéj to odpowiednie przepisy określają ją w ten sposób: „iż rząd *może* zobowiązać się, w razie niedostatecznego dochodu brutto dla pokrycia wydatków eksploatacyjnych i 5% rocznie od kapitału zakładowego oznaczonego w koncesyi, do dopłacania części tego deficytu, pod warunkiem, iż przynajmniéj część równoważąca (*partie equivalente*) pokrytą będzie przez departament lub gminę z udziałem lub bez takowego osób zainteresowanych.

Subwencya ta składa się: 1-o ze stałéj sumy 500 franków na kilometr eksploatowany, 2-o z $1/4$ sumy potrzebnéj dla podniesienia dochodu brutto do 10.000 fr. na kilometr dla linii wybudowanych tak, iż po nich kursować mogą wagony linij głównych, do 8.000 franków dla linii nie mogących przyjmować tych wagonów i nareszcie do 6.000 fr. dla dróg żelaznych mających plant wspólny z drogami zwyczajnemi.

Rozchód jaki te subwencye mogą spowodować rządowi, jest obecnie ograniczony do 400.000 franków rocznie na każden departament.

Co się zaś tyczy warunków technicznych budowy to *cahiers des charges* dołączony do prawa, dopuszcza oprócz szerokości normalnéj linje wązkotorowe 1^m i $0^m,75$, promienie łuków od 250—100 mtr. a nawet wyjątkowo krótsze przy odpowiedniéj konstrukcyi taboru, maximum spadków 0,020—0,025 a nawet w wyjątkowych wypadkach więcéj. Wymiary relsów i w ogóle wierzchniéj budowy odpowiednie ciężarowi lokomotyw i taboru przyjętego.

Prawodawstwa angielskie, austryackie, belgijskie, niemieckie, włoskie i holenderskie wytworzyły przepisy w niektórych wzglę-

dach jeszcze liberalniejsze i tak np. w Holandyi, drogi żelazne zadawalniające się prędkością 15 kilometrów na godzinę zwolnione są od wszelkich przepisów i niepozostają pod żadną kontrolą rządową.

W Belgii, pomimo tak gęstéj sieci dróg żelaznych, rząd uznał potrzebę rozwoju linij drugorzędnych ekonomicznych, i w tym celu, w maju r. b. wydał prawo ustanawiające towarzystwo pod nazwaniem „Societé nationale pour la construction et l'exploitation des chemins de fer vicinaux en Belgique.“ Akcye przedstawiające kapitały tego towarzystwa są imienne i posiadaczami ich mogą być tylko gminy, prowincye, i rząd. Akcye te podzielone są na tyle seryj ile jest oddzielnych linij koncedowanych.

Każda serya korzysta z zysków téj linii, do któréj się odnosi do wysokości 5% od kapitału zakładowego, oraz ma prawo do $^1/_4$ zysku przewyższającego te procenta, $^3/_4$ zaś tego zysku będą należéć do ogółu towarzystwa, które użyje téj sumy na kapitał rezerwowy. Towarzystwo będzie awansowało potrzebne sumy dla pokrycia strat eksploatacyi, zwracając sobie te zaliczki z zysków lat następnych.

Żadna koncesya nie może być wydana innym towarzystwom lub osobom prywatnym bez oddzielnego postanowienia w drodze prawodawczéj. Koncesye zaś utworzonemu towarzystwu, o którym mówimy, wydawane będą dopiero po przedstawieniu dowodów, że gminy zainteresowane obowiązały się wnieść kapitał dostateczny na budowę i rozpoczęcie eksploatacyi. W każdym razie jednak władze prowincyonalne i rząd mogą zastąpić miejsce gmin, i w tym razie one stają się faktycznym posiadaczem akcyj. Udział rządu jest ograniczony do połowy kapitału zakładowego, a powiększony być może oddzielnym postanowieniem prawodawczém.

Gminy, prowincye i rząd mogą wnosić swe udziały rocznemi ratami. Towarzystwo jest upoważnione do wypuszczania obligacyj na sumę do wysokości rocznych wpłat przypadających od rządu, władz prowincyonalnych lub gminnych, rząd zaś jest upoważniony do gwarantowania osobom trzecim procentów i amortyzacyi od tych obligacyj. Zawiązane towarzystwo zwolnione jest od wszelkich opłat z tytułu otrzymania koncesyi a także od opłat patentowych, stemplowych i innych. Rząd ma otwarty kredyt w sumie 2 milionów franków celem przyjęcia udziału w formowaniu kapitału zakładowego dróg koncedowanych. Oprócz tego na wydatki dla urządzenia towarzystwa udzielono osobny kredyt 300.000 fr.

Z tego krótkiego sprawozdania możemy się przekonać o ile rządy współdziałają rozwojowi dróg żelaznych drugorzędnych. Inicyatywa zaś prywatna, podtrzymana przez wydane prawa i sposób ich wykonania, utworzyła w każdym kraju różne finansowo-tech-

niczne specyalne towarzystwa mające na celu budowę i eksploatacyą dróg żelaznych tego typu.

W Cesarstwie rosyjskiém przedmiot ten zwrócił także uwagę rządu od r. 1870, kiedy pod zarządem dróg komunikacyi przez hr. Włodzimierza a następnie Aleksego Bobryńskich była wyznaczona oddzielna komisya dla porównawczéj oceny szeroko i wązkotorowych dróg żelaznych, wydano potém kilka postanowień mających na celu budowę linij podjazdowych. I tak w 1873 r. departament dróg żelaznych wydał przepisy o budowie parowych dróg żelaznych dla celów prywatnych. Następnie ułożone były: Przepisy tyczące się budowy dróg żelaznych parowych, przez komisyą pod przewodnictwem generała Serebrjakowa; były one poprawione przez departament dróg żelaznych, przedstawione do komitetu ministrów w październiku 1876 r. i zwrócone stamtąd dla przedstawienia do rady państwa.

Późniéj wypracowano przepisy o dozwoleniu budowy dróg żelaznych parowych osobom prywatnym, na ich własny koszt, niewymagających obowiązkowego wywłaszczenia nieruchomości. Przedstawiano je do komitetu ministrów, w styczniu 1878 r. lecz cofnięte zostały przez ministra dróg komunikacyi dla rozpatrzenia w radzie ministrów.

Następnie: „Przepisy tyczące się zezwolenia budowy i eksploatacyi niewielkich gałęzi kolejowych mających charakter dróg podjazdowych do linij głównych, budowanych przez osoby prywatne ich własnym kosztem, bez obowiązkowego wywłaszczenia i niepotrzebujących oddzielnego taboru dla ich eksploatacyi:“ były opracowane przez departament dróg żelaznych i przedstawione ministrowi komunikacyi w listopadzie 1879 r. a następnie szczegółowo motywowane w raporcie tegoż departamentu w listopadzie 1880 r.

W 1882 r. ministerym wydało „czasowe przepisy o budowie i eksploatacyi, gałęzi kolejowych od linij głównych, przez prywatne osoby lub towarzystwa przemysłowe, ich własnym kosztem i wyłącznie na własny a nie publiczny użytek.“

W tymże 1882 r. została wyznaczona oddzielna komisya, która w maju 83 r. ukończyła swą pracę i przedstawiła obszerny referat z motywowanym projektem prawa o budowie tak nazwanych dróg podjazdowych.

Od tego czasu już dwa nowe projekty zastąpiły wyżéj przytoczony, a ostatni datowany jest z czerwca r. b.

Jak widzimy pierwsze cztery projekta postanowień rządowych tyczą się: dróg żelaznych budowanych przez osoby prywatne ich własnym kosztem i bez prawa wywłaszczania mianowicie osób trze-

cich. Podług wszystkich tych projektów przedsiębiorcy obowiązani są prosić o decyzyą co do budowy drogi żelaznéj ministra komunikacyj lub téż miejscowego gubernatora, w razie jeśli projektowana linia nie łączy się z główną linią. Każda z decydujących władz wymaga od przedsiebiorcy całéj kolekcyi różnego rodzaju dokumentów, co uniemożebnia wszelką działalność.

Uproszczenie tych prawideł i formalności, szczególniéj dla linij budowanych własnym kosztem przedsiębiorców jest konieczném.

Zasada ta uznawaną była w wielu okolicznościach przez departament dróg żelaznych, przez radę ministra komunikacyi, przez komitet ministrów, jak również przez różne komitety i osoby, które dawały swe opinie w tym przedmiocie; — jedni ograniczali pożądane uproszczenia do wydania dla przedsiębiorców normalnych warunków technicznych dla budowy i eksploatacyi, drudzy szukali ułatwienia w wydawaniu koncesyj przez gubernatorów, inni nakoniec wyjawiali zdanie, aby działalność osób prywatnych ograniczyć jedynie odpowiedniemi przepisami, mającemi na celu bezpieczeństwo ruchu i zabezpieczenie sąsiedniéj własności, nie krępując rozwoju tych przedsięwzięć żadnemi dalszemi przepisami lub formalnościami.

Zdanie takie wypowiedziane jest w protokóle Rady ministra komunikacyi, z maja 1879 r., a także w raportach rzeczywistego radcy tajnego Kierbedzia, oraz inspektora dróg żelaznych w Królestwie Polskiém rzecz. radcy stanu Rydzewskiego i przez wielu innych jako najracyonalniejsza, najwięcéj zasługuje na poparcie; jeśli zważymy, iż wymagana była masa różnych projektów, świadectw i innych dokumentów, bez pewności, iż wszystkie ponoszone prace i wydatki doprowadzą do pożądanego rezultatu, gdyż niezgodzenie się jednego z sąsiednich właścicieli mogło zwichnąć wszelkie starania. Warunki takie zniechęcają do zajmowania się podobnemi przedsięwzięciami. Jednym więc z najważniejszych warunków dla rozwoju budowy drugorzędnych dróg żelaznych, jest bez wątpienia przyznanie takim drogom w pewnych wypadkach prawa przymusowego wywłaszczania, co dotąd w zasadzie u nas nie istnieje.

Kwestya ta była najprzód rozpatrywana w radzie państwa w r. 1875 z powodu prośby, podanéj w tym przedmiocie do ministra komunikacyi przez właścicieli Nowosielickich i Obiedińskich kopalni węgla, pragnących swoim kosztem połączyć te kopalnie z drogą żelazną Riazsko-Wiazemską. Rada państwa przyznała, iż jest bardzo pożądaném, aby wogóle właścicielom kopalni służyło prawo wywłaszczania gruntów, potrzebnych dla budowy gałęzi kolejowych, łączących te kopalnie z państwowemi drogami żelaznemi. Jednocześnie jednak rada państwa odrzuciła prośbę właścicieli wyżéj wy-

mienionych kopalni dla tego, że wywłaszczenie takie dozwolone jest na zasadzie prawa (T. X. 575 str.) jedynie dla państwowego i publicznego użytku, a przeprowadzenie gałęzi kolejowych do kopalń węgla zabezpieczało-by tylko prywatne interesy właścicieli kopalń.

Przytém jednak rada państwa wskazała, że odrzucenie téj prośby jest *czasowe* wskutek *niemożności zastosowania* w tym wypadku *w całym swym składzie i bez zmiany* istniejących przepisów wywłaszczenia.

Wskutek tego rada państwa postanowiła, aby minister dóbr państwa utworzył komisyą dla opracowania i oznaczenia tych wyjątków, które wypada dopuścić w przepisach obecnie istniejących, w kwestyi przymusowego wywłaszczenia dla budowy gałęzi kolejowych do kopalni węgla i wogóle zakładów górniczych i hutniczych. Komisya ta, pod przewodnictwem ks. Liwena przedstawiła swój projekt w kwietniu 1876 r. do rady państwa.

W tym projekcie nietylko przyznano charakter użyteczności publicznéj drogom żelaznym, łączącym kopalnie i zakłady górnicze z istniejącemi drogami żelaznemi, lecz starano się o uproszczenie formalności przy udzielaniu prawa wywłaszczenia. Projekt ten jednak nie był rozpatrywany w radzie państwa, lecz został odesłany do drugiéj komisyi, pod przewodnictwem ks. Oboleńskiego. Projekt téj komisyi opracowany w r. 1878, zastosowuje prawo wywłaszczenia do wypadków *użyteczności państwowéj*, pojmując takową w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrażenia, wskazuje możność *starania się*, a zatém i możność otrzymania tego prawa przez oddzielne władze ziemskie lub miejskie, jak również przez właścicieli zakładów przemysłowych.

Ponieważ projekt ten nie był dotąd rozpatrywany w radzie państwa, opinia téj instytucyi, wypowiedziana jeszcze w r. 1875, aby *czasowo* odrzucać prośby prywatnych przedsiębiorców o udzielaniu prawa na wywłaszczenie nieruchomości, potrzebnych dla budowy dróg żelaznych, dotąd pozostaje w swéj sile i bywa zastosowywana przez odpowiednich ministrów. Jedyny wyjątek stanowi prawo wywłaszczenia, udzielone w r. 1879 akcyjnemu towarzystwu zakładów w Briańsku dla budowy projektowanéj przez tę fabrykę gałęzi kolejowéj, celem połączenia zakładów towarzystwa z Akulickiemi lasami rządowemi.

Podstawą do téj decyzyi było przyznanie téj gałęzi państwowego znaczenia, co uzasadniano tém: *a*) że gałąź ta przynosi korzyści rządowi, dając możność łatwego wywozu drzewa, sprzedawanego z lasów rządowych osobom prywatnym; *b)* że przeprowadzenie téj drogi żelaznéj powiększy zarobek miejscowéj ludności, ko-

nieczny do poprawienia bardzo biednego jéj stanu, sprowadzającego niemożność regularnéj opłaty podatków rządowych.

Ten brak prawa przymusowego wywłaszczenia, w zastosowaniu do dróg żelaznych drugorzędnych, spowodował w ciągu 8 lat zupełny zastój w rozwoju tych komunikacyj. Prezydujący w komisyi dla zbadania stanu dróg żelaznych w Rosyi hr. Baranow, był także zdania, że koniecznén jest zastosowanie prawa wywłaszczenia do dróg drugorzędnych i motywował swą opinią tém: *a*) że budowa takich kolei jest konieczna dla rozwoju przemysłu i handlu i dla korzystnéj eksploatacyi sieci linij głównych, tak ważnych dla kraju; *b*) że każda droga żelazna mniéj lub więcéj zawsze będzie pożyteczna dla ogólno-państwowych celów. To przedstawienie hr. Baranowa było rozpatrywane w departamencie dróg żelaznych, który w maju 1882 r. przedstawił ministrowi swój pogląd na ten przedmiot. Minister w sierpniu tegoż roku polecił do tego się stosować.

Ministeryum komunikacyi robi wniosek, iż prawo przymusowego wywłaszczenia, nie może być nadawane ogólnie wszystkim liniom drugorzędnym, ponieważ i teraz prawo to zostaje nadawane drogom żelaznym, budowanym dla użytku publicznego, nie inaczéj jak dla każdéj drogi oddzielnie, po przyznaniu jéj użyteczności państwowéj lnb publicznéj. Oprócz tego minister komunikacyi pojmuje użyteczność publiczną nie w tak szerokiém znaczeniu, aby ono mogło być przyznawaném każdemu przemysłowemu przedsięwzięciu, jako przyczyniającemu się do rozwoju ekonomicznego kraju.

Takie pojmowanie przedmiotu minister komunikacyi uważa za niewłaściwe, jako mogące zachwiać podstawę nietykalności własności.

Przyznając jednak, iż rozwój budowy kolei drugorzędnych będzie miał wielki wpływ na powiększenie dochodów istniejącéj sieci kolejowéj i że obecne przepisy, co do otrzymania prawa wywłaszczenia są bardzo skomplikowane, minister komunikacyi uznaje za konieczne dopuścić dla kolei drugorzędnych następujące zmiany w istniejącém prawie.

Znaczenie użyteczności publicznéj winno być przyznawane oddzielnie dla każdéj linii podjazdowéj, po porozumieniu się ministra decydującego o jéj budowie z ministrami komunikacyi, finansów i spraw wewnętrznych, a następnie tenże minister winien przedstawić tę propozycyą na najwyższe zatwierdzenie.

Nareszcie w ostatnim projekcie, tyczącym się budowy dróg drugorzędnych, kwestya wywłaszczenia jest tak postawiona, iż osoby, pragnące korzystać z prawa wywłaszczenia, wnoszą prośby w tym przedmiocie do ministra komunikacyi, który porozumiewa się

z ministrem spraw wewnętrznych. Jeżeli ci dwaj ministrowie przyznają charakter użyteczności publicznéj projektowanéj linii, to w tym razie minister komunikacyi prosi za pośrednictwem rady państwa o najwyższe zezwolenie zastosowania prawa przymusowego wywłaszczenia.

Takie więc jest obecne położenie téj kwestyi, tak ważnéj dla rozwoju kolei żelaznych drugorzędnych.

Jak już wyżéj wspomnieliśmy, ministeryum komunikacyi pracuje obecnie nad wyrobieniem nowego prawa, tyczącego się budowy linij drugorzędnych.

Dotąd obowiązują przepisy czasowe dla budowy gałęzi kolejowych od głównych linij, wyłącznie na prywatny, a nie publiczny użytek.

Warunki te pozostawiają decyzyą o budowie ministrowi komunikacyi.

Grunta potrzebne mogą być nabywane na warunkach dobrowolnéj umowy. Budowa i eksploatacya odbywa się pod nadzorem inspekcyi rządowéj, a wydatki z tego powodu nie powinny przewyższać 35 rubli na rok na każde 250 sąż. długości w czasie budowy i 7 rubli na rok podczas eksploatacyi.

W razie jeśli-by się okazała potrzeba dla rządu lub zarządu kolei do któréj gałęź dochodzi zająć grunta kolejowe, ustąpione dla budowy gałęzi, takowe muszą być zwrócone, a wszelkie budynki tam się znajdujące rozebrane w ciągu 6 miesięcy.

Inne warunki tych przepisów nie przedstawiają nic szczególnego i są analogiczne z przepisami, dotyczącemi głównych linij.

O ile nam wiadomo projekt przepisów dla budowy i eksploatacyi dróg podjazdowych, opracowywany obecnie w ministerstwie komunikacyi uwzględni wiele z wyżéj wzmiankowanych warunków, koniecznych dla rozwoju podobnych przedsięwzięć, i należy się spodziewać, iż wkrótce projekt racyonalnie ułożony uzyska stanowcze zatwierdzenie i otworzy pole działalności, dozwalając w różnych miejscowościach zaprowadzać tę tak niezbędną ulepszoną komunikacyą. Dla rozwoju więc budowy kolei drugorzędnych i zapewnienia tym przedsięwzięciom istnienia odpowiedniego celowi, uważam za właściwe postawienie następujących wniosków i polecenie ich uwadze publiczności i opiece towarzystwa popierania przemysłu i handlu:

1) Aby główne podstawy budowy i eksploatacyi dróg żelaznych drugorzędnych były określone odpowiedniemi przepisami rządowemi.

2) Aby przepisy te upraszczały i ułatwiały wszelkie starania celem dozwolenia studyów, oraz otrzymania koncesyi, a mianowicie, aby nadawały miejscowym gubernatorom prawo udzielania pozwolenia dla dokonania studyów, a ministrowi komunikacyi prawo udzielania koncesyi.

3) Aby przepisy te oznaczały najdłuższy termin, w przeciągu którego wyżéj oznaczone władze obowiązane będą odpowiadać na podania starających się o dozwolenie studyów lub koncesyi.

4) Aby przy prośbach o udzielenie koncesyi nie było wymagane jak dotąd (dla budowy linij głównych) przedstawianie detalicznych projektów, oraz całéj kolekcyi różnych dokumentów, lecz aby władze zadawalniały się przedstawieniem planów i profilów projektowanéj drogi, oraz notatek, wyjaśniających cel budowy i główne podstawy tak technicznego projektu, jak również proponowanéj kombinacyi finansowéj dla urzeczywistnienia przedsięwzięcia.

5) Aby przy udzielaniu pozwolenia dokonania studyów zagwarantowane było przez przedsiębiorców wynagrodzenie ewentualnych strat na korzyść właścicieli gruntów, przez które studya te przeprowadzone będą.

6) Aby we wszystkich wypadkach, w których linia przeznaczona będzie do użytku publicznego, przyznawane jéj było prawo obowiązkowego wywłaszczenia i aby prawo to mogło być stosowane i do dróg żelaznych dla użytku prywatnego, lecz mających taki charakter, iż znaczenie ich ekonomiczne zasługiwać będzie na poparcie rządu.

7) Aby w kwestyach, tyczących się przyznania użyteczności publicznéj, pociągającéj za sobą prawo wywłaszczenia w granicach Królestwa Polskiego, władze rządowe zasięgały opinii warszawskiego oddziału towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

8) Aby rząd okazywał podobnym przedsięwzięciom oprócz ułatwień w otrzymaniu koncesyi, oraz nadawania prawa wywłaszczenia, pomoc materyalną, czy-to w formie jednorazowéj subwencyi, czy téż pożyczki na pewnych warunkach, lub gwarancyi dochodu, czy téż nareszcie przez dozwolenie użytkowania gruntów, domów, materyałów itp., stanowiących własność rządu, bezpłatnie, lub za cenę zniżoną.

9) Aby zostało dozwolone przeprowadzenie torów kolejowych na bokach istniejących dróg szosowych, lub zwyczajnych.

10) Aby przedsiewzięcia takie były oswobodzone: *a*) od ponoszenia kosztów inspekcyi rządowéj, oraz służby policyjno - żandarmskiéj, *b*) od bezpłatnego przewozu poczt, jak również od obowiązkowego przewożenia wojsk i ich ciężarów po taryfie zniżonéj, *c*) od

opłaty podatku dodatkowego na korzyść rządu od dochodu z ruchu osobowego.

11) Aby dla takich dróg żelaznych zniesione były dotychczasowe przepisy, obwarunkowywujące budowę i eksploatacyą linij głównych, a ustanowione zostały inne, nie oznaczające stałych typów, lecz dozwalające zmieniać takowe, stosownie do warunków miejscowych, pozostawiając możliwą swobodę działania przedsiębiorców, z zachowaniem jedynie warunków bezpieczeństwa i poszanowania cudzéj własności.

12) Aby dla uniknięcia szkodliwéj zbytniéj różnorodności w szerokości toru kolei drugorzędnych, przedsiębiorcy takowych o ile dozwolą warunki miejscowe, ograniczali się wyborem szerokości normalnéj, lub téż wąskotorowéj 1 metr i 0,75 m.

Nb. Warunek powyższy nie może się stosować do kolei żelaznych t. z. przenośnych, przemysłowych lub rolniczych, dla których szerokości mogą być różne.

13) Aby klasyfikacya towarów i taryfa dla podobnych dróg żelaznych były dowolne, oznaczając jedynie dozwoloną maksymalną opłatę.

14) Aby w tych miejscowościach kraju, gdzie budowa kolei drugorzędnych ma podstawę bytu, tworzyły się z pomiędzy osób zainteresowanych tą kwestyą komitety obywatelskie inicyatywy, mające na celu zebranie odpowiednich danych ekonomicznych, utworzenie potrzebnego kapitału i urzeczywistnienie przedsięwzięcia.

15) Aby Towarzystwa istniejących dróg żelaznych w tych wypadkach, gdzie nowobudująca się linia drugorzędna, ma stanowić gałęź istniejącéj, okazywały tym przedsięwzięciom wszelkie ułatwienia i dawały możliwe poparcie finansowe.

16) *Aby utworzone zostało u nas Towarzystwo techniczno-finansowe, mające na celu studyowanie, budowę i eksploatacyą dróg żelaznych drugorzędnych.*

17) Aby nakoniec osoby, interesujące się tym przedmiotem, zechciały nadsyłać do naszego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu swoje projekta i wnioski i wszelkie dane, mogące wyjaśnić potrzeby pod względem dróg żelaznych i wogóle dróg komunikacyjnych różnych miejscowości kraju.

Władysław Kiślański.

FRANCISZEK RACZKI

KARTKA Z DZIEJÓW LITERATURY CHORWACKIEJ.

W dniach 25 i 26 września r. b. bawił w Warszawie gość z dalekiéj geograficznie, ale duchowo blizkiéj nam ziemi, gość, którego Warszawianie przyjmowali serdecznie jako syna pobratymczego narodu, a zarazem ze czcią należną mu jako przedstawicielowi i naczelnikowi poważnéj instytucyi i mężowi wielce zasłużonemu w nauce. Gościem owym był Chorwat, kanonik dr. Franciszek Raczki, znakomity badacz dziejów i prezes akademii południowosłowiańskiéj w Zagrzebiu. Żywot męża tego stanowi piękną kartę w dziejach nowéj literatury chorwackiéj, kartę pełną treści i wymownie świadczącą o siłach żywotnych narodu chorwackiego, który przed pięćdziesięciu laty, otrząsnąwszy się z długoletniego letargu, żwawo zabrał się do pracy, aby podjąć dzieło cywilizacyjne w duchu narodowym i w pracy téj podążać za resztą ludzkości. W działalności owéj niemałą cząstkę wziął na siebie Franciszek Raczki, to też żywot jego, wiążąc się ściśle z dziejami literatury i nauki chorwackiéj, rzuca jasny promień światła na owe dzieje i dla tego powinien być zajmującym dla każdego myślącego czytelnika, zwłaszcza gdy dziś zwróciliśmy baczniejszą uwagę na to, co naszych pobratymców podnosi lub poniża.

Franciszek Raczki urodził się r. 1829 w *Fużinie* na Pomorzu chorwackiém, tak zwaném *Primorju*. Pomorzanie chorwaccy (*Primorci*) osiedli na ziemi kamienistéj, skąpéj dla swych dzieci; jest to wszelako lud dzielny, pracowity, wytrwały i słynny z wysokiéj moralności. Z pomiędzy nich wyszło wielu zasłużonych pracowników narodowych. Miasteczko Fużina, obecnie stacya przy kolei, wiodącéj z Zagrzebia do Rjeki, leży w dolinie, zwanéj *Liczkiem polem*; samo miasteczko za Karola VI i Maryi Teresy osadzone zostało przy-

byszami z różnych okolic, ztąd téż słychać w nim wszystkie trzy narzecza chorwackie, kajkawskie, czakawskie i sztokawskie. Z „Liczkiego pola“ pochodzą obaj Starczewicze, stary patryota Antoni i głośny dzisiaj dr. Dawid Starczewicz.

Dzieciństwo Raczkiego przypadło na te czasy, gdy już poczęły się wśród inteligencyi chorwackiéj budzić umysły i Gaj z poplecznikami zabierał się do odrodzenia literatury ojczystéj pod hasłem tak zwanego iliryzmu. Idea ta, rozbudzająca w Chorwatach świadomość narodową i słowiańską, oddziaływała magicznie na młode pokolenie; aczkolwiek panowała jeszcze wszechwładna łacina, którą narodowcy, radzi byli by zastąpić językiem ojczystym, Madźiarzy zaś swoim własnym, pragnąc jednakową cechę narodową wycisnąć na ludach korony św. Stefana, poczytywanych jedynie za materyał do wytworzenia wielkiego *Magyar-orszagu*. Tak zwani *Ilirowie* stawili roszczeniom owym energiczny opór, budzili naród do uprawiania własnego języka, wezwali narody sąsiedzkie a pobratymcze, Słoweńców i Serbów do wspólnéj pracy pod tąż samą chorągwią i głos ich rozchodził się po kraju, a przedewszystkiem trafiał do gorących serc młodzieży.

Wśród takich wpływów Raczki, objawiający już w pacholęcych latach niepowszednie zdolności, pobierał nauki gimnazyalne naprzód w Rjece (Fiume), gdzie włoszczyzna wielce tłumiła żywioł narodowy, a potém w Waraždinie, w którym mieszczaństwo, po części napływowe, nader niemczyzną przesiąkło. Ze szkół tych wszelako młodzieniec wyszedł gorącym patryotą, przejęty mocném postanowieniem pracowania dla dobra nauki i narodowości swojéj. Aby skuteczniéj pracować dla współziomków, obrał sobie stan duchowny, w ojczyźnie jego wielkiém poważaniem i czcią otoczony.

W r. 1847 wstąpił do seminaryum biskupiego w Seniu, słynnéj niegdyś siedzibie Uskoków. Aczkolwiek rząd austryacki dzielnych i awanturniczych junaków uskockich jeszcze w XVII wieku ztąd był wyprowadził, osiedlając ich w środku kraju, zdala od morza, na którém tyle dokazywali byli cudów zuchwałéj waleczności, wszelako zdaje się, jakoby w tych murach tkwił wciąż energiczny i śmiały duch uskocki. I duchowieństwo dyecezyi „Seńskiéj i Modruszkiéj czyli Kerbawskiéj“ odznacza się patryotyzmem i miłością tradycyj ojczystych, w téj dyecezyi z dawien dawna (jeszcze od bulli Innocentego IV z r. 1248) wolno odprawiać obok łacińskiéj mszę w języku starosłowiańskim, ku czemu służą mszały, pisane *azbuką* Cyrylową, tak zwaną *głagolicą*. Naonczas biskupem Seńsko-morduszkim był mąż pełen nauki, zacny dobrodziéj swéj dyecezyi i sprężysty jéj rządca Mirko Ożegowicz z Barlabaszewca, syn starego rodu szla-

checkiego z północnéj Chorwacyi. Duch patryotyczny i zamiłowanie w przeszłości narodowéj panowały w całéj dyecezyi pod wpływem jéj czcigodnego pasterza. Młodocianemu Raczkiemu jako klerykowi nastręczyła się możność poznania języka starosłowiańskiego oraz pisma, o którém z czasem miał wydać ważne dla nauki zdanie. Już w seminaryum próbował sił swych w zawodzie piśmienniczym i napisał rozprawę „Chrześcijaństwo i ludzkość," którą wydrukowano w *katolickim liście*.

Po dwu latach pobytu w Seniu Raczkiego, jako zdolnego ucznia, wysłano do Wiednia, do seminaryum zwanego Pazmaneum. W Wiedniu pełno jest młodzieży ze wszystkich krajów słowiańskich, studyujących już to w uniwersytecie już to po rozmaitych zakładach specyalnych. Raczki, nie poprzestając na samych studyach teologicznych, pracował nad przyswojeniem sobie języków słowiańskich, nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie—i doszedł przez pracę i stosunki z innymi Słowianami do takiéj biegłości, iż rozumie każdego Słowianina mówiącego, a nawet w razie potrzeby ważniejszemi językami z rodziny słowiańskiéj jako tako rozmówić się zdoła. W roku 1852 otrzymał święcenia kapłańskie i wróciwszy do Senia, wykładał w tameczném gimnazyum matematykę i fizykę. Wszelako chęć dalszego pracowania nad sobą, nie pozwoliła mu długo pozostawać na tém podrzędném stanowisku, odjechał więc po roku znowu do Wiednia dla wyższych studyów, po których otrzymał stopień doktora teologii. Z tym zaszczytnym tytułem powrócił do Senia na stanowisko profesora historyi kościelnéj i prawa kanonicznego w seminaryum tameczném. Czas pozostały od obowiązkowych zajęć poświęcał ciągłym studyom nad slawistyką, zwłaszcza nad literaturą głagolicką. Owocem ich była rozprawa:

„Przegląd piśmiennictwa głagolickiego kościelnego zwłaszcza ksiąg Pisma świętego i liturgicznych"; pomieścił ją autor w czasopiśmie *Katoliczki list*. Innego rodzaju ważną pracę około pierwotnych dziejów Słowiańszczyzny podjął w artykule, drukowanym r. 1857 w Archiwum towarzystwa historycznego p. t. „Szkic historyi ludów południowosłowiańskich do IX stulecia." Okrom tego zajmował się staranném obrobieniem dziejów apostołów słowiańskich, Cyryla i Metodego.

Owocem pracy w tym kierunku było dzieło p. t. „Wiek i działalność św. Cyryla i Metodego, apostołów słowiańskich." Pierwszy tom wyszedł w Zagrzebiu r. 1857, drugi zaś w dwa lata późniéj. Raczki między innemi miał poprzednika w wielkim slawiście Dobrowskim, którego dzieło „Cyryll und Method, der Slawen Apostel" ukazało się na świat jeszcze w r. 1823. Raczki wszelako zrobił ogromny

krok naprzód—dokładnie zbadał wszystkie źródła, naonczas znane, legendy o życiu apostołów słowiańskich, w Rzymie wynalazł wiele nieznanych dotąd danych i napisał dzieło obszerne, oparte na ścisłéj krytyce pracowicie zebranych a zbadanych sumiennie faktów. W dziele swém między innemi wyjaśnił dokładnie stosunek Cyryla i Metodego do kościoła rzymsko-katolickiego, co w wielu uczonych obudziło opozycyą i dało powód do całego szeregu prac, starających się zbić wywody Raczkiego. Wśród tych prac odznacza się szczególniéj książka P. Ławrowskiego „Cyryl i Metody jako misyonarze prawosławni u Słowian zachodnich w związku ze współczesną im historyą niesnasek kościelnych pomiędzy Wschodem i Zachodem (Moskwa 1863).“ Wszelako dalsze badania stwierdzają jedynie wywody Raczkiego, a szczególniéj poparły je dokumenty, odnalezione przez Bishopa w Muzeum Brytańskiém przed kilku laty, a mianowicie listy papieża Jana VIII, który stawał w obronie Metodego, prześladowanego przez biskupów niemieckich, zazdrosnych o zmniejszanie ich władzy w ziemiach słowiańskich.

W pracy nad dziejami Cyryla i Metodego wielce posłużył Raczkiemu pobyt w Rzymie od r. 1857 do 1860, dokąd wyprawiono go na stanowisko kanonika tak zwanéj „kapituly ilirskiéj.“ W stolicy papieskiéj uczony Chorwat pilnie zbierał wszelkie wiadomości paleograficzne i w ogóle archeologiczne, odnoszące się do dziejów Słowiańszczyzny południowéj. Zajmowała go tam wielce kwestya pisma słowiańskiego, stosunek *głagolicy* do *cyrilicy*, w któréj to kwestyi właśnie w r. 1858 zabrał głos P. J. Szafarzyk w pracy „Ueber den Ursprung und die Heimath des Glagolitismus. Prag 1858.“ Raczki napisał rozprawę p. t. „Pismo słowiańskie“ i w wywodach swoich popierał zdanie Szafarzyka, że *głagolica* jest starszą od *cyrylici*, że pierwszą wynalzł św. Cyryl, drugą zaś uczeń cyrylów Klemens, biskup Welicki. I w kwestyi téj powstała opozycya uczonych i nieuczonych, starających się, lubo jak dotąd bezowocnie, obalić zdanie Szafarzyka i Raczkiego; w kwestyi owéj odezwali się i Sreźniewski i Hilferding i wreszcie Jezbera w swéj cudackiéj broszurze czeskiéj: „Cyryl i Metody niepisali głagolicą, ale cyrylicą.“ Badanie swoje co do działalności dwóch apostołów uzupełnił Raczki artykułem „Praca piśmiennicza św. Cyryla i Metodego“ artykuł ten pomieszczonym został w książce, 1863 r. wydanéj w tysiącletnią rocznicę świętych przez Maticę, naonczas jeszcze *ilirską* p. t. *Tisućnica slovjenskich apostola.*“

Roku 1860 Raczki powrócił do ojczyzny, w któréj niebawem zaszły poważne zmiany polityczne. Austrya, pobita przez Francuzów i Włochów pod Magentą i Solferino, postradawszy Lombardyą, po-

znała, że niepodobieństwem jest zarabiać dalej na cichą i tajoną, ale nie mniéj dobitną nieprzyjaźń poddanych sobie ludów. System absolutyzmu biurokracyjnego, rządy Bacha, gospodarowanie policyi i poniemczonych urzędników do najwyższego stopnia naprzykrzyły się ludom i wszędzie manifestowano niechęć i wstręt do niemczyzny i biurokracyi. Madżiarzy podnieśli głowę, Czesi ruszać się poczęli i Chorwaci nie pozostali w tyle za nimi. Franciszek Józef wydał 20 października 1860 r. patent, kontrasygnowany przez ministra Agenora Gołuchowskiego, w którym przywracał Węgrom i Chorwatom dawną ustawę, innym narodom zaś nową obiecywał. W Wiedniu utworzono dykasteryum chorwackie na czas, póki nie rozstrzygnie się stosunek Chorwacyi do Węgier, a roku 1861 zwołano sejm według ustawy wyborczéj z r. 1848, na nim znaleźli się także delegaci z Pogranicza wojskowego. W sejmie zasiadał i Raczki jako wysłaniec kapituły Seńskiéj.

Chorwaci, podobnie jak sejmujący w tymże czasie Węgrzy, stanęli na stanowisku praw z r. 1848. 26 lutego 1861 roku wyszedł patent, zwany „lutowym,“ nadający konstytucyą wszystkim krajom i ustanawiający dla całéj monarchii jednę „radę państwa (Reichsrath) w Wiedniu. Schmerling tak chytrze ułożył prawo wyborcze, iż nikomu nie było tajném, że niemcy znowu większość osiągną i po dawnemu całém państwem trząść będą. Widzieli to dobrze Madżiarzy i dlatego téż o wstąpieniu do rady państwa nie chcieli ani słyszéć. Chorwaci znaleźli się w wielkiéj niepewności, co im czynić wypadało. W sejmie wytworzyły się trzy partye. Jedna, złożona z tak zwanych „madżiaronów“ sprzyjała Węgrom, druga mając na względzie pobudki wyższéj polityki, i obawiając się roszczeń madżiarskich, które przed rewolucyą 1848 r. narodowi chorwackiemu dały się były należycie we znaki, skłaniała się więcéj na stronę Wiednia, w stronnictwie tém wybitniejszemi osobistościami byli Jan Mażuranicz, późniejszy ban, biskup Strossmayer i Raczki. Obok tych dwu partyj utworzyła się jeszcze trzecia, zwana „stronnictwem prawa (*stranka prava*, *pravasi*), wodzami jéj byli dr. Antoni Starczewicz, energiczny obrońca imienia *chorwackiego* jako nazwy narodowéj i Eugeniusz Kwaternik, który późniéj położył żywot w rokoszu „Rakowickim.“ Stronnictwo prawa, opierając się na dziejowém stanowisku Chorwacyi, względem Węgier i domu Habsburskiego, postawiło program, żądający dla „Trójjedynego królestwa“ stanowiska niezależnego od Austryi i Węgier, na podstawie unii osobistéj i połączenia ziem chorwackich wraz z Dalmacyą w jednę całość. Deputaci z Pogranicza przechylili szalę na korzyść téj ostatniéj partyi, Madżiaroni więc sejm opuścili. W duchu stronnictwa prawa ułożono 24 wrze-

śnia adres do tronu, ale w niecały miesiąc nadeszła odpowiedź monarchy, odrzucająca żądania, wyrażone w adresie niezadługo potém, mianowicie 14 listopada sejm został rozwiązany.

Potwierdzono wszelako jednę z uchwał sejmu, mianowicie tak zwany artykuł 42 głoszący, że „Trój-jedynemu królestwu, okrom osobnych jego praw fundamentalnych, państwowych i konstytucyjnych, służą jeszcze wszystkie te prawa publiczne, które służyły królestwu Węgierskiemu do końca r. 1847“, oraz że „prawno-państwowy związek pomiędzy jedném a drugiém królestwem (Węgierskiém i Chorwackiém) ma być oparty na podstawie starodawnéj ustawy i niezależności Trójjedynego królestwa i równouprawnienia tegoż pod względem państwowym“. Artykuł 42 był zatwierdzony reskryptem cesarskim z dnia 8 listopada 1861 r.—tymże samym, który rozwiązywał sejm chorwacki.

Raczki pozostał od tego czasu w Zagrzebiu i w r. 1863 otrzymał urząd radcy namiestnictwa i nadzorcy szkół niższych i średnich w Chorwacyi i Slawonii. Stanowiska tego pozbawiono go potém w r. 1869, gdy wskutek działalności swéj naukowéj wpadł w niełaskę „madżiarońskiego“ rządu, który zapanował w kraju. Obawiano się, i poniekąd nie bezzasadnie, że na tém stanowisku może wywierać niemały wpływ na oświatę i to bynajmniéj nie w takim duchu, jakiego ów rząd sobie życzył.

Okrom obowiązków kapłańskich i zajęć urzędowych czekał na uczonego męża dalszy ciąg jego działalności politycznéj. Roku 1865 znowu zebrał się sejm w Zagrzebiu, Raczki znalazł się na nim jako reprezentant kapituły Djakowskiéj. Reskrypt królewski wzywał Chorwatów, aby sejm zagrzebski porozumiał się z sejmem peszteńskim w obec zamierzonéj koronacyi Franciszka Józefa na króla Węgier, Dalmacyi, Chorwacyi i Slawonii. Zredagowanie adresu w odpowiedzi na ten reskrypt powierzono Raczkiemu. W sejmie Raczki popierał Strossmayera, wraz z Mrazowiczem, licząc na to, że Madżiarzy, którzy z takiemi trudnościami doszli do pożądanego celu, łatwi będą w układach i Chorwacya snadno pozyska to, co pozyskały i Węgry. Sejm, pomimo oporu Starczewicza i nielicznych jego naonczas stronników, 11 marca 1866 r. wybrał deputacyą, która udała się do Pesztu, aby tam z wysłańcami sejmu węgierskiego umówić się o stosunku Trójjedynego królestwa do królestwa Węgierskiego i o stosunku królestw i ziem korowy węgierskiéj do całéj monarchii. Deputacya ta, składała się z dwunastu osób; wśród nich znajdowali się biskup Strossmayer, adwokat Mateusz Mrazowicz, baron Kuszlan, redaktor Obzora Jan Perkowac, dalmata dr. Michał Klaicz, dr. Suboticz serb i dr. Raczki. Prezesem deputacyi chorwackiéj obrano

przez aklamacyą Strossmayera, a w komitecie węgierskim prezydował hr. Antoni Majláth. Posiedzenia trwały od 16 kwietnia do 16 czerwca, walka na nich była zacięta, obie strony nie chciały ustąpić w niczém i nareszcie przyszły do przekonania, że bez postanowień i wskazówek właściwych sejmów dalej sprawy posuwać nie mogą, zgodziły się więc na zawieszenie układów. Stanowisko obu deputacyj było nader różne, Madżiarzy domagali się od Chorwatów, aby ci przyznali prawa ich z r. 1848 i ustąpili im Rjekę—Chorwaci nie mogli się zgodzić na to ustępstwo, żądali autonomii takiéj, jaką mieli w r. 1848, gdy związek z Węgrami był zerwany, oraz wymagali uznania artykułu 42, potwierdzonego przez cesarza w r. 1861.

Jak wiadomo nastała naonczas wojna Austryi z Prusami i Włochami, monarchia Habsburgów pobita pod Sadową, zawarła pokój w Pradze i monarcha, postradawszy Wenecyą i stanowisko w związku Niemieckim, umyślił zreformować państwo na zasadzie dualizmu. Madżiarzy, widząc, że Franciszek Józef staje po ich stronie, zabrali się nie na żarty do Chorwatów. Do Rjeki posłali swego komisarza, koronacya odbyła się bez posłów chorwackich, sejm bowiem zagrzebski wcześniéj rozpuszczono, a w nowym sejmie tak umieli postawić swoich stronników, iż 8 grudnia 1868 r. przyjętą została ugoda na warunkach dla Chorwacyi niedogodnych. W owym czasie Raczki zajęty był nadzwyczaj ważném dziełem, mianowicie urządzeniem akademii nauk i umiejętności, któréj prezesem został obrany.

Przez cały czas działalności swéj na niwie politycznéj Raczki bynajmniéj nie zaniedbywał prac literackich i naukowych. Zaraz w r. 1861 wydał w Wiedniu dzieło historyczne p. t. „Ułamki z prawa politycznego chorwackiego za dynastyi narodowéj“, gdzie skreślił pierwotną historyą Chorwatów, aż do upadku królów narodowych, a zatém do XI w., oznaczył granice Chorwacyi, które, według autora, były obszerniejsze o wiele od dzisiejszych i opisał urządzenie państwa, zorganizowanego na podobieństwo innych krajów europejskich. Niesłychanie ważną przysługę zrobił Raczki lingwistyce słowiańskiéj przez wydanie jednego z najstarszych pomników języka starosłowiańskiego, który nosi tytuł „*Assemanov ili vatikanski evangelistar*“. Pomnik ten, pisany głagolicą, poparł znakomicie wywody Szafarzyka i Raczkiego w kwestyi pierwszeństwa głagolicy przed cyrylicą. „*Ewangelistar*“ znaleziony został w Jerozolimie r. 1736 przez maronitę Józefa Assemaniego, bibliotekarza w Watykanie i przeniesiony do Rzymu. Raczki za bytności w Rzymie przepisał nader starannie cały ten pomnik i wydał go r. 1865 czcionkami głagolickiemi, a bynajmniej nie w transkrypcyi cyrylicą, jak wydają

się obecnie w Petersburgu nowo drukowane pomniki głagolickie. Koszta niemałe na to wydanie łożył skory zawsze do ofiar dla narodu i nauki biskup Strossmayer.

Aby dać nauce chorwackiéj odpowiedni organ, Raczki, wraz z lingwistą Jagiczem i przyrodnikiem Torbarem, założył czasopismo zeszytowe „Književnik" (Literat). W Književniku pisywał ciągle oceny literackie dzieł historycznych, a nadto drukował tam nader ważne rozprawy: „Ocena starszych źródeł do historyi chorwackiéj i serbskiéj w wiekach średnich", „Stosunek despotów serbskich i osadników do korony i królestwa chorwackiego i węgierskiego", „O obronie pogranicza chorwacko-slawońskiego w wieku XVI i XVII ze stanowiska polityczno-prawnego". Prace te, zwłaszcza pierwsza, niesłychanie posunęły krytykę dziejową w badaniach nad historyą Słowian południowych.

Broniąc ze stanowiska historycznego praw narodu chorwackiego, Raczki wydał w r. 1865 dziełko, p.t. „*Rjeka prama Hrvatskoj*" (Rjeka w obec Chorwacyi), które to dzieło, dla nadania mu większego rozgłosu i znaczenia, przełożył na niemiecki język generał Piotr Preradowicz, słynny poeta chorwacki. W niém uczony badacz niezbitemi faktami dziejowemi dowodził, że Rjeka, ów port nad zatoką Kwarnerską, tak niesłusznie zagrabiony przez Madžiarów, był zawsze częścią integralną Chorwacyi i tylko fałszywa polityka Józefa II wpadła na niedorzeczny pomysł utworzenia z niéj „pomorza węgierskiego", dając tém zły przykład krajania ziem nie według praw przyrodzonych i sprawiedliwości, ale według bezzasadnéj samowoli, z czego nie zaniedbał skorzystać szowinizm madžiarski.

Założenie „akademii południowo-słowiańskiéj" w Zagrzebiu postawiło Raczkiego na zaszczytném stanowisku jéj prezesa i dało mu nowe, a rozległe pole do działalności naukowéj, któréj poświęcił się całkowicie. Dzieje założenia téj wielkiéj instytucyi są ciekawém odbiciem narodowych pragnień postępu na drodze nauki i cywilizacyi, oraz przeszkód, z któremi Chorwaci borykać się muszą, ztąd nie od rzeczy będzie przebiedz je w krótkości (1). Myśl założenia towarzystwa naukowego, mającego na celu uprawę języka i literatury narodowéj, kiełkowała wpośród patryotów chorwackich zaraz w początkach odrodzenia. Z towarzystwem tém w marzeniach patryotycznych łączyły się muzeum narodowe i biblioteka publiczna. Z podobnym projektem wystąpiła „Danica" Gaja i znalazł on odgłos w stanach królestwa Dalmacyi, Chorwacyi i Slawonii.

(1) Skreślone one zostały we wstępie do książeczki „Latopis południowo-słowiańskiéj akademii nauk i umiejętności. Pierwszy zeszyt (1867—1877). Zagrzeb 1877 r."

Sejm uchwalił 16 sierpnia 1836 roku utworzenie w kraju „towarzystwa naukowego“ (erudita societas), mającego na celu „oświatę narodową“. Podano dwa odpowiednie projekta sejmowi, a ten zalecił je uwadze bana Franciszka Wlaszicza, wszelako wyższe koła urzędowe całą rzecz niechętnie przyjęły. Skończyło się na założeniu w r. 1838 w Zagrzebiu „czytelni“ (czitaonica), której zadaniem miało być „krzewienie pożytecznych wiadomości“ i która zbierała księgi i starożytności, jako zadatek przyszłéj biblioteki i muzeum.

Czitaonica także myślała o towarzystwie naukowém, a tymczasem z niéj wyłoniła się „*Matica ilirska*“, dziś zreformowana na „*Maticę chorwacką*“. Pierwotnéj myśli wszelako nie porzucano, sejmy dopominały się o wykonanie uchwały sejmowéj z r. 1836; *Czytelnia* zaś r. 1845 zakołatała do samego monarchy. Ferdynand Dobrotliwy reskryptem z 10 lipca 1647 uznał w zasadzie myśl towarzystwa naukowego, ale zarazem wymagał, aby wyznaczono kapitał na to potrzebny. Nastały wkrótce wypadki r. 1848 i 1849, w których Austrya, nastraszona rewolucyą węgierską, a szukająca obrony u zniecierpliwionych madżiarskiemi roszczeniami Chorwatów, dała im niemal zupełną niepodległość polityczną—wszelako w owych gorących czasach myślano o karabinie i ostréj szabli, ale nie o nauce i instytucyach narodowych.

Skoro nastał pokój, można było pomyśléć o takiém towarzystwie; tymczasem poprzestano na jednéj jego gałęzi, mianowicie na „towarzystwie historyi i archeologii południo-słowiańskiéj“, które sam ban Jelaczicz popierał. W mowie swéj z dnia 2 lutego 1852 r. przemawiał tak do zgromadzonych członków: „Zaiste niéma lepszego, ani téż dogodniejszego sposobu, by uszlachetnić duch narodowy i rozbudzić w nim dumną samowiedzę, nad postawienie mu przed oczyma zwierciadła jego przeszłości. Historyą każdego narodu możemy poczytywać za jego metrykę. Podobnie jak metryka dla pojedyńczego człowieka stanowi oznakę należenia do społeczeństwa ludzkiego, tak téż każdemu narodowi historya wyznacza miejsce jego w wielkiém kole ludzkości. Bez niéj naród nie wié, czém był i dokąd należy“.

Stanowisko odrębności dziejowéj Chorwatów, zarówno w obec Węgrów jak i w obec całéj monarchii, przebijało w tych słowach najwyższego urzędnika kraju, ono téż było podstawą badań dziejowych historyków chorwackich, pomiędzy którymi znajdowało się już kilku niepowszednich mężów, jak Jan Kukuljewicz - Sakcinski, Mateusz Mesicz, Szymon Ljubicz. Do ich grona przybył w Raczkim niepospolity pracownik, który mnogością prac swych i wartością ich wewnętrzną wydobył się na górujące stanowisko.

„Towarzystwo historyczne“ pracowało z korzyścią dla nauki i literatury, ale niezadowoliło ono patryotów, którzy ciągle wracali do pierwotnéj myśli, założenia towarzystwa naukowego w szerszych rozmiarach. Wszelako w dobie biórokratyzmu i gospodarowania policyi i szpiegów o czémś podobném można było jedynie..... marzyć. Dopiero, gdy patent październikowy z r. 1860 nowe widoki ludom otworzył, między innemi odżyła myśl o towarzystwie naukowém. Spełnienie jéj głównie wziął do serca biskup Strossmayer. Na posiedzeniu *konferencyi bańskiéj* z 10 grudnia 1860 r. oddał 50,000 złr. banowi Szokczewiczowi wraz z odezwą, żądającą założenia akademii południowo-słowiańskiéj, w celu zjednoczenia piśmienniczego Chorwatów, Serbów, Słoweńców i Bulgarów. Między innemi Strossmayer wyraził życzenie, aby „Matica ilirska“ i „towarzystwo historyczne“ połączyły się z przyszłą akademią.

Konferencya bańska wysłuchała odezwy z uniesieniem i postanowiła sprawę wnieść na sejm. Na posiedzeniu z d. 15 kwietnia 1861 r. sejm przyjął projekt i uchwalił aby wybrać dwa komitety, z których jeden miał wypracować plan akademii, drugi zaś zająć się zbieraniem funduszów na jéj założenie. Mowa Strossmayera w téj kwestyi obudziła niesłychany zapał—postanowiono wydrukować ją w tysiącach egzemplarzy i rozszerzyć wśród narodu. Komitet zabrał się do pracy, a tymczasem sejm na posiedzeniu d. 29 lipca uchwalił, aby celem akademii było „pielęgnowanie i popieranie nauk i sztuk na południu słowiańskiém, pomiędzy Chorwatami, Serbami, Słoweńcami i Bulgarami, w duchu narodowym i we wspólnéj oświecie“. W zakres działalności akademii miały wejść: językoznawstwo, historya, wraz z badaniem żywota politycznego, społecznego i artystycznego narodów południowo - słowiańskich, potém nauki matematyczne i przyrodnicze, nakoniec sztuki piękne. Przyszłą instytucyą podzielono na cztery wydziały, filologiczno-historyczny, filozoficzno prawny, matematyczno-przyrodniczy i wydział sztuk pięknych. Ustanowiono subwencyą roczną z dochodów krajowych i darowiznę tak zwanego „domu narodowego“.

Sejm rozpuszczono 12 listopada, projekt zaś utworzenia akademii poszedł po zatwierdzenie do Wiednia. W cesarskiém mieście wielce się nim zgorszono, niemieccy dostojnicy pytali zdumieni, jak to, taka mieścina jak Zagrzeb ma śmiałość sięgać po to, co Wiedeń posiada. Dla niejednego z hegomenów germańskich było rzeczą mniéj niż wątpliwą, że istnieje literatura chorwacka, że w języku tym można pisać dzieła naukowe. W sferach decydujących ociągano się z zatwierdzeniem projektu sejmowego. Wkrótce jednak nastąpił niespodziany obrót. Rząd zdecydował się ustąpić Węgrom,

państwo przetworzyć w duchu dualistycznym, ale podstępna z tradycyi polityka wiedeńska nakazywała, podając jednę rękę Madżiarom, drugą popierać wrogów madżiaryzmu. Reskryptem z d. 7 marca 1863 roku cesarz „Akademię południowo-słowiańską“ w zasadzie zatwierdził. Sejm, zwołany 2 listopada 1865 r., miał zadanie doprowadzenia sprawy do skutku. Projektowany przez komisyą statut został przerobiony w Wiedniu i reskryptem cesarskim z d. 2 stycznia 1866 r. przedstawiony sejmowi. Nie pozostawało nic innego tylko uchwalić statut przez rząd proponowany i ten wreszcie zatwierdzony został reskryptem cesarskim z d. 4 marca 1866 r. Sejm nie ociągał się z popychaniem sprawy naprzód, w osiem dni potém mianował pierwszych akademików i tych do zatwierdzenia cesarskiego przedstawił. Byli to: Strossmayer, Raczki, W. Jagicz, naonczas profesor w Berlinie, słynny lingwista S. Ljubicz, archeolog, kustosz muzeum narodowego P. Muchicz, prawnik Jowan Suboticz, adwokat z Osieka w Slawonii Mirko Bogowicz, znany poeta, b. radca ministeryalny Adolf Tkalczewicz - Weber, znawca prawa kanonicznego, tłómacz wielu rzeczy polskich, między innemi Irydyona, dalćj przyrodnicy: J. Szlosser - Klekowski, Janez Bleiweis, prezes „Maticy“ w Lublanie J. Torbar, oraz zmarły r. 1874 inspektor szkolny Pogranicza Wojskowego Żiwko Wukasowicz. Dwaj członkowie, natenczas mianowani: filolog Antoni Mażuranicz i historyk Iwan Kukuljewicz-Sakcinski, niezadługo podali się do dymisyi.

Raczki powrócił właśnie z Pesztu, gdy reskrypt cesarski z d. 15 czerwca 1866 roku uznał Akademią za ukonstytuowaną. Zaraz wzięto się do urządzenia wewnętrznego. Strossmayera obrano protektorem, Raczkiego zaś prezesem Akademii i przewodniczącym wydziału filologiczno-historycznego; w innych wydziałach obrano przewodniczącymi, wprawnym—Muchicza, w przyrodniczym—Szlossera-Klekowskiego. Ponieważ ustawa tymczasowa wymagała większego pocztu członków, przeto sejm, pobudzony do tego przez kancelaryą dworską, obrał jeszcze członkami Daniczicza, profesora filologii słowiańskiéj w szkole wyższéj w Belgradzie, kanonika Mesicza, historyka, późniéj pierwszego rektora uniwersytetu w Zagrzebiu, Mirka Szuchaja, asesora sądu septemwiralnego w Peszcie, oraz niegdyś poetę i nowelistę, a obecnie znakomitego botanika Farkasz - Wukotinowicza. Skoro nowi ci członkowie, oraz protektor i prezes uzyskali zatwierdzenie cesarskie, Akademia rozpoczęła działalność swoję.

Na pierwszém posiedzeniu z d. 30 maja uchwalono wydawać organ, który nosi tytuł „*Rad* (Prace) *Jugoslavenske Akademije znanosti i umjetnosti*“. Początkowo weszły w życie tylko trzy pierwsze

oddziały, z tych filologiczno-historyczny już 5 czerwca otworzył posiedzenia swoje.

W dalszym ciągu postanowiono zbierać materyały do wielkiego słownika chorwackiego i serbskiego, którego redakcyą powierzono prof. Danicziczowi. Daniczicz za zezwoleniem księcia serbskiego przeniósł się do Zagrzebia i całą duszą oddał się temu wiekopomnemu dziełu. Po jego śmierci w r. 1883 sprowadzono z Dubrownika prof. Piotra Budmaniego i ten daléj dzieło owe prowadzi. Zbieranie wyrazów i wyrażeń odbywa się we wszystkich zakątkach—Stojan Nowakowicz, minister, nadesłał zbiór wyrazów z Serbii, kanonik Michał Pawlinowicz, znany przywódca narodowy, z Dalmacyi, Duczicz z Hercegowiny, pozyskano zbiór, ułożony w Dubrowniku r. 1759, Mateusz Waljawec i Jan Krapec zbierali wyrazy w górnéj Chorwacyi itd.

Postanowiono wydawać starych autorów chorwackich, począwszy od wieku XVI, a przedewszystkiém owych znakomitych klasyków dalmackich i dubrownickich, niedostępnych dla publiczności z powodu rzadkości starych wydań i niesnadności pisowni owoczesnéj. Rozpocząwszy od ojca owéj literatury Marka Marulicza, wydano między innemi Wetranicza, autora cudnego poematu opisowego „Remeta (Pustelnik)“, komedyopisarzy Naljeszkowicza i Držicza, liryków Minczeticza, Hektorowicza i Luczicza, uroczy poemacik „Jedžiubka (Cyganka)“ Czubranowicza i naśladowania tegoż, dzieła Gundulicza, twórcy nieśmiertelnéj epopei „Osman“ i Palmoticza, autora „Kristiady.“ Wszystkie te wydania odznaczają się starannością w oddrukowaniu tekstu, mają wstępy biograficzne i krytyczne i waryanty z wydań i rękopismów. Ze słuszną dumą może ukazać Chorwat na tę książki jako na dowód, że umieszczony na krańcu świata cywilizowanego, u bram pogańskiéj dziczy, nietylko ochraniał cywilizacyą europejską swą ostrą szablą i piersią junacką, ale jeszcze rozwijał i pielęgnował starannie posiew cywilizacyi, na jego niwy upadły.

Materyał dziejowy wydaje się w osobnym zbiorze „Monumenta, spectantia historiam slavorum meridionalium;“ w dziale tém pracowity Symeon Ljubicz ogłosił „Commissiones et relationes Venetae,“ owe nieocenione dla dziejów wiadomości, zapisywane przez posłów i rezydentów weneckich, dzięki którym wiele cennych świadectw dziejowych zachowało się do naszych czasów. Osobną seryą stanowią pomniki prawne, wychodzące w zbiorze „Monumenta historica-juridica Slavorum merdionalium.“ Mniejsze pomniki pomieszczają się w wydawnictwie p. t. „Starineprilozi literarno-historiczni, historiczni i juridiczki (Starożytności, przyczynki literacko-historycz-

ne, historyczne i prawne)" Okrom tego Akademia wydała jeszcze kilkanaście poważnych dzieł w osobnych, wytwornych pod względem zewnętrznym wydaniach.

Liczba członków wzrosła. Z ważniejszych, mianowanymi późniéj zostali: F. Kurelac, znakomity stylista i badacz języka narodowego, P. Matkowicz, głośny statystyk, A. Pawicz, profesor literatury chorwackiéj w uniwersytecie, F. Markowicz, poeta, profesor filozofii, czech L. Geitler, profesor lingwistyki porównawczéj, B. Bogiszicz, słynny historyk prawa i dwóch przyrodników europejskiéj sławy, S. Brusina i J. Pitar. Pomiędzy członkami honorowymi znajdujemy Maciejowskiego, czechów Palackiego, Purkyniego i K. J. Erbena, a krom tego Mikloszicza, Schleichera i Ami Bouégo. Pokaźnym jest szereg członków, korespondentów, w spisie ich czytamy nazwiska Augusta Bielowskiego i Romualda Hubego.

Teraz rozpoczęła się dla Raczkiego szeroka działalność naukowa, do któréj Akademia dawała mu wszelkie pomoce i pobudki. W każdym dziale wydawnictw znajdujemy ślady jego pracy. Do wydawnictwa „Stari pisci hrvatski" dał żywoty Nikoli Naljeszkowicza, Hanibala Lucicza, Mikszy Pelegrinowicza i Saby Miszeticza Bobaljewicza. Gdy akademia r. 1875 wydawała kosztem swym tom II pomnikowego dzieła A. Theinera p. t. „Vetera monumenta Slavorum meridionalium historiam illustrantia, maximam partem nondum edita, ex tabulariis vaticanis deprompta et collecta" redakcyą dzieła wziął na siebie Raczki. Pierwszy tom „Monumentów" wyszedł był jeszcze r. 1863 w Rzymie, nakład na oba tomy łożył wspaniałomyślny Strossmayer i cały komplet akademii podarował.

W wydawnictwie tych „Monumentów" ważny wielce tom V jest owocem pracy Raczkiego. Nosi on tytuł „Documenta historiae chroaticae periodum antiquam illustrantia, Collegit, digessit, adornavit Fr. Racki. Zagrabiae 1877"—zawiera w sobie dokumenta i wyciągi z pisarzów, odnoszących się do dziejów chorwackich aż do początków XII wieku, a zatém rzuca światło jasne na cały okres dziejów za panowania dynastyj narodowych.

Osobno także wydał Raczki nakładem akademii dzieło p. t. „Dokumenta o spisku bana P. Zrinskiego i księcia Fr. Frankopana." Praca ta wydaną była r. 1873 w dwóch setną rocznicę ścięcia dwóch znakomitych magnatów chorwackich, którzy wraz z panami węgierskimi powzięli byli śmiałą myśl wyzwolenia ludów od germańskiéj władzy Habsburgów, powinna ona interesować i naszych historyków, gdyż Piotr Zrinski, ban chorwacki, pozostawał w stosunkach z królem Michałem Wiszniowieckim, zanim ten ostatni nie odwrócił się w przeciwną stronę w obec perspektywy pojęcia córki cesarskiéj za małżonkę.

Okrom tego pełno znajdujemy krótszych i dłuższych artykułów historycznych, literackich i archeologicznych we wszystkich niemal ważniejszych czasopismach chorwackich jak „Katolicki list,“ „Neven,“ „Nasze gore list,“ „Narodnie novine,“ „Pozor,“ „Obzor“ „Branik,“ „Vienae“ i t. d. wiele krytyk dzieł naukowych; zwłaszcza w „Književniku,“ a obecnie w „Radzie“ akademii.

Wszelako najlepiéj czynność naukowa Raczkiego odbija się w „Radzie“ i w „Starinach“; tam on pomieszcza swoje rozprawy, rezultaty pracowitych a krytycznych badań nad dziejami swego narodu i innych Słowian południowych. Niepodobieństwem byłoby pomieścić w ciasnych ramach niniejszego artykułu wszyskich prac Raczkiego, poprzestaniemy więc tylko na wskazaniu najważniejszych tych, które są stopniami, prowadzącemi naród chorwacki do poznania bogatéj w ważne fakta przeszłości swojéj.

W rozprawie „Ruch na południu słowiańskiém w końcu XIV i na początku XV stulecia“ autor opisuje walkę Słowian z przemocą turecką, któréj ofiarą padły Bulgarya, Serbia i Bośnia z Hercegowiną.

Wielce Raczkiego zajmowała ponura sekta Bogomilów, oparta na dualizmie Boga i Szatana—owa wiara, wykwitła z Manicheizmu, która przyjmowała się u Słowian południowych do tego stopnia, iż nawet w Bośni nazywała się „kościołem bośniackim,“ a która potém od Słowian przeszła do Włoch i Francyi południowéj jako ogniwo w nieprzerwanym ciągu pasma herezyi, czyli opozycyi przeciwko kościołowi urzędowemu. Mimo, że już przedtém niemało pracowano nad dziejami téj sekty, między innemi wydał o niéj dziełko Serb dalmacki, dr. Bożydar Petranowicz—Raczki dopiero należycie zbadał kwestyą i wyłożył ją w pracy p. t. „Bogomili i Patareni.“

Do pierwotnych dziejów chorwackich i wogóle Słowian południowych odnoszą się rozprawy: „Jak i kiedy księstwo chorwackie przeobraziło się w królestwo?“ „Walka Słowian południowych o niepodległość polityczną w wieku XI.“ „Nadworna kancelarya chorwacka i rozporządzenia jéj za panowania dynastyi narodowéj“ i inne. Nie poprzestając tylko na pierwotnéj historyi, Raczki sięgnął i do wieku XVI. W „Starinach“ znajdują się jego materyały do dziejów buntu chłopskiego pod wodzą Mateusza Gubca, do historyi kanonika zagrzebskiego Filipowicza, który dostał się do niewoli tureckiéj, a niewykupiony przez kapitułę, przez zemstę poturczył się i potém srodze najeżdżał majątki kapituły, nakoniec są tam i materyały do historyi Uskoków. Rozprawa „Biała Chrobacya i Biała Serbia“ sięga do *pradiedoviny* Chorwatów i Serbów, pierwotnéj ich ojczyzny na północ od karpatów. Wielkiego znaczenia jest świeżo drukowana

w „Radzie“ (tom 70) rozprawa p. t. „Stan wewnętrzny Chorwacyi przed wiekiem XII.“ Już poprzednio w tom. 56 i 57 „Radu“ autor skreślił stosunki narodowe Chorwacyi, obecnie przystępuje do stosunków społecznych. Dowodzi on, że podstawą organizacyi narodowéj u Chorwatów jak i w ogóle u Słowian była *zadruga*, żyjąca we wspólności majątkowéj, że z kilku zadrug tworzyło się *plemię*, a z plemion *żupa*. Zadrugi, plemiona i żupy miały swoich naczelników, starostów, żupanów. Z starostów plemiennych wytworzyła się szlachta niższa, z żupanów wyższa. Niewoli we właściwém znaczeniu pierwotnie nie było, jeńców wojennych po niejakim czasie obdarzano wolnością, pozwalając im albo powrócić do rodzinnego kraju, albo téż pozostać w ich ziemi, dopiero późniéj instytucya niewolnictwa rozwinęła się pod wpływem rzymskim i germańskim. Cudzoziemcy cieszyli się prawem gościnności, u Germanów zaś byli po za opieką wszelkiego prawa.

W tomie 68 „Radu“ znajdujemy obszerny nekrolog Wacława Aleksandra Maciejowskiego, członka honorowego akademii, skreślony dokładnie przez Raczkiego.

Raczki piastuje godność kanonika zagrzebskiego, prałata i protonotaryusza apostolskiego, asesora sądów duchowych arcybiskupstwa zagrzebskiego i biskupstw seńskiego i bośniacko-sremskiego; nadto jako człowiek uczony mianowany został członkiem wielu towarzystw naukowych, mianowicie akademii Quiritum w Rzymie, towarzystw naukowych czeskiego w Pradze i serbskiego w Belgradzie, niemieckiego archeologicznego w Rzymie i Berlinie, akademii nauk w Petersburgu i towarzystwa archeologicznego w Moskwie itd. Jest to mąż wielkiéj zasługi w nauce i rozgłośnéj sławy; lekceważyć więc jego stanowisko i imię, na które słusznie zapracował, byłoby tylko dowodem oburzającéj ignorancyi.

Bronisław Grabowski.

TERMOCHEMIA.

I.

Na rozrosłem drzewie wiedzy przyrodniczéj rozwinęła się w ciągu niewielu lat ostatnich gałąź nowa, która winna zatrzymać uwagę każdego, kogo interesuje wszelka nić przewodnia, prowadząca nas przez labirynt zjawisk przyrody. Nową tą gałęzią nauki jest termochemia.

Spoglądając na to bezustanne powiększanie się obszaru wiedzy, na to ciągłe gromadzenie zasobu nowo poznawanych faktów, doznajemy nie raz wrażenia przygnębiającego na myśl, że obfitość materyału tego staje się nadmierna, że umysł ludzki ująć i spożytkować go nie zdoła, że jednem słowem nauce grozi klęska, którą ekonomia jako nadprodukcyjność określa.

Zasób jednak faktów o tyle tylko jest nadmiernym, o ile fakta te pozostają luźne, niezwiązane. Jak buhalter wszelkie zagadkowe, niezwykłe wpływy zaznacza tymczasowo w rubryce rachunków do uregulowania, zanim je na właściwych miejscach zaksięgować potrafi, tak i w nauce fakta znajdują swe miejsce, skoro je ona zdoła ująć w ogólne prawo, skoro je zwiąże wspólną teoryą. W bezładnem zbiorowisku szczegółów i drobiazgów teorya ustala ład i porządek, fakta tracą swą zagadkowość, przestają nas niepokoić.

Przypomnienie prostych tych uwag nie może być rzeczą zbyteczną, gdy napotykamy nazwę nowéj nauki. Termochemia przybyła nie po to, by mnożyć ilość znanych faktów, ale by rzucić jasne światło na rozległe obszary wiedzy.

Nazwa termochemii objaśnia dostatecznie jéj zadanie; mówi ona o wzajemnych stosunkach, jakie zachodzą pomiędzy objawami ciepła a działaniami chemicznemi, jest-to więc nowy węzeł zadzier-

gnięty między fizyką a chemią. Nauki te łączą się w setnych punktach, wspomagają się i uzupełniają nawzajem, ale najistotniejsze swe zetknięcie znalazły w termochemii: nie jest to przypadkowe splątanie się gałęzi, pod wpływem pokrewnych i wspólnych soków drzewa zrastają się tu pniami swemi.

Jakkolwiek zresztą nazwa jest nowa, a ład świeżo zaprowadzony, zasadnicze, elementarne fakta téj nauki są stare i znane; odwieczne przecież i zwykłe źródło ciepła stanowi palenie, to jest właśnie chemiczne łączenie się ciał. Związek przeto objawów ciepła z chemizmem zwrócić musiał na siebie uwagę, zanim jeszcze zastanowiono się nad łącznością ciepła z pracą mechaniczną, która-to łączność stała się punktem wyjścia nowych poglądów na istotę ciepła.

Rzeczywiście też pierwsze badania termochemiczne zawdzięczamy temuż mężowi, któremu przypada miano ojca chemii. Lavoisier już bowiem r. 1781 oznaczał ilości ciepła, jakie wytwarza się przy paleniu rozmaitych materyałów; a zadanie to tém łatwiej nastręczyć mu się mogło, że on to właśnie wespół z Laplacem obmyślił i ulepszył metody do mierzenia ilości ciepła wogóle służące. Takim sposobem termochemia powstała poniekąd wespół z chemią, a za przykładem Lavoisiera wielu fizyków i chemików, przy pomocy metod coraz doskonalszych, badania te dalej prowadziło. Zebrały się ztąd długie tablice liczb bardzo ciekawych, ważnych zwłaszcza pod względem praktycznym, uczyły one bowiem ile ciepła otrzymać możemy przez spalenie kilograma węgla, wodoru, siarki, lub innéj substancyi. Nie poprzestano zresztą na samych tylko objawach palenia się ciał, czyli łączenia się ich z tlenem, ale rozejrzano i różne inne sprawy chemiczne, oznaczono ilość ciepła, powstającego przy łączeniu się różnych pierwiastków między sobą, przy rozpuszczaniu metali w kwasach, lub przy tworzeniu się innych związków. Spostrzeżeń takich zebrała się, jak powiedzieliśmy już, obfitość wielka, zdołano dopatrzéć nawet między niémi niejakiéj prawidłowości, nie doprowadziły one jednak do zasady ogólnéj. Był to materyał cenny, którego ważne znaczenie przewidywano, ale nie pojmowano jeszcze.

Stało się ono jasném wtedy dopiero, gdy rozjaśniło się pojęcie o istocie ciepła. Objawy ciepła tłómaczono dawniéj, jeszcze w czwartym dziesiątku lat bieżącego stulecia, działaniem właściwéj substancyi, zwanéj cieplikiem, gdy cieplik ten do ciała dopływał, sprowadzał jego ogrzewanie, gdy z niego uchodził wywoływał oziębianie.

Pogląd ten wszakże ustąpić musiał, skoro poznano, a raczéj zwrócono należytą uwagę na fakta, które ujawniają wzajemną łączność pracy mechanicznéj i ciepła. Skoro przez tarcie lub uderzanie

wywiązuje się ciepło, nie może być ono substancyą materyalną, boć żadnym nakładem pracy z niczego substancyi wytworzyć nie możemy. Uwagi te poprowadziły do badań, które wykazały zupełną równoważność pracy i ciepła, a która się wyraża liczbą 424 kilogrametrów na jednę ciepłostkę; znaczy to, praca potrzebna do podniesienia 424 kilogramów na wysokość jednego metra (albo jednego kilograma na wysokość 424 metrów), przeobrażona w ciepło, wystarcza do ogrzania 1 kilograma wody o1° termometru stustopniowego; i nawzajem znów, gdy ciepło przeobraża się w pracę (w motorze parowym lub gazowym np.), wtedy jednostka ciepła, czyli ciepłostka (tj. powtarzamy, ta ilość ciepła, któréj potrzeba, by kilogram wody o 1° ogrzać), przetworzona w pracę, zdoła jeden kilogram podnieść na 424 metry w górę. Pod nazwą *równoważnika mechanicznego ciepła* (należało-by powiedzieć jednéj ciepłostki) liczba ta 424 zasłynęła w nauce i w technice; skoro wiemy, ile ciepła wydać nam może zasób pewien węgla, wiemy już tém samém, jakim nakładem pracy rozporządzać możemy.

Praca każda na ruchu polega; przeobrażenie jéj także tylko źródłem innego ruchu być może, ciepło więc jedynie za objaw ruchu uważać możemy. Ruchu tego nie dostrzegamy, jest to ruch najdrobniejszych cząstek ciała, które także zmysłom naszym uchodzą. Im szybciéj poruszają się te cząsteczki, im większą jest ich siła żywa, ich energia, tém cieplejszém jest ciało, które się z nich składa; im wolniejszym jest ten ruch cząsteczkowy, tém zimniejszém się ono wydaje. Gdy ruch ten się wzmaga, ciało się ogrzewa; stygnie, gdy ruch ten słabnie. Jakiego rodzaju jest ten ruch, możemy tworzyć tylko hypotezy mniéj lub więcéj uzasadnione; w każdym razie rozmaitość jego warunkuje rożnicę stanu stałego, ciekłego i lotnego (1).

II.

Wielkie teorye uderzają wielką prostotą. Jakkolwiek ogólnikowe i pobieżne są uwagi powyższe o teoryi mechanicznéj ciepła, pozwalają one zdać sobie sprawę z objawów cieplikowych, przy łączeniu się ciał zachodzących.

Łączenie się chemiczne ciał polega oczywiście na zbliżeniu, skupieniu rozdzielonych poprzednio, różnorodnych atomów. Atomy, które poruszały się zgoła niezależnie jedne od drugich, po połączeniu się wzajemném, skupione w jednę cząsteczkę, mogą odbywać

(1) Ob. Ateneum z r. 1883, t. III, str. 370 „*O budowie wewnętrznéj gazów.*

ruchy w ciaśniejszych już tylko granicach. Gdy węgiel płonie, z atomów węgla i tlenu powstają cząsteczki kwasu węglanego; wyobrazić tu sobie wolno, że atomy węgla wystawione są jakby na bombardowanie atomów tlenu, a jak przy każdém zwykłém uderzaniu praca mechaniczna przeobraża się w ciepło, tak tu mamy zamianę, powiedzieć można, pracy chemicznéj w ciepło.

Jaśniejszém wyda nam się to jeszcze, gdy wyobrazimy sobie, że idzie o rozdzielenie chemiczne związanych atomów, że cząsteczkę kwasu węglanego rozerwać mamy na węgiel i na tlen; trzeba tu oczywiście użyć znacznego nakładu pracy, aby pokonać wzajemne przyciąganie się cząsteczek, które zmusza je do poruszania się w oznaczonych tylko granicach. Potrzebny do tego zasób pracy dostarczymy im najdogodniéj w postaci ciepła; rozkład więc związków chemicznych wymaga doprowadzenia z zewnątrz ciepła, które tu przechodzi w pracę chemiczną.

Przy łączeniu się tedy ciał następuje w ogólności wywiązywanie, przy rozkładzie ich wiązanie się ciepła; jest-to zasada *równoważności pracy chemicznéj i ciepła*, odpowiadająca zupełnie równoważności pracy mechanicznéj i ciepła; ilość ciepła, wywiązująca się przy jakimkolwiek procesie chemicznym stanowi miarę wykonanéj przytém pracy chemicznéj.

Wywody te daléj jeszcze prowadzić możemy; należy nam jednak odwołać się do przykładu dostępniejszego. Aby ciężar podnieść w górę, trzeba było ponieść nakład pewien pracy; praca ta jednak straconą nie została, przechowuje się ona w owym ciężarze, który teraz na podporze jakiejkolwiek spoczywa. W ciężarze tym mamy złożony pewien zasób siły, energii; w téj chwili jest ona jakby uśpioną, jest potencyalną, możliwą tylko, ale w danéj chwili działanie swe istotne ujawnić może. Dosyć usunąć podporę, a ciężar spada; energia możliwa, potencyalna zamienia się w istotną, w energię ruchu, w siłę żywą. Co tu na prostym przykładzie, odbywa się w przyrodzie wszędzie; przy każdym objawie fizycznym, chemicznym, życiowym wreszcie, mamy ciągłe przeobrażanie się energii potencyalnéj w energię ruchu, lub nawzajem siły żywéj, energii, ruchu w energię potencyalną.

Powinowactwo chemiczne ciał różnorodnych jest właśnie taką energią potencyalną, taką siłą prężną, do działania gotową. Jak w ciężarze na podporze złożonym, tak i w rozdzielonych atomach węgla i tlenu mamy przechowany zasób pewien pracy; ujawni się on, skoro usuniemy hamujące działanie jego przeszkody. Gdy szło o ciężar podniesiony w górę, przeszkodą taką była podpora; gdy mowa o energii chemicznéj, przeszkody są innéj natury. Aby atomy

i cząsteczki uledz mogły złożonéj w nich energii potencyalnéj, występującéj tu w postaci powinowactwa chemicznego, muszą być rozmieszczone swobodnie i znaleść się w sąsiedztwie atomów i cząsteczek innego ciała; obie zatém części składowe, wchodzące w związek winny być przeprowadzone w stan znacznego rozdrobnienia, pospolicie przez rozpuszczenie lub stopienie, a często i ogrzane dla podsycenia ruchu atomów i cząsteczek. Wtedy dopiero siła prężna, czyli energia potencyalna powinowactwa chemicznego ujawnić się może i przechodzi w siłę żywą, która tu jako ciepło występuje.

Analogią z ciężarem daléj prowadzić możemy. Im kamień wyżéj wzniesiony został, tém wyższy przechowuje zasób pracy; a spadając z bardziéj wyniesionego położenia, przebiedz ma drogę większą, osiągnie więc przy spadku znaczniejszą chyżość, rozwinie wyższą siłę żywą: siła ta żywa spadku jest miarą energii potencyalnéj w ciężarze owym przechowywanéj. Energia potencyalna, która się przy procesach chemicznych objawia, jest powinowactwo chemiczne,—im jest ono silniejszém, tém większą wytworzyć może siłę żywą, tém znaczniejszą ilość ciepła wzbudzi. Wypływa ztąd, że ciepło wywiązujące się przy oddziaływaniach chemicznych, stanowi miarę powinowactwa chemicznego łączących się substancyj.

W ten sposób uwagi powyższe prowadzą do doniosłych wniosków teoretycznych; powinowactwo chemiczne, które stanowiło pojęcie, wymykające się jasnemu określeniu, nabiera znaczenia ścisłego, staje się siłą, któréj wielkość ocenić się daje z ilości wywiązującego się przy połączeniach ciepła.

Jak powiedzieliśmy wyżéj, dawno już, zanim rozumiano teoretyczne tych objawów znaczenie, starano się poznać ilość ciepła, wywiązującego się przy reakcyach chemicznych. Metody do tego celu służące, jakkolwiek różne w przeprowadzeniu, polegają na jednéj zasadzie. Gdy idzie np. o ciepło powstające przy spaleniu węgla, to jest przy połączeniu się jego z tlenem, palimy odważoną jego ilość w kalorymetrze tak urządzonym, że gaz, będący wytworem tego spalenia, przebiega przez rurę w wężownicę skręconą, która się mieści w odważonéj również ilości wody. Gdy zachowano tu wszelkie ostróżności, aby powstałe ciepło nie ulegało ubocznéj stracie, wtedy wszystko przechodzi wyłącznie na ogrzanie powyższéj ilości wody, a z przyrostu jéj temperatury obliczy się ilość wytworzonego ciepła. W taki sposób z doświadczeń Favre'a i Silbermanna, Andrewsa, Thomsona i innych okazuje się, że spalenie kilograma wodoru wytwarza około 34.000 ciepłostek, czyli wydaje ilość ciepła, wystarczającą do ogrzania 34,000 kilogramów wody o 1^0, albo, co na jedno

wychodzi, 340 kilogramów o 100°. Kilogram węgla przy spaleniu wydaje znacznie już mniejszą ilość ciepła, około 8,000 ciepłostek.

Liczby te mówią jasno, jak olbrzymi zasób energii przechowuje się w formie powinowactwa chemicznego. Połączenie jednego kilograma wodoru z tlenem wytwarza 34,000 ciepłostek, czyli, na zasadzie równoważności ciepła i pracy, 34,000 $\times$ 424, t. j. około 15 milinionów kilogrametrów; podobnież w każdym kilogramie węgla przygotowanych mamy, w postaci powinowactwa chemicznego względem tlenu, około 3½ milionów kilogrametrów pracy mechanicznéj.

Znaczenie praktyczne liczb tych okazuje się już z tego, że wszystkie nasze materyały opałowe są związkami węgla i wodoru; pod względem teoretycznym, na zasadzie wniosków poprzednio wyprowadzonych, stanowią one miarę siły powinowactwa chemicznego, występującego pomiędzy wodorem lub węglem z jednéj, a tlenem z drugiéj strony.

Rezultatem połączenia wodoru z tlenem jest woda, węgla z tlenem kwas węglany. Jak przy wiązaniu się atomów różnorodnych wywiązywała się siła żywa w postaci ciepła, tak znów dla rozerwania ich związku, dla rozłożenia wody lub kwasu węglanego trzeba ponieść odpowiedni nakład pracy, który przeto dla wody wyrazi się liczbą 15, dla kwasu węglanego 3½ miliony kilogrametrów; praca ta, ponieważ tu idzie o działanie na najdrobniejsze cząsteczki, dostarczoną być winna w postaci siły żywéj, polegającéj na ruchu najdrobniejszych cząstek, to jest w postaci ciepła. Jak łączeniu się chemicznemu ciał towarzyszy wywiązywanie się, oswobadzanie ciepła, tak znów rozkład następuje ze stratą, z wiązaniem się ciepła.

W tych właśnie ilościach ciepła poznaliśmy miarę siły powinowactwa chemicznego; zestawienie to nauka zaliczyć może do rzędu najważniejszych swych tryumfów. Siła niedawno jeszcze zagadkowa, staje się zrozumiałą, ulega ona ogólnéj zasadzie zachowania energii, jest tylko pewną jéj formą, przeobrażać się może w inne siły.

Tryumf ten wszakże na nieszczęście nie jest tak pełny, jak się w obrazie powyższym przedstawia; wywody nasze zbyt były śmiałe, zbyt pośpieszne przynajmniéj. Wszystka ilość ciepła, jaka się przy powstawaniu wody wywiązuje, tj. 34,000 ciepłostek w okrągłéj liczbie, nie tworzy się kosztem wyłącznie tylko powinowactwa chemicznego; zachodzą tu jeszcze działania uboczne, połączone również z objawami ciepła. Skoro mięszanina gazowa tlenu i wodoru po piorunującym wybuchu, który objawowi temu towarzyszy, przejdzie w parę wodną, objętość gazów natychmiast ulega zmniejszeniu; para ta, stygnąc, oswobadza ciepło, uwalnia je także, gdy w wodę

się skrapla. Okoliczności te fizyczne dobrze są znane i pod rachunek łatwo podciągnąć się dają, a po ich wytrąceniu na karb samego już tylko powinowactwa chemicznego pozostaje 29,000 ciepłostek. Czy jednak i tak zredukowaną liczbę wolno już naprawdę uważać za miarę powinowactwa?

Zjawisko łączenia się ciał różnorodnych nie zachodzi w sposób tak prosty, jakeśmy to wyżéj dla większéj jasności przedstawili; nie polega ono li tylko na wzajemném rzucaniu się ku sobie cząsteczek, na wiązaniu się swobodnych już zupełnie atomów. I w ciałach zupełnie jednorodnych, w pierwiastkach, atomy nie są rozrzucone luźno, ale wiążą się w skupienia, w cząsteczki czyli molekule. Chemia ma dowody wyraźne, że najdrobniejsza cząsteczka wody składa się z dwu atomów wodoru i jednego atomu tlenu i według symboliki swéj oznacza ją jako H_2O. Aby cząsteczka więc wody powstać mogła, nie dosyć, by atom tlenu uderzył o cząsteczkę wodoru,—musiał się on najpierw oswobodzić ze ścisłego związku, w jakim zostawał z drugim, pobratymczym atomem tlenu. Jeżeli pozwolimy tu sobie, dla uproszczenia, użyć symbolicznéj mowy chemika, to powiemy, że tworzenie się wody nie da się przedstawić przez równanie prostego połączenia $H_2 + O = H_2O$, ale jest następstwem przebiegu bardziéj zawiłego:

$$\left.\begin{matrix}H\\H\end{matrix}\right\} + \left.\begin{matrix}H\\H\end{matrix}\right\} + \left.\begin{matrix}O\\O\end{matrix}\right\} = \left.\begin{matrix}H\\H\end{matrix}\right\} O + \left.\begin{matrix}H\\H\end{matrix}\right\} O$$

co znaczy, że dwie cząsteczki wodoru z jedną tlenu wydają dwie cząsteczki wody.

Połączenie przeto, o którém tu mowa, poprzedzoném być musi przez rozpad cząsteczki tlenu, rozerwanie to wymaga nakładu pracy, ciepła; ostateczny więc rezultat, wyrażający się w oswobodzeniu 29.000 ciepłostek, jest różnicą między ilością ciepła wywiązującą się przy połączeniu atomów wodoru i tlenu, a ilością ciepła potrzebną do rozerwania atomów tlenu.

Tak samo powstawanie np. kwasu solnego z chloru i wodoru nie da się uzmysłowić prostym wzorem $H + Cl = HCl$, ale przedstawia się wyrażeniem:

$$\left.\begin{matrix}H\\H\end{matrix}\right\} + \left.\begin{matrix}Cl\\Cl\end{matrix}\right\} = \left.\begin{matrix}H\\Cl\end{matrix}\right\} + \left.\begin{matrix}H\\Cl\end{matrix}\right\}$$

co znaczy, że cząsteczki wodoru i chloru winny się najpierw rozbić na swobodne atomy, zanim te ostatnie zwiążą się w nowe cząsteczki kwasu solnego (chlorowodornego). Wywiązujące się przeto przy powstawaniu kwasu tego ciepło stanowi: ilość ciepła rozwijającą się

skutkiem połączenia wodoru z chlorem, zmniejszona o tę ilość, jaka się zużywa na rozkład cząsteczek wodoru i chloru.

Przytoczyliśmy tu przykłady najprostsze, w innych razach proces o wiele bardziéj być może zawiłym. Dostrzegamy więc tylko rezultat ogółowy, stanowiący sumę licznych objawów szczegółowych, fizycznych i chemicznych, których po większéj części ująć oddzielnie nie potrafimy. Zauważona przeto ilość ciepła, oswabadzająca się przy powstawaniu danego związku, uważaną być może za względną jedynie miarę sił fizycznych i chemicznych, przy procesie tym występujących, z któréj istotna wielkość wchodzącego tu głównie w grę powinowactwa chemicznego odcyfrować się dokładnie nie da. I w tym jednak zakresie dane termochemiczne przedstawiają ważne znaczenie, rozświetlając niejednę zagadkę w przebiegu procesów chemicznych.

Tak przedewszystkiém ostatnie uwagi podają tłómaczenie téj osobliwéj napozór sprzeczności, że niektóre połączenia chemiczne zachodzą nie z wywiązywaniem, ale owszem z pochłanianiem ciepła. Zjawisko takie następuje np. przy powstawaniu tlenku azotu; utratę ciepła zrozumiéć tu możemy, skoro zgodzimy się na to, że ciepło potrzebne do rozszczepienia cząsteczek tlenu przewyższa znacznie ciepło wywiązujące się skutkiem łączenia atomów azotu i tlenu, co innemi słowy znaczy, że powinowactwo cząstek azotu i tlenu jest słabszém aniżeli siła, z jaką trzymają się atomy tlenu między sobą. Jeżeli domysł ten jest słuszny, to nawzajem rozkład tlenku azotu połączonym być winien z wywiązywaniem się ciepła; znajduje to rzeczywiście popoparcie w tym dawniéj już znanym fakcie, że spalenie węgla w tlenku azotu wytwarza znaczniejszą ilość ciepła, aniżeli w czystym tlenie.

Podobnież utratę ciepła poznano przy powstawaniu acetylenu z węgla i wodoru, lub cyanu z węgla i azotu; utrata ta dziwić nas nie będzie, skoro zważymy, że utworzenie się tych związków wymaga, aby cząsteczki węgla przeszły najpierw w stan lotny i rozszczepiły się w oddzielne atomy, co pochłania znaczne ilości ciepla. Gdziekolwiek więc przy łączeniu się ciał zachodzi podobny, ujemny objaw, przyczyny tego dopatrywać należy w działaniach ubocznych, drugorzędnych; istotne łączenie się ciał zawsze prowadzi za sobą wywiązywanie, rozkład ich pochłanianie równoważnéj ilości ciepła, jak to po raz pierwszy w całéj ogólności wypowiedział Thomsen.

III.

Oznaczenie, za pomocą doświadczeń bezpośrednich, ilości ciepła towarzyszących różnym procesom chemicznym, napotyka czę-

sto nieprzezwyciężone trudności; okoliczność taka zachodzi np., gdy reakcya przebiega zbyt wolno, lub gdy powstające utwory zbyt są niestateczne i rozpadają się znów szybko. W takich razach, aby otrzymać dane tyczące się objawów cieplikowych, uciekać się trzeba do dróg pośrednich. Użycie dróg takich umożebnia inna zasada termochemiczna, którą również oprzeć możemy na analogii z podniesionym ciężarem. W ciężarze tym, jak już dobrze wiemy, złożony mamy pewien zasób energii, która się ujawni przy jego spadku. Gdy na drodze swéj napotyka podporę niżéj umieszczoną i na niéj się zatrzyma, zachowa on zasób energii już mniejszy; strata zależy od różnicy wysokości obu stanowisk, i to li tylko od téj różnicy. Strata ta będzie zawsze jednakową, czy to ciężar zbiegł po linii prostéj, czy przesunął się po desce pochyłéj, czy opisał jakąkolwiek drogę krzywą, czy wreszcie zniesiono go z przegrody górnéj na ziemię, by następnie podnieść go znowu na przegrodę dolną: strata energii jest jedynie wynikiem różnicy, jaka zachodzi między położeniem początkowém a końcowém, nie zależy zgoła od dróg pośrednich, jakie ciężar ten przechodził.

Cośmy tu o energii mechanicznéj powiedzieli, odnosi się słowo w słowo i do energii chemicznéj. Jeżeli więc mamy jakikolwiekbądź system ciał prostych lub złożonych i poddajemy go rozmaitym przeobrażeniom chemicznym lub fizycznym, to zachodzące przytém wywiązywanie lub pochłanianie ciepła zawisło jedynie od początkowego i końcowego stanu danego systemu, ale nie zależy zgoła od rodzaju i następstwa przeobrażeń pośrednich. To znaczy, że gdy z trzech pierwiastków A, B i C utworzyć mamy związek, to pod względem objawów ciepła jest rzeczą obojętną, czy łączymy najpierw A z B, a następnie z C, czy téż najpierw A z C a następnie z B, czy téż naraz wiążemy w całość A, B i C. Zasadę tę poprzéć by można licznemi przykładami, a, jak powiedzieliśmy, odwołujemy się do niéj, gdy doświadczenie bezpośrednie przeprowadzić się nie daje.

Idzie np. o to, aby oznaczyć, ile potrzeba jednostek ciepła do wypalenia gipsu, czyli do usunięcia wchodzącéj w skład jego wody krystalicznéj. Wodę tę gips traci tak powolnie, że żądanéj ilości ciepła bezpośrednio oznaczyć niepodobna, a zarówno niemożliwą jest i droga odwrotna, to jest oznaczenie ilości ciepła wywiązującéj się przy łączeniu z wodą gipsu palonego; trzeba więc uciec się do drogi pośredniéj. Rozpuszczamy mianowicie w wodzie gips palony i gips niepalony i obserwujemy zachodzące w obu razach objawy cieplikowe. Wychodzimy tu przeto z dwu różnych stanów początko-

wych, a dochodzimy do jednego stanu końcowego; różnica więc zaobserwowanych w obu razach objawów cieplikowych daje nam ilość ciepła potrzebną do przeprowadzenia jednego stanu początkowego w drugi, zatém gipsu niepalonego w palony.

Otóż według badań Hessa rozpuszczenie jednego kilograma gipsu palonego oswobadza 21,76 ciepłostek, rozpuszczenie zaś takiejże ilości gipsu krystalicznego, zatém zawierającego wodę pochłania 4,41 ciepłostek. Ponieważ w pierwszym razie mamy wywiązywanie, w drugim zaś utratę ciepła, różnica przeto obu objawów wyrazi się sumą obu powyższych liczb, 21,76+4,41,—co znaczy, że do wypalenia kilograma gipsu trzeba 26,17 ciepłostek. Liczbie téj nadać można zresztą znaczenie bardziéj dostępne, w praktyce bowiem pytać będziemy najczęściéj nie o to, ile ciepłostek wytworzyć należy do wypalenia stu, dajmy, kilogramów gipsu, ale ile węgla w tym celu zużyć trzeba. Odpowiemy na to, skoro przypomnimy sobie, o czém nadmieniono wyżéj, że spalenie kilograma węgla wzbudza około 8.000 ciepłostek; aby wytworzyć przeto 2617 ciepłostek, potrzebnych do otrzymania stu kilogramów gipsu palonego wystarcza 2617 : 8000 czyli około trzeciéj części kilograma węgla; kosztem więc jednego funta węgla wypalić można z górą 250 funtów gipsu,—ale, dodać należy, w piecu, któryby umożebniał zużytkowanie wszystkiego ciepła, bez żadnéj zgoła straty. Do doskonałości takiéj piecom naszym jeszcze daleko.

Przytoczymy tu inny jeszcze przykład zastosowania zasady termochemicznéj, o któréj teraz mówimy. Dulong, jeden z dawniejszych pracowników na polu kalorymetryi, wyraził pogląd, że przez spalenie jakiegokolwiek związku chemicznego, otrzymujemy tyleż ciepła, co przez oddzielne spalenie jego części składowych. Pogląd ten utrzymywał się długo, łatwo dostrzedz jednak, że jest on teoretycznie błędny, gdy bowiem raz spalamy oddzielnie pierwiastki A, B, C, a drugim razem związek ich ABC, ciepła wywiąże się mniéj o tę jego ilość, jaka się wytworzyła już przy łączeniu danych pierwiastków między sobą. Wniosek ten potwierdziły rzeczywiście badania Hessa, oraz Favre'a i Silbermanna; gaz błotny (CH_4) np. przy spaleniu wydaje 13.063 ciepłostek, gdy przez spalenie węgla i wodoru w ilościach, w jakich w związku tym zachodzą, otrzymujemy ich 14.607. Widzieliśmy jednak, że powstawanie innego węglowodoru, etylenu, połączone jest z pochłanianiem ciepła; dla tego też, jak łatwo przewidzieć, spalenie jego staje się źródłem większéj ilości ciepła, aniżeli oddzielne spalenie węgla i wodoru.

IV.

Najwyższy swój tryumf osiąga nauka, gdy przebieg zjawiska z góry oznaczyć, przepowiedzieć może. Widzieliśmy, że już powyższe zasady termochemiczne śmiałe te ruchy nauki umożebniają; plon jednak obfitszy zapowiada inne jeszcze twierdzenie, do którego prowadzi znów analogia do zjawisk mechanicznych.

Szczególnego znaczenia w nauce dzisiejszéj jest ta prosta uwaga, że ciężar w górze, na podporze umieszczony, spada sam przez się, skoro tylko podpora owa usuniętą zostanie; wznieść go jednak znów w górę bez nakładu pracy nie można. Zupełnie tak samo ciepło z ciała o wyższéj temperaturze samo przez się, przez promieniowanie lub przewodnictwo, przejść może do ciała posiadającego temperaturę niższą, znów jednak bez nakładu pracy nie da się przeprowadzić z ciała zimniejszego do cieplejszego. Toż samo powtarza się zupełnie i w dziedzinie objawów chemicznych; skoro połączenie chemiczne, po zbliżeniu pierwiastków, po ożywieniu ich ruchu cząsteczkowego, jedném słowem, po usunięciu tamujących przeszkód, raz się rozpoczęło, trwa już samo daléj, przy ciągłem wywiązywaniu ciepła, rozkłady chemiczne nie dokonywają się same przez się, dla przeprowadzenia ich trzeba nakładu pracy, ciepła. Co tu mówimy o połączeniach chemicznych, przyjmować zresztą należy, z ograniczeniem wyżéj przytoczoném, zachodzić bowiem mogą i połączenia, którym pochłanianie ciepła towarzyszy. Gdy zjawisko zachodzi szybko, a tem samém znaczne ilości ciepła wywiązują się nagle, temperatura podnosi się do znacznéj wysokości; takie reakcye chemiczne przebiegają w sposób burzliwy, a niekiedy połączone są z gwałtownemi wybuchami, jak to ma miejsce przy zapaleniu prochu lub przy połączeniu tlenu z wodorem. Działanie natomiast odwrotne, rozkład wody, odbywać się tylko może przy doprowadzeniu ciepła lub innéj formy energii, przebiega więc powolnie, bez wybuchu.

Raz jeszcze odwołać się musimy do zjawisk mechanicznych. Choć-by z doświadczeń najprostszych wiadomo, że ciało każde swobodnie zawieszone dąży do zajęcia położenia takiego, w którém znajduje się w równowadze stałéj; ma to miejsce wtedy, gdy środek ciężkości zajmuje położenie najniższe; ciało więc poruszone wtedy dopiero do statecznéj dojdzie równowagi, gdy środek jego ciężkości przebiegnie drogę wiodącą go do położenia najniższego, gdy poniesie ono największą, jaka przy danych warunkach jest możliwa, utratę energii, gdy wykona największą możliwą pracę. Gdy zasadę tę, którą zresztą w daleko ogólniejszy sposób wyrazić by można,

odniesiemy do atomów, poruszających się pod wpływem sił powinowactwa chemicznego, to możemy wyprowadzić wniosek, że dążą one do wytworzenia takiego związku, przy którym następuje największa utrata energii, przy którym zatém wywiązuje się największa ilość ciepła.

Znaczenie zasady téj, wyprowadzonéj przez Berthelota, ocenić łatwo, przy jéj bowiem pomocy możemy z góry przewidzieć przebieg każdéj reakcyi chemicznéj i przepowiedzieć jéj rezultat. Nie należy wprawdzie zapominać, że na przebieg reakcyi mają wpływ i czynniki drugorzędne, ale i mimo takiego ograniczenia zasada ta wartości swéj nie traci, pozwala bowiem w każdym razie oznaczyć przynajmniéj najprawdopodobniejszy wynik danego procesu.

Tak np. wodór z tlenem tworzyć może dwa różne związki, wodę i nadtlenek wodoru, czyli tak zwaną wodę utlenioną; przy powstawaniu jednak wody wywiązuje się znaczniejsza ilość ciepła, dla tego też przy łączeniu się tych pierwiastków prawdopodobniejszém jest utworzenie się wody, aniżeli wody utlenionéj, a przewidywanie to znajduje potwierdzenie w doświadczeniu.

Powstawaniu chlorowodoru towarzyszy dosyć znaczne wywiązywanie się ciepła; jodowodór natomiast należy do tych związków, których powstawanie połączone jest z pochłanianiem ciepła; dla tego też, gdy wodór, chlor i jod nawzajem na siebie działają, daleko prawdopodobniejszém jest, że dwa pierwsze pierwiastki połączą się między sobą w chlorowodór, aniżeli, że się jodowodór wytworzy. I ten wniosek zupełnie się z doświadczeniem zgadza.

Szczególnie też kłopotu wiele sprawiały chemii reakcye, zachodzące przy działaniu kwasów na sole; na zasadzie dopiero danych termochemicznych zawiłe te okoliczności wyjaśnić się dały. Trudności mają tu źródło w tém, że przy działaniach tych wywiązują się w ogólności nieznaczne tylko ilości ciepła, dla tego na rezultat ostateczny ważny wpływ ma masa użytego ciała. Tak np. kwas azotny, działając w nadmiarze na siarczan sody, wyrugować może kwas siarczany zupełnie z tego ostatniego związku, gdy wszakże występuje w ilościach mniejszych, usuwa go tylko w części. Rozważenie objawów cieplikowych, zachodzących w różnych tych przypadkach, różnice te tłómaczy.

Gdyby nam zresztą wolno było mnożyć cytaty liczebne, dostrzedzbyśmy w nich mogli niejeden jeszcze szczegół uderzający. Powiemy tylko jeszcze, że gdy różne związki chemiczne przedstawiają analogią co do swéj budowy wewnętrznéj, tam i zachodzące objawy cieplikowe osobliwą zgodność okazują, a okoliczność ta badaniom teoretycznym nowe zgoła drogi wskazuje.

V.

Pomijając jednak inne kwestye, które się tu nasuwają, zatrzymać się jeszcze krótko winniśmy nad objawami cieplikowemi, które wynikają z przeobrażeń chemicznych, w łonie ciała zwierzęcego zachodzących. Nikt zapewne dziś już nie sądzi, że organizm ludzki lub zwierzęcy sam przez się ma możność wytwarzania siły; objawy życiowe stanowią tylko zawiłą sprawę przeobrażeń materyi i energii,—jak materyą, tak i siłę organizm czerpie z zewnątrz. Jak w maszynie parowéj zasób energii chemicznéj, złożonéj w węglu, przeobraża się w ciepło, a w dalszym ciągu w pracę mechaniczną, tak i w istocie żywéj nieprzerwany ciąg tych przeobrażeń kolejno następuje. A jak to jasno określił Mayer, twórca teoryi mechanicznéj ciepła, tak niedawno prowadzone doświadczenia wykazały bezpośrednio, że przemiana ciepła w pracę za pośrednictwem mięśni zwierzęcych dokonywa się według tegoż samego co wszędzie i zawsze stosunku; równoważność ciepła i pracy trwa tu w swéj mocy, jedna ciepłostka, jak w maszynie parowéj, wytwarza i tu 424 kilogramometrów pracy.

Praca, jaką wykonywamy, jest przeobrażoném ciepłem, a już od czasów Lavoisiera źródło tego ciepła przestało być tajemnicą. W organizmie, jak w piecach naszych odbywa się istotne palenie, jakkolwiek nie towarzyszą mu objawy ognia i światła. I co do materyałów nawet opałowych, w obu tych, tak napozór różnych sprawach, istotnéj niéma różnicy, bo i pokarmy nasze także przeważnie z węgla i wodoru się składają,—w jednym i drugim razie głównie też same wytwarzają się produkty spalenia,—kwas węglany i para wodna.

Pod względem składu chemicznego pokarmy nasze rozpadają się na dwie grupy, a to stosownie do tego czy w skład ich wchodzi, obok węgla i wodoru, azot, czy też od tego ostatniego pierwiastku są wolne; mamy pokarmy azotowe, jak mięso i pokarmy bezazotowe,—mączkę, cukier, tłuszcze. W czasach, gdy działał Liebig i kreślił prawa chemii fizyologicznéj, zasada zachowania siły, równoważności ciepła i pracy, znaną jeszcze nie była; wtedy też mógł ten chemik znakomity wypowiedzieć pogląd, że pokarmy azotowe dostarczają organizmowi zwierzęcemu zasobu pracy, bezazotowe zaś są dlań źródłem ciepła. Mniemanie to dotąd jeszcze jest dosyć rozpowszechnione; w obec teoryi mechanicznéj ciepła nie ma ono żadnéj zgoła podstawy, zasób bowiem ciepła złożony w materyałach bezazotowych równie jak w azotowych w pracę przeobra-

żać się może. Ważność pokarmów bezazotowych podnosi się nawet z tego względu, że spalenie ich, w organizmie, czy na zewnątrz organizmu, wytwarza większe ilości ciepła, aniżeli spalenie pokarmów azotowych; co większa, okazało się nawet, że rozkłady ciał azotowych nie wystarczają w wielu razach do wytworzenia pracy, przez organizm zwierzęcy produkowanéj.

Uwagi te przemawiają na korzyść amatorów wegetaryanizmu, bliższe jednak zastanowienie wykazuje niedostateczność pożywienia wyłącznie roślinnego. Nietylko bowiem dostarczany materyał pracy, ale i same jéj narzędzia—mięśnie nasze, zużywają się bezustannie, a są one właśnie z materyałów azotowych zbudowane, odtworzenie ich wymaga odpowiednich części składowych. Prócz tego substancye azotowe odgrywają ważną rolę przy rozprowadzaniu tlenu po naszym organizmie; tlenu, bez którego przecież nastąpić nie może palenie, nie wytworzy się ciepło i praca. Pośredniczką mianowicie roznoszenia się tlenu jest krew, a raczéj ciałka krwi, przebiegające po tętnicach całe ciało, a jak i inne substancye pochodzenia zwierzęcego, krew w składzie swoim azot zawiera.

Pokarmy więc azotowe zachowują pełną swą wartość wobec bezazotowych, ale rozróżniać ich w duchu klasyfikacyi Liebiga już niepodobna, odkąd znamy prawa przeobrażenia się siły, energii,—energii, któréj ostateczne źródło stanowią dla nas zasoby ciepła, zbiegające się w blasku promieni słonecznych.

Urywamy tu uwagi, które w tém miejscu na inne pole poprowadzić-by nas łatwo mogły. Szło nam tu tylko o wykazanie treści i znaczenia nowéj nauki, którą, wsparci na pracach genialnych fizyków, wznieśli chemicy—Thomsen, Berthelot, Naumann. Chemia teoretyczna miała dotąd na celu wykrycie budowy wewnętrznéj związków,—była to statyka chemii; termochemia wykazuje siły powstawaniem związków tych kierujące,—ma ona znaczenie dynamiki chemii.

Stanisław Kramsztyk.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

N. Lubowicz. Istoria Reformacii w Polszie kalwinisty i antitrinitarii, po nieizdannym istocznikam. Warszawa 1883.

Praca niniejsza rozpoczyna się krótką przedmową, charakteryzującą dążność, kres i rozkład badania na części. Co do dwu ostatnich kwestyj, to autor w obecnie wydanym tomie rozważa dzieje reformacyi (a raczéj kalwinizmu i antytrynitaryzmu w Małopolsce) w dawnéj Polsce do ich punktu kulminacyjnego, który przypada na rok 1562—3. Początek reakcyi katolickiéj i upadek ruchu protestanckiego ma zająć tom następny. Autor w ciągu pracy trzyma się granic określonych już w tytule. „Ogólne jednak poglądy, wyrzeczone o reformacyi w Małopolsce, stosują się i do Wielkopolski,“ lubo tam przytułek znalazły głównie luteranizm i bracia czescy. Oto spostrzeżenie wyrzeczone przez autora, które nas wiedzie do rozważenia pierwszéj kwestyi, i przez nas i przez pr. L. z góry zaraz postawionéj.

Dążnością bowiem nazwaliśmy sposób zapatrywania się i objaśniania danych faktów.

„Odrębny, sobie właściwy charakter ma ruch reformacyjny w Polsce, zdaniem pr. L. Zjawiska, dające doń pobudkę; cel, sam przebieg oraz rozwój geograficzny są inne w Polsce niż na zachodzie Europy. Co więcéj; jest coś zagadkowego, jest masa sprzeczności w reformacyi polskiéj. Weźmy naprzykład choćby jeden fakt: szybki jéj rozwój i równie szybki upadek. Zadaniem téż pr. L. było wyjaśnić pozorne sprzeczności (każuszczyjasia pritwornosti) w dziejach polskiéj reformacyi, zbadać pojedyncze fazy ich, i dowieść, że ruch ten musiał się niepowieść.“

Rozwinięciu tego ogólnego poglądu autor poświęca pierwszy rozdział swéj pracy. Dalsze rozdziały traktują, na zasadzie bądź

znanych, bądź nowych źródeł, dzieje reformacyi w zakresie i kierunku zapowiedzianym.

Przyjrzyjmy się najprzód historyozofii autora.

Przy badaniu źródeł i przyczyn zaburzeń religijnych (zagaja pr. L. swój pierwszy rozdział), historycy szukają ich zwyczajnie w religijnym duchu społeczeństwa, w natężeniu jego wiary. Płoche, niemoralne życie kleru; zanik prawdziwéj, szczeréj wiary; przekształcenie się wreszcie jéj praktyk w martwy ceremoniał: są, zdaniem większości historyków, głównym bodźcem i pobudką społeczeństwom do ocknienia się z obojętności religijnéj i do zagłębienia się w wir zatargów z dotychczasowym porządkiem w kościele.

Pr. L. przyznaje, że wiara (*religioznoe czuwstwo*) gra ważną rolę w przewrotach religijnych, ale obok tego, powołując się na swoje studyum o reformacyi w Niemczech, oświadcza, iż zawsze z reformacyą religijną idzie w parze cały szereg prób, kuszących się o przetworzenie społeczeństwa w kierunku politycznym, społecznym i ekonomicznym; idzie nietylko w parze, ale i o wiele wyprzedza ruch religijny, któremu są one zupełnie obce. Wprawdzie jedne tak silnie się splątują z drugiemi, tak dążenia społeczno-ekonomiczne zabarwiają się kolorytem prądów religijnych, że tylko te ostatnie zdają się być duszą reformacyi religijnéj. Atoli, powiada pr. L., przewrót religijny jest tylko często pokrywką innego kataklizmu, jest barwą nie gruntem. Stąd wnosi autor, że niemożna pojąć znaczenia reformacyi kościelnéj w łonie żadnego narodu, bez zbadania poprzedzających ją zmian ekonomiczno-społecznych w ustroju tegoż narodu zachodzących.

To jest punkt wyjścia dla pr. L. i w badaniu naszéj reformacyi.

O ile godzi się sądzić, to podobna teza, uwzględniająca wszelkie czynniki życia zbiorowéj jednostki organicznéj, zwanéj narodem lub społeczeństwem, i sumująca ich grę w obrazie odtwarzającym tę grę całkowitą; taka teza, skupiająca napowrót w zrozumiałą i wyjaśnioną całość to, co tylko gwoli lepszemu zbadaniu, rozdzieliliśmy na części i wystudyowali odrębnie, jest jedynie prawdziwą, słuszną, jedynie wiedzie do celu, do poznania prawdy. Téj saméj tezy i z niéj płynącéj metody pozwoliłem sobie użyć i w mym przyczynku uzupełniającym do oceny pracy Ostroroga, która swemi różnorodnemi tendencyami wchodzi w zakres ruchów reformacyjnych, przez pr. L. traktowanych (1). Jestto konieczny rezultat pewnego

---

(1) Przyczynek ten nasz musi wyglądać jednostronnie, bo miał za cel wskazać *Jednę* kwestyą dotąd *nieporuszoną*. Stąd i konieczna jaskrawość faktów, niezłagodzoną równomiernem opracowaniem innych kwestyj.

wyłączniejszego studyowania przedmiotu danego z jednéj strony. Po odchyleniu się wahadła w jedną stronę, koniecznie następuje, czy w świecie ducha czy w świecie materyi, odskok równie silny (ścisły jedynie w próżni) w stronę przeciwną. Metoda podobna ma dziś zastosowanie bardzo rozległe. Wkracza nawet w zakres dziejów chrystyanizmu wogóle. Jakkolwiek tedy nie jest nowością wogóle, pożądaném jest jéj zastosowanie i w dziejach naszéj reformacyi.

By udowodnić swe założenie, prof. L. daje krótki rys kształtowania się stosunków między stanem świeckim a klerem w Polsce przed wybuchem reformacyi, i ustala paralelę tych stosunków ze stanem rzeczy w czasie reformacyi.

Najprzód wskazano, jak szlachta uzyskiwała prawa polityczne wyłączne (przywileje) od 1375—1501. Tu musimy zauważyć, że autor uwiedziony frazeologią, powstałą w niedawnych czasach, posługuje się wyrazem „pany,“ jakby synonimem wyrazu szlachta, (por. str. 285) a jednocześnie doskonale widzi, że termin ten, służący w dawnéj Rzpltéj baronom, dostojnikom, magnatom (por. pan krakowski zam. kasztelan), oznacza *wyszeje dworjaństwo* jak się wyraża. Stąd powstaje zamęt z nieodróżnienia gminu szlacheckiego od arystokracyi szlacheckiéj, w dziejach walk o przywileje (str. 2—8). Autor np. zdaje się odróżniać peryod zyskiwania przywilei przez *panów* (magnatów) do r. 1501 przyczem „każdy z tych edyktów zapewniał jednocześnie prawa i wolności *całéj* szlachty.“ Po tém idzie niby peryod walk wynikłych, przez budzenie się „pośród *saméj szlachty*“ (czy także panów-magnatów? nie chyba) zachcianek swobody politycznéj. Źródłem zachcianek tych i prób szlachty były: *a*) przemiana charakteru wojennego na gospodarczy, i łączące z tém niezwykłe dotąd zajęcie się administracyą, sądem, skarbem itd. oraz niechęć pozostawiania nadal rządu kraju po dawnemu w ręku „panów.“ *b*) I „sama klasa panów“ podnieca do życia politycznego „szlachtę,“ od czasów Ludwika.

Ta frazeologia, słusznie wyróżniająca stan panów wśród szlachty od mas szlacheckich, potępia dzisiejsze, drwiące, a w każdym ra-

---

Przy sposobności dołączamy uzupełnienia znalezione przez nas po źródłach t. II, Ateneum str. 24. Sędziwój Ostroróg żyje jeszcze w środę przed S. Małgorzatą 1441 (ks. Gacki *kościół i klasztor benedyktynów m. św. Krzyżu* str. 217 N. 23).

Str. 26 n. 1. O Barbarze żonie Jana z Czyżowa i kilku wsiach tegoż (Helcel II N. 3561) n. 2 poprawić 23 czerwca 1432 (*Brysur.* C, P. II 849) i dodać Łukaszewicz (*Opis pow. krotosz.* wyd. pośmiert. II. str. 240 n.) 1448 r. Stanisław Ostroróg jest kasztelanem w Międzyrzeczu i starostą W. polskim, a Dobrogost jego frater germanus kasztelanem kamieńskiem.

zie niewłaściwe w pracy, gdzie chodzi o ścisłe określanie zjawisk, użycie niby synonimów wyrazów „pan“ i „szlachcic,“ obok ściślejszego a innego onych zastosowania w pracy pana L.

Powiedzielibyśmy, że ta nowoczesna frazeologia, tchnąca pewnemi uprzedzeniami nienaukowemi, skłania mimowoli czytelnika do nieufności w zasadniczość dalszych spostrzeżeń, którym zkądinąd słuszności w pewnéj mierze trudno zaprzeczyć. Wbrew chęci, czytelnik niedowierza dalszéj charakterystyce ruchu przed reformacyjnego w Polsce, usuwającéj z niego działalność pobudek naukowych, kładącéj nacisk na ekonomiczną tylko racyą walki stanu świeckiego i kleru u nas.

Słusznie autor wskazuje, że zmiana w sposobie zajęcia się szlachty, to jest bliższe i gorliwsze oddanie się gospodarstwu, sprowadziło zamianę kmieci w poddanych, w inwentarz żywy warsztatu rolnego szlachty; oraz że troska o wyłączne korzyści ekonomiczne była wyrokiem śmierci dla mieszczan i praw ich. Z tych premis wynika logiczny wniosek, że tylko kler mógł politycznie i ekonomicznie walczyć ze szlachtą; autor też oświadcza, że już od półtora wieku szlachta kusi się o zdławienie swego przeciwnika, ale dopiero reformacya najlepszém stała się po temu narzędziem walki (str. 11).

Z kolei sz. autor przechodzi do charakterystyki rozwoju kleru, by uzasadnić dwa dalsze twierdzenia, podające specyalne nasze (jego zdaniem) znamiona reformacyi w XVI w. w dawnéj Polsce.

Piewszém znamieniem ma być brak antytezy do papiestwa, gdyż król (władza świecka) nie papież ma przewagę nad kościołem w Polsce, czy to w kwestyi obioru naczelników dla kleru polskiego, (zaczyna autor cytatą r. 1382 kończy zaś uchwałami 1540 przeciw kortyzanom) czy też w kwestyi opłat pieniężnych dla Rzymu. Niema tedy presyi ze strony papieży, i nasz kościół bez wysiłku i walk (str. 11) od początku jest „narodowym“; na tym punkcie reformacya nic nowego niedorzucała, reakcyą antypapieską w Polsce zwać się niemogła.

Powtóre już w XV w. duchowieństwo ma posiadać wszystkie prawa i przywileje (str. 20), ma imunitat wojenny, sądowy, podatkowy. Rownolegle za to ze szlachecką zaczyna się troska ekonomiczna kleru „I rzeczywiście (mówi autor str. 25) pierwszą i główną przyczyną walki między szlachtą i klerem jest starcie czysto ekonomicznéj natury. Walka ta poczyna cię w końcu XIV w., wzmaga się w XV w., przechodzi zaostrzona wielce do wieku XVI.“

Powtarza to zdanie autor na str. 52 w formie dokładniejszéj. „Główną przyczyną waśni szlachty z klerem jest zazdrość pierwszéj

o dobrobyt materyalny drugiego i niechęci wielu ponoszenia jedynego, stałego a znacznego podatku na korzyść kleru tj. dziesięciny.“ Wymagania kleru w tym punkcie dolewają oliwy do ognia. Wiek XVI zmianę sprowadził w walce taką, że szlachta przewagę brać zaczynała, a król przestał kler popierać już od połowy XV w. Walka daléj toczy się w w. XVI na sejmach, ale programu swego (znieść opłaty na rzecz kleru, obrócić część jego mienia na rzecz państwa), szlachta bądź cobądź nieśmie jasno sformułować nawet za reformacyi (str. 38) mimo wytrwałości w dążeniach, a wniesienie na sejmy kwestyi granic jurysdykcyjnych i służby wojennéj kleru, niezażegnywa bynajmniéj walk konstytucyjnych (str. 40).

W każdym razie (str. 42) dzieje reformacyi w Polsce są dalszym ciągiem walki wieków poprzednich, toczącéj się między szlachtą a klerem polskim.

Na dwu ostatnich stronnicach tego historyozoficznego rozdziału pierwszego (str. 43—45) pr. L. stawia kilka uzupełniających twierdzeń.

Więc najprzód sądzi, że mimo umysłowéj wspólności między Polską a Zachodem, Rzplta sympatyzuje raczéj z humanizmem włoskim, uwielbia klasycznych autorów, dąży do nabycia stylu klasycznego, ale wbrew humanistom niemieckim, nieposługuje się swą wiedzą starożytniczą, humanistyczną do celów religijnych.

Jako drugi pewnik stawia pr. L. fakt, że niebyło u nas danych (presyi papieskiéj, indeferentyzmu włoskiego w religii) do wytworzenia się wielkiego interesu dla kwestyj kościelno-religijnych, za czem poszedł brak wybuchów fanatyzmu, znanych gdzieindziéj, oraz tem tłómaczy nikłość, krótkotrwałość ruchu reformacyjnego w Polsce.

Nareszcie autor przeczy wszelkiemu związkowi naszéj reformacyi z husytyzmem. By złączyć genetycznie następujące po sobie objawy życia umysłowego lub religijnego narodu w jedną całość trzeba zdaniem autora, dowieść, że obie generacye karmiły się jedną strawą duchową, albo że przynajmniéj za istnienia obu też same przyczyny istniały.

Otóż husytyzm miał w Polsce przed 1450 r. mieć niewielu zwolenników, a i ci kierowali się tylko pobudkami politycznémi w jego przyjęciu i wyznawaniu. W drugiéj połowie XV rzadko (wedł. prof. L) gdzie zasłychnąć o husycie, a zresztą zawsze znajdzie się jakiś oponent religijny, co razem wzięte niepozwala twierdzić, by szlachta polska za czasów reformacyi żyjąca, wychowała się w tradycyach husyckich. Za tém przemawia okoliczność, że z razu bardzo niechętnie protestanci nasi patrzyli na braci czeskich w początkach ruchu.

Co do przyczyn, jakoby wspólnych husytyzmowi i reformacyi, to pierwszy miał cele polityczne, z których upadkiem i sam runął. Zresztą „charakter demokratyczny husytyzmu niemógł się podobać szlacheckiéj Polsce“ (str. 45). Przyczyny zaś warunkujące istnienie reformacyi u nas (ekonomiczne?) w XVI wieku, ledwo kiełkowały w epoce husyckiéj (w początku w. XV).

To zakończenie, o ile je rozumiemy, ogólnych wywodów sz. autora równie nie jasnym brzmi tonem, jak identyfikacya szlachty i panów w miejscu już wskazaném.

Dużo jest słuszności w poglądach pr. L., jak to już powiedzieliśmy powyżéj, ale na wszystkie ich punkty bez dyskusyi niemożna się zgodzić.

Na pierwsze spostrzeżenie, że reformacya w dawnéj Polsce ma inny charakter niż gdzieindziéj, niejeden z kreślących przed pr. L. dzieje jej zgodzić się musiał. Wszelako niemożna powiedziéć, żeby sz. autor wyczerpał wszystkie u nas, główniejsze przynajmniéj, objawy wielkiego ruchu emancypacyi ducha ludzkości od pęt, jakie uszanowanie dla zdobyczy wieków przeszłych kładło wszędzie na rozwijającą się coraz chyżéj i wszechstronniéj energią tego ducha, a jakie i u nas w wieku tak zwanéj reformacyi zrzucić się starano. Pojęcie właściwe reformacyi widać u prof. L. w zaliczeniu do niéj nietylko zjawisk religijnych, ale politycznych, społecznych, ekonomicznych.

Zastanawia jednak niemało, że reakcya *naukowa* przeciw autorytetowi, będąca téż jedném ze znamion reformacyi, została przez pr. L. wykluczona z jéj obrazu, choćby nawet w Polsce. Motywa téj ekskluzyi niemieszczą się, naszém zdaniem, w spostrzeżeniu o rodzaju kierunku naszego humanizmu obcego egzegezie teologiczno-filologicznéj. Zresztą i tu zrobić można pewne ograniczenie ogólnego sądu pr. L„ godząc się zresztą nań. Dość tu przypomnieć działalność Kochanowskiego, którego prawowierności zachwianéj krytycznym przekładem psalmów, bronił potém Kochowski (co do filologii p. Statoryjusza gramatykę polską). Co do reakcyi naukowéj u nas przeciw autorytetowi mądrości wieków zeszłych, jaką była reformacya w jednéj ze swych cech, to ona u nas istnieje i w formie bardzo charakterystycznéj, samodzielnéj, i może dlatego niezaliczonéj do znamion reformacyi ogólnéj, choć niewątpliwie do niéj należy. Mówimy tu o poważnym ruchu w zakresie nauk ścisłych, jaki wyprzedza w dawnéj Polsce wszelką reformacyą inną, i który bez śladu ginie, jakby na zasadzie teoryi „zachowania sił“ za pojawieniem się innych kierunków reformatoryjnych w nauce.

Matematyka pod koniec XV wieku tak kwitnęła w Krakowie, że ściągała nawet cudzoziemców. Wojciech z Brudzewa (t: 1493) uczeń wiedeńskiego astronoma Penerbacha i Regiomontana, wykształcił w swéj nauce niejednego głośnego w XV w. męża. Dla matematyki przyjechali, 1489 r. Konrad Celtes, słynny humorzysta ze Strasburga, frańciszkanin Tomasz Murner (r. 1499), Jan Turmair albo Awentyn, (r. 1501) równie głośny historyk bawarski Hartmann Schedel, autor *Chronicon mundi* wyszłéj 1493 r. w Norymberdze, spółczesny mówi wyraźnie: W podle tego świętego przybytku (kościoła św. Anny) wznosi się ogromna, słynna szkoła, obfitująca w wielu znakomitych mężów, gdzie wiele sztuk wyzwolonych pielęgnują. Nauka wymowy, poezyi, filozofii i fizyki, *najbardziéj zaś kwitnie astronomia a w całych Niemczech*, jak mi dokładnie wiadomo z udzielonych mi przez wielu doniesień, *niema nad nią sławniejszéj*.“

Świadectwo to ze względu na Polskę, na głośnych jéj wychowańców krajowców, potwierdza się chlubną rolą Marcina z Olkusza ucznia Wojciecha z Brudzewa, jaką odegrał w zażądanéj 1515 przez Leona X reformie kalendarza, na które to żądanie dana już wtedy odpowiedź *Nova calendarii romani reformatio* na lat kilkadziesiąt wyprzedziła projekt Ludwika Lilio, urzeczywistniony 1582 przez Grzegorza XIII. Jan z Ludziska (zapisany do uniwersytetu 1418, bakałarz 1422, magister 1424, żyjący 1441), po którym obserwatoryum astronomiczne w Pułkowe posiada rękopis (*Tabule rev. Magistri Joh. de Lineriis scripte per mag. Joh. de Ludzisho anno 1424*) zostawił téż i mowę, będącą jakby echem świadectwa Schedla: „Któreż to miasto w tym czasie, w większéj części Niemiec, czy to powagą, czy nauką, czy liczby, czy dostatkiem uczonych, mniemacie słynniejszém i świetniejszém nad ten nasz sławny Kraków, który zamieszkujemy, który zdaje się został matką nauk i jakoby żywicielką cnót całych Niemiec... Któreż miasto może się porównać mądrością, ludzkością i innemi ozdobami z Krakowem? gdzieby taka się znalazła szlachetnych uczniów mnogość, zbieg i zgromadzenie?“

Nie można milczeniem pominąć i Marcina z Przemyśla (Żyrawio), z przydomkiem Rex, fundatora katedry astrologii około r. 1450, choćby dla téj fundacyi saméj, która, bądź co bądź, świadczy o wysokiém zajęciu się Polaków gwiazdami, choć-by fałszywie ich wpływ ściągając do medycyny, wypadków życia potocznego itd. Jest-to bądź co bądź zawsze dowód śmiałości, niekwadrującéj z chrześciańskiém bezwzględném poddaniem się woli tajemniczéj nieba, chcieć wedrzéć się w sekreta przyszłych jego widoków; nawet urojenie, że można naprzód poznać wolą Bożą ze zdradzających ją gwiazd ugru-

powań, jest zuchwałem śledztwem, jest prawie świętokradzką ciekawością. Takie przynajmniéj na nas pierwsze wrażenie robi sam pomysł astrologii, co nieprzeszkadza ujemnemu, zabobonnemu jéj późniéj wpływowi. W każdym razie dodajmy, że rok 1562 w tymże uniwersytecie krakowskim był świadkiem polemiki, któréj dał powód dr. Stanisław Picus Zawadzki, zbijając właśnie błędne mniemanie jakoby Hipokrates i Galen łączyli medycynę z astrologią, odrzucając lekarską skuteczność amuletów, zażegnywań itd.; świadkiem polemiki, głoszącéj zasadę samodzielności badawczéj, zuchwałéj, podnoszącéj głowę przeciw obowiązkom ślepego ulegania starożytnym powagom.

Fakt téj opozycyi tém ciekawszy, że ją podzielił cały fakultet lekarski uroczystém wyparciem się zdań konserwatywnych, astrologiczno-lekarskich swego dziekana Feliksa Pyeprskiego. Dla oceny ważności tego faktu może i to będzie nieobojętném przypomnieniem, że cały skład uniwersytecki nosił, od jego reformy przez Jagiełłę, sukienkę duchowną, krępującą swobodny polot ducha badań, odstępstw od zasad i wiar przeszłości. Słusznie téż to odstępstwo Zawadzkiego, nagrodzone zostało przez Zygmunta Augusta w r. 1572 nowym herbem „Herkules", wielce charakterystycznym, bo darzącym za „prace umysłowe, rzeczywiście Herkulesowe (*vere Herculeos ingenii susceptu labores*), w których jak najlepiéj, ale i najtrudniéj odznaczyć się", a wyrażał „Herkulesa paszczękę lwa rozdzierającego".

Trzeba wreszcie przypomniéć, że ten herkulesowy zamach Zawadzkiego, budzący w uherbiającym królu życzenie, by miał jak najwięcéj naśladowców, przypada tylko w dwa dziesiątki lat po wyjściu na świat równie herkulesowéj pracy wychowańca tegoż samego uniwersytetu krakowskiego Mikołaja Kopernika *De revolutionibus orbium coelestium libri VI* (w chwili prawie zgonu autora r. 1543).

Jeżeli Zawadzki porzucał więzy astrologii krępujące medycynę, to Kopernik przed nim zrywał z całą mądrością astronomiczną wieków średnich. Jako ksiądz, jako dosłowny wykładacz tekstów świętych, natchniony i kierowany w ich tłómaczeniu przez ojców kościoła, stawał Kopernik wbrew uświęconéj tradycyi słów Jozuego, czém przekonanie przeszłości obraca się w niwecz; doświadczenie zaś jednostki, na własnéj pracy dumnie oparty wyrok samoistnego rozumu, śmie się przeciwstawić temu głosowi wieków i powag; śmie poddawać wynik składany powag wiary, nawet codziennego doświadczenia zmysłów, powadze wyższéj rachunku, abstrakcyi od uprzedzeń.

Może niedość silnie określamy krok frauenburskiego kanonika; w każdym razie sądzimy, że czytelnik zrozumie z powyższego tę myśl, iż reforma astronomiczna księdza Kopernika, zadająca kłam powadze Biblii w dotychczasowém gwiazdarstwie, jest herezyą naukową bogdaj że równą Lutrowéj w zakresie dogmatyki i ceremoniału religijnego. Kanonik frauenburski i mnich augustyański zarówno burzą gmach wiary i form usadowiony na tekście Pisma Świętego. Może nawet Luter mniéj szwanku czyni, bo bierze ten tekst za podstawę swéj reformy, odrzuca tylko pracę egzegetyczną następnych pokoleń. Kopernik tym czasem kładzie granicę między wiarą a wiedzą, źródłom pierwszéj odmawia tego charakteru w stosunku do drugiéj. Kopernik nietylko jak Luter, przeciwstawi sąd własny każdéj nowéj generacyi sądowi ubiegłych wieków, więc nie tylko wygłasza zasadę wolności zdania, swobody i niezależności umysłowéj, ale nadto wyraźnie orzeka, że sfera umysłów i uczuć jest zupełnie różną od sfery myśli i krytycyzmu. Luter, posiłkując się ostrzem humanizmu, rozbił skorupę wieków, wiążącą ducha ludzkiego i uzdolnił go do nowych polotów, ale niezapobiegł tworzeniu się nowych skorup, nowych więzów, nowych dogmatyk... protestanckich. Protestantyzm, będąc sam protestem przeciw więzom przeszłości, już w kolebce swojéj, pęta te gotował przyszłości, jak świadczy o tém niechętny stosunek Lutrów do Filipistów, jak spełzły na niczém kongres francuzki r. 1871 dowodzi bytu walki w protestantyzmie, między dogmatem a postępem.

Kopernik, heretyk nawet i w stosunku do humanizmu, bo lekceważący, druzgoczący jego ideały greckich i rzymskich astronomów, wytwarza dział pracy umysłowéj, nieznający zawad krępujących pochód myśli. Pewnik matematyczny to nie dogmat teologiczny, to nie kajdany, tylko szczudła ułatwiające ruchy. Rachunek, to cóś więcéj niż najbieglejsza egzegeza humanistów, filologów, filozofów. Rachunek, to nie Ikar tracący swe skrzydła pod tchnieniem przypadkowém innego tekstu, innéj składni, innego podkładu myślowego; to formuła zawsze stwierdzić, każdemu dowieść się dająca. w którą przestrzeń i czas (dwie formy bez których człek myśléć nie może), dadzą się ująć i uwięzić, w którą statystyka pęta już wolną wolę człowieka, a Buckle bieg historyi (ten wielki objaw dowolności Boga, wedle Bossueta, palcem ludzi i wypadki popychającego).

Jeśli to jest prawdą, co pisze dr. Oettinger w dziejach wydziału lekarskiego w Krakowie, a wątpić niémamy racyi, to mielibyśmy usprawiedliwienie i dla szczególniejszéj drogi, którą *protest ducha*, czy reformacya dróg jego dotychczasowych u nas sobie wybrały dla zamanifestowania swéj wolności i bytu, mianowicie przez księdza (Ko-

pernika) matematyka i dla naszego zestawienia jego Osso—Pelioń-skich zamachów matematycznych z „herkulesową“ próbą Zawadzkiego.

Dr. Oettinger mówi w powołanéj pracy, że w XV wieku da się więcéj powiedziéć o matematycznych niż ściśle lekarskich zasługach medyków, dla tego, że materyalnie (co do uposażenia) i *umysłowo* mniéj przeszkód doznawała matematyka niż sztuki lekarskie. Przeważny kierunek teologiczny, jego zdaniem, był „pobłażliwszy i mniéj podejrzliwy względem matematyków niż medyków“. To nam objaśnia, czemu w sukience duchownéj akademia krakowska i Frauenburg doczekały się heretyka i reformatora największego w Polsce, i czemu tym wyłomem przez Kopernika w fortecy nieomylności średniowiecznéj zrobionym, tak prędko wcisnął się lekarz Zawadzki, i zerwał śmiało z przesądną astrologią, mając przed okiem jasną postać astronomii nieśmiertelnego Toruńczanina. Chronologia (1535-40), a w części pobyt zagraniczny i wyraźny wpływ humanizmu na przekłady Strusia i Zimermana (Tektandra), dzieł Gallena i Hipokratesa z oryginałów dokonane, nie tak może silnie zestawiają tych dwóch lekarzy, jak Zawadzkiego, z prawdopodobną inicyatywą nowatorską Kopernika. W każdym razie godna to uwagi, jak nauka o *pulsie* Strusia, pożądanego z dwu stron Europy (przez Filipa II i Solimana), głośnego profesora we Włoszech, zjawiająca się po Koperniku, przypada na ten sam wiek co rzecz o przymiocie wielkiego syfilidologa polskiego, Wojciecha Oczka, co praca Latosa, matematyka, który wytknąć miał błędy reformy gregoryańskiéj kalendarza, co praca pierwsza polska o jeometryi Grzepskiego, uznającego swe rodzinne gniazdo Mazowsze za kolebkę mierników w swéj epoce jedyną. Dodajmy do tego jeszcze, szybko dopiero teraz pojawiające się tak zwane zielniki (*herbaria*), czy-to w przekładzie (z Cuby Hortus Sanitatis), dokonanym około r. 1542 wspólnie przez Stefena Falimina, Spiczyńskiego (1), czy oryginalne, jak Marcina z Urzędowa, Siennika itd.

Obejmując ten rejestr nazwisk i prac ogólnym rzutem oka, musimy przyznać, że popęd przez Kopernika nadany ruchowi umysłowemu w Polsce, w *kierunku ścisłym*, *eksperymentalnym*: nie umniejsza się w wieku XVI; że owszem rozwija się, choć wyżyny promotora niedochodzi. Niezapominajmy przytém, że Kopernik latami dzieciństwa zachodzi na koniec życia Długosza, więc pierwszego nie-

---

(1) Por. *Pamięt. Tow. Lekarsk.* w Warsz. 1883, studyum lekarza Kajetana Wróblewskiego i moją recenzyą u Paprockiego *Wiadom. Bibliogr.* 1883, Nr. 3.

mal pisarza ekonomicznego (*libri beneficiorum*) i poprzednika Karola Rittera, jak dowodzi Wincenty Pol, w sposobie pisania geografii. nie według podziałów przypadkowych, lecz na osnowie przyrodzonych systemów rzek i gór. Lubo zaś metoda upada (1), działalność geograficzna już nieustaje; w Sarnickim (że jego tylko wymienię) zyskuje pracownika geografia fizyczna; znamy téż i mapy polskie w XVI wieku.

Potém ogólna nastaje cisza... nierychło Kluk, Jundził, Śniadeccy itp. dają się słyszéć..... potém Hoene - Wroński i dzisiejsza epoka Dybowskich, Gosiewskich, Klugerów, Kubarych, Stoltzmanów. Ta cisza, powiększająca rozgłos imienia Kopernika, mimowoli zmusza pytać się i badać, czemu ten geniusz, ten wielki rewolucyonista zjawił się u nas, w wieku reformacyi? czemu humanizm niewywołał w Polsce takich objawów reformacyjnych jak gdzieindziéj? I na to zdaje się dr. Oettinger odpowiedział, a powyższe uwagi to rozwinęły, wykazując, że właściwym Lutrem u nas jest ksiądz - astronom Kopernik.

Zdaje nam się, że w ogólnym obrazie reformacyi u nas, skreślonym przez prof. Lubowicza téj jéj szczególności brakuje.

Wszakże jest tam nietylko ten usterek.

Sz. autor, cytując szeregi dat, uchwał i wypadków, cechujących walkę świeckich z klerem w Polsce, wnioskuje z nich, że skoro ta walka istniała przed reformacyą, i rozgrała się nawet przed nią na korzyść świeckich, a zatém żaden z bodźców właściwych reformacyi na zachodzie, u nas za specyalny jéj i to nowy uchodzić nie może. Jak się jednak wyraża dosłównie prof. L. (str. 53) „Pojedyńczych osób, które niezgadzały się z wielu dogmatami katolickiemi, jest w Polsce dosyć i *to dużo wcześniéj* przed wystąpieniem Lutra (prof. Wendenscius *Slavonia reformata*, str. 72, 73, 74, Kautz *Religionis evangelicae in Polonia fata*. Bamburgi 1783, str. 9 n. 2) i w zaostrzonych stosunkach stanowych kleru i świeckich, racya ich była zrozumiała (pry wraždiebnych otnoszeniach mieždu swietskim i duchownym sosłowjami w Polszie, pojawlenje ich wpołnie poniatno).

Wyraźne świadectwo Węgierskiego (*Anno 1540 et nonnihil* supra), cytowane obok tamtych przez prof. L. (str. 61 i. 1), jednak nieużytkowane, już trochę przeciwi się opóźnieniu chronologicznemu (do 1540) wybuchu reformatorskiego w Polsce.

Jak daléj negować byt ruchu religijnego reformatorskiego w Polsce, kiedy, jak słusznie ksiądz Bukowski wyraża się (*Dzieje re-*

(1) Por. jednak Broscyusza Krasińskiego.

formacyi w Polsce. Kraków, 1883, I. roz. 2. „reformacya") „najpierwszym reformatorom kościoła (pojętego jako zbiór ludzi) jest sam Pan Bóg, który, kiedy nad kościołem zaciąży zgubna siła inercyi, a z niéj rodzi się następnie gorzki owoc skażenia lub zepsucia, wtedy przeprowadza go (kościół) przez próbę prześladowania..... Drugim reformatorem jest sam kościół. Z 18 konsyliów powszechnych... nie było ani jednego, który by reformą się niezajmował" (str. 78). Z liczby osób czujących potrzebę poprawy kościoła, która to sprawa agituje się wspólnie z poprawą cesarstwa i za husytyzmu (przypominamy), cytuje ks. Bukowski kardynała Mikołaja Cusę, „największego reformatora", *poprzednika* Kopernika i Galileusza, daléj cytuje Gersona, Piotra d'Ailly itd. (str. 80). Wreszcie oświadcza „kiedy jednak ta reforma w swoim czasie (przez kościół w kościele) nienastąpiła, znaleźli się niepowołani reformatorowie....." (str. 81).

To zważywszy, musimy teoretycznie ciągłość idei i ruchów reformacyi daléj cofnąć niż chce pr. L.; musimy do objawów czwartego dziesiątka wieku XVI zaliczyć i to, co w Polsce zgodnie z powszechną ciągłością uprzedziło wystąpienie Lutra w Niemczech, bo to jest fakt świadczący o samodzielności ruchu polskiego, o jego wcześniéjszém istnieniu. Z jednéj téż strony widać w tezie „5-go dziesiętka lat" (*sorokowych liet*) prof. L. pewne tylko *a priori* uprzedzenie przeciw uznaniu innych czynników i bodźców reformatorskich w Polsce, *niż ekonomiczne*, przed 1540; z drugiéj musimy przyznać objektywność i zupełność cytat z Węgierskiego. Inaczéj rzecz się ma ze źródłami i wnioskami, mogącemi wykazać, że istnieje ciągłość duchowa między epoką husycką a lutersko-kalwińską u nas, i że było dość czasu do spełnienia żądanego przez prof. L. warunku to jest wychowania się całéj generacyi w pewnéj atmosferze.

Już pisma o *prawdziwéj służbie Bożéj* i o *małżeństwie księży* drukowane w Krakowie 1504, list z 1515 r. Bernarda z Lublina do Szymona z Krakowa pisany, stawiący Ewangelią po nad ustawy ludzkie (kościelne), rozmaite broszury anty-luterskie z 1522, 2529, 1830, drukowane w Krakowie, działalność korespondencyjna Wawrzyńca Korwina, już r. 1525 przyznającego się do „Chrystusowéj doktryny" Lutra w listach do polaków, edykt prohibicyjny toruński 1520, daty 1522, 1523, synody cztery od 1520—1530, dostatecznie charakteryzują atmosferę duchową Polski przed r. 1540. Prof. L. nazywa to sympatyą, ale nie ruchem (str. 50), aczkolwiek nietai, że wydawanie broszur anty-luterskich świadczy o interesowaniu się kwestyami religijnemi, że czytanie pism reformatorskich sprowadzało rozmowy i sądy w tych materyach.

Obok tego ksiądz Bukowski z akt biskupich, zachowywanych w konsystorzu krakowskim, zacytował pewną liczbę szczegołów (1), które wprawdzie fundacyą zboru nie są, ale świadczą o faktyczném stosowaniu się krakowian, imiennie wskazanych, do poglądów Lutra już w r. 1525. W liczbie oskarżonych wówczas o błędy luterskie jest już psałterzysta zamkowy ks. Bernard Czech i ks. Bartłomiéj, rektor szkoły Bożego Ciała na Kazimierzu (ks. Buk. I, str. 165 nast.), co świadczy o udziale duchownych w nowinkach religijnych niemieckich. Prof. L., korzystający ze zbiorów pokrewnych, kapitulnych, do tych źródeł nie zajrzał. Dokładność tedy nakazywała aby przed r. 1540 dwie fazy naznaczyć: ruchu samodzielnego i ruchu naśladowniczego.

Pierwszy łączylibyśmy z ruchami duchowemi wieku XV.

Prof. L. zdaje nam się negować ich byt zanadto jednostronnie, lub wprost nie tłómaczyć ich; zanadto sprowadza husytyzm w drugiéj połowie XV wieku do znaczenia objawów sporadycznych, jednostkowych, bez związku z sobą głębszego. Są atoli ślady masowych ruchów. Już r. 1424 cała parafia wrończyńska w Wielkopolsce pracuje w niedziele, nieobchodzi świąt, niechce się uczyć „wiary w Boga“, niepłaci świętopietrza (*liber beneficior*. Łaskiego, I, str. 64 n. 1).

W r. 1448 zostały spustoszone majątki biskupa płockiego Pawła z Giżyc ogniem i mieczem, dla tego, że niechciał wyświęcać kleryków husyckich w swojéj dyecezyi, która-to herezya odżyła (*renovari et reviviscere pestea hereticam hussitorum*) z taką siłą, że swych przeciwników katolickich zbrojnie prześladowała. Odcinano palce księżom katolickim, by odjąć im możność odprawiania mszy według swego rytuału; 8 września w uroczystość Narodzenia M. B. „choć nie doszło do rozlewu krwi lub śmierci, ani nawet do dobycia oręża“, były jednak rozruchy religijne w Płockiém (*Mon. Med. aevi*. II. B. str. 44, 45). Między 1450—1452 dochodzą wieści do Krakowa z Dobrzyńskiego o wielu heretykach plebanach, księżach, i szlachcie płci obojej (str. 347—8). W Kikole publicznie udzielał pleban eucharystyą pod dwiema postaciami, a student pewien, mimo wysyłki do Pragi na lat 2, oporny życzeniu rodziców, by został husytą, był wydziedziczony za to przez rodziców, co wyznał sam ks. Elgotowi a ten pisał o tém do Zbigniewa Oleśnickiego.

Uwagę Elgota, że „zaraza husycka Czechów zaczęła napowrót silne korzenie zapuszczać w ziemiach Wielkopolskich (a zwłaszcza w Dobrzyńskiém)“ popierają niektóre uchwały Synodu arbp.

(1) Bardzo słusznie ks. Bukowski (I, str. 175 — 179) i prof. L. (pod mylną datą 1539, str. 58, n. 2) odbierają Malcherowéj chlubę męczenniczki luterskiéj.

Jana ze Sprowy w r. 1451 odbytego (1), dotyczące gnieźnieńskich nawet duchownych. Pod r. 1451 ks. Stanisław z Budziszewa dostał husycką książkę od pani Dobrogostowéj z Popowa.

W zgodzie z tém jest powieść Węgierskiego, pominięta przez prof. L., że koło r. 1500 szlachta wielkopolska tłumnie żądała od biskupa Lubrańskiego komunii *sub utraque*, grożąc cofnięciem dziesięcin (Slav. refor. 73, ks. Buk. I, str. 53). Trudno przypuszczać, żeby niemiał znaczenia praktycznego, tak ogólny nakaz działania swobodnego inkwizytorom dominikańskim, w rzeczy śledzenia heretyków, oraz po osądzeniu i zdaniu władzy świeckiéj, ichże egzekucyi, wydany r. 1454 przez Kazimierza III Jagielończyka, jak nowy tegoż króla, wydany r. 1464, na imię Marcina de Kase, dominikana krakowskiego. Nie na wiatr téż tego samego 1464 r., 12 czerwca utworzył we Lwowie papież Pius II wikaryat, z władzą stanowienia w Polsce inkwizytorów prowincyonalnych wedle potrzeby (3).

Głosy ks. Damalewicza, Modrzewskiego i dysydenta Węgierskiego, od r. 1476 do 1503, zgodnie o kłopotach biskupów kujawskich z heretykami, nawet z księżmi, świadczą, co także tylko do husytów można odnieść. Ksiądz Bukowski, cytując te wskazówki (I, str. 53), wspomina téż o nowym przykładzie herezyi w Krakowie r. 1491 Świętopełka Fiola księgarza, który, znany już Ambrożemu Grabowskiemu (*Starożyt. hist.* I, 449), że świadczy o husyckiém zarażeniu dostawcy wiedzy (księgarzu), ma niesłychaną wagę; warunkuje bowiem i barwę wiedzy, dostawianéj ogółowi niedopiero tego roku 1491.

Dziś wreszcie profesor Pawiński (4) w r. 1854, hr. Maurycy Dzieduszycki (*Zbign. Oleśnicki*, II, str. 19 n.) w r. 1838 i 1840 hr. Waler. Krasiński (przekład niemiecki *Gesch. der Refor. in Polen*, 1841, str. 39) przyznają, że Ostroróg, autor głośnego *Monumentu*, wypowiedział w nim opinie o kościele husytyzmem nasiąkłe. Krasiński nawet wyraził się, że ten głos senatora wobec króla i zgromadzonych stanów jawnie wypowiedziany, zawiera w sobie naganę tak zjadliwą (bittern Tadel) kościoła, że właściwie „*tylko husyta*“ mógł ją sformułować. To zdanie prof. Pawiński wsparł zestawieniem poglądów Ostroroga i husytów w jego Monumencie. „Niebierze wprawdzie (mówi prof. Paw., str. 107) nasz statysta wszystkich poglądów, które reformator czeski głosił, ale w sprawie uporządkowania stosunku kościoła do

(1) Jana *Ostroroga żywot i pisma etc.* Paw. str. 113.

(2) *Rocznik Tow. Prz. Nauk w Poźn.* IX., str. 57, 60, zwłaszcza 63, 69.

(3) Por. Czacki, *O lit. i pol. prawach* W. Turowski, I, str. 323—4 nota.

(4) *Jana Ostroroga żywot* itd., str. 106—113.

państwa jest na wskróś przesiąkły jego dążnościami. *Dogmatów niedotyka Ostroróg*, nad sakramentami się niezastanawia w swém piśmie, które zresztą pola po temu niedawało".

Uwagi te husytyzmu Ostroroga stanowczo nieudowodniają; w każdym razie zabarwienie odpowiednie *Monumentu* świadczy o głębokiém przeniknięciu tego fermentu heretyckiego w ducha polskiego, skoro się uwydatnia w literaturze jeszcze w połowie drugiéj XV wieku. Chętnie się przytém godzimy na zdanie prof. L., że *demokratyzm* husycki nie mógł przypaść do smaku *arystokracie* Ostrogowi, jako maksyma *własnego* życia. Pyszną jest wszakże zasadą w zastosowaniu do innych, do kleru. By husytyzm był źródłem u Ostroroga niechęci do mieszczaństwa niemieckiego, przynajmniéj źródłem wyłącznem pozwalamy sobie wątpić (1). Choć-by jednak w sprawie dogmatyki, oraz ceremoniału, Ostroróg nie był husytą dowiedzionym, to przy silném zabarwieniu ogólnym, jego pracy odpowiednim duchem, pomijać go pono niegodziło się w liczbie dowodów drugorzędnych istnienia tego ruchu, w drugiéj połowie XV wieku, obok dowodów poważniejszych, silniejszych, jak to zrobił jednostronnie prof. Lubowicz, zamilczając to wszystko, cośmy w téj materyi tu przypomnieli. Obojętna wzmianka prof. L. (str. 33) przy dziesięcinach, niewystarcza, naszém zdaniem, do określenia znaczenia Ostroroga w dziejach reformacyi.

Urywamy na tém polemikę co do pominięcia faktu chronologicznéj i duchowéj łączności reform Husa i Lutra.

Jeszcze chcemy poruszyć jednę kwestyą w ogólnym obrazie u prof. L. pominiętą.

Sz. autor szuka źródła nikłości i krótkotrwałości ruchu reformacyjnego w Polsce: w braku presyi papieskiéj, w braku indyferentyzmu (włoskiego), w braku wybuchów fanatycznych (str. 43), warunkujących inny przebieg tego ruchu w innych krajach.

---

(1) Nawiasowo już teraz zwracamy uwagę p. Aleksandra Rembowskiego (*Niwa*, t. XXV, str. 794, zeszyt 15/5, 1884 r.), że o *najwyższéj instancyi sądowéj w Magdeburgu* dla miast i osad polskich na prawie niemieckiém w XV wieku, po fundacyi takiej instytucyi przez Kazimierza W. w XIV wieku w Krakowie, niemoże być *słusznie* mowy w pracy Ostroroga. Jeśli jest, to tém jawniejsza stronność w ignorowaniu faktu dziejowego. Elekcya znowu wójtów (począwszy od krakowskich 1311) przez szlachtę, oraz skup wójtostw i władztw przez szlachtę, więc przejście w ręce szlachty autonomii sądowéj osad *jure teutonico* rządzących się, jest faktem także z konieczności równie dobrze znanym Ostrorogowi, jak fundacya 1356 (1365). Czyż-by atoli pan Rembowski w obu razach jak Ostroróg, jednakowo udawał nieświadomość, pytając się mnie (l. c.), czy cechy tylko stanowiły istotę prawa niemieckiego w XV wieku, i śpiewkę dawną Ostroroga o Magdeburgu powtarzając jakby prawdę?

Na to byśmy odpowiedzieli, że sąd w téj materyi nie może już teraz zapaść, a może nawet i nigdy ostatecznie wymotywowany i zupełnie jasny niezapadnie. Najprzód bowiem ze spaleniem się archiwum dominikańskiego w Krakowie r. 1850, znikły na zawsze dzieje polskiéj inkwizycyi, a z niemi możność osądzenia, co było wynikiem tępienia herezyi, a co skutkiem innych przyczyn. Wybuchy zresztą okrucieństw husyckich w Płockiém z r. 1448 znane nam ze źródeł niewątpliwie, nieświadczą na korzyść tezy o spokojném, niefanatyczném zachowaniu się heretyków. Odwet zaś leży, tak w naturze ludzkiéj, że prawie *à priori*, jeśli nie ze strony władzy duchownéj to świeckich należy go przypuszczać.

Do przyczyn, tłómaczących szybkie wygaśnięcie ruchu reformacyjnego u nas, może-by wypadło podać téż i następne powody:

a) Więcéj może chodziło o pokazanie *finfy szlacheckiéj* klerowi niż o co innego. Włożenie czapki w czasie podniesienia przez Rafała Leszczyńskiego, dyssydenta, może najlepiéj charakteryzuje grunt kwestyi. Anegdota o magnacie późniejszych czasów, co Chrystusa królem, Matkę Boskę królową, św. Józefa księciem, a resztę świętych „was waszmościów witam“ mieni—należy do tego odcienia.

b) Interes wolności sumienia, jednostki, wyraża się w przystaniu do sekt najjaskrawszych: kalwinizmu (1), aryanizmu; przyczém godna uwagi, że przy obmyślaniu wspólnego *credo* protestanckiego, wyłączono aryan, i że ich ostatecznie urzędowie wygnano. Wyjąwszy tedy niewiele objawów, które są istotną reakcyą doświadczenia przeciw autorytetowi, własnego sądu przeciw opinii wieków, reszta jest *gonieniem za nowością* (nowinki germańskie), zabawą. Zgadza się to z brakiem gruntownych prac reformacyjnych. Są elukubracye amatorskie a la Rej, za to mało bardzo, jeżeli nie nic studyów (por. niechęć do zakładania szkół protestanckich, str. 266 — 11). Kiedy moda przeszła, urok nowości prysł, ustał też i ruch.

c) Ustrój polityczny i ekonomiczny Rzeczypospolitéj inny niż w Niemczech, brak więc mnóstwa drobnych interesów wśród lenników, zyskujących na reformacyi materyalnie. Lubo konfederacya generalna 1573 r. wyrzekła w innéj formie zasadę niemiecką *cujus regio ejus religio*, ze względu na kmieci, zysk to względnie do otrzymanego przez hrabiów, baronów, książąt, elektorów i miasta za reformacyi w Niemczech, jest żaden. Jak słusznie tedy prof. L. mó-

---

(1) Wykład przyczyn, ułatwiających rozwój kalwinizmu w Polsce u ks. Bukow. (I, str. 199—200), do czego zaliczono i sympatye narodowe do Francyi, zkąd kalwinizm pochodził (przyczém Henryk Walezy) wzmiankowany—nie zdaje się być dostatecznym. Pozn., str. 204, gdzie Włosi za motor tego poczytani.

wi, ruch u nas reformacyjny, jako ekonomiczno-polityczny był niczém, jak był niczém naukowo.

d) Poparcie (z wyjątkiem Gdańska), a przynajmniéj wielka względność ze strony obu Zygmuntów dla reformacyi, nie była dla różnowierców podnietą do fanatycznéj wytrwałości. Magnaterya i szlachta, dająca ton krajowi, do ofiar z życia i mienia nie zdaje się być gotową, i niéma, względnie mówiąc, potrzeby do nastręczania się z tą ofiarą, lub do jéj ponoszenia. Brak téż prześladowania oporu niewywołuje. O ludzie mówić trudno. Czasy Zygmunta III korzystniejsze dla katolików, zaraz wywołują reakcyą, témbardziéj, że lenistwo umysłowe i chętka nowości znajdywały nową podnietę i materyał w... Jezuitach.

e) Jednolitość działania reakcyi katolickiéj, zostającéj w ręku Jezuitów, dobitnie odskakując od ciągłych niesnasek (mimo prób unifikacyi) i rozdrabiania się sekciarstwa dowodzi jasno, jak dogmatyzm w rzeczach wiary odpowiadał usposobieniu naszego ogółu i jak szybko na tym gruncie ortodoksyi rozwijają się zalety, znikające w różnowierstwie.

Poprzestajemy na tych kilku ogólnikach, by przejść do rozpatrzenia drugiéj części pracy prof. Lubowicza, rozpatrującéj szczegółowo dzieje kalwinizmu i anty-trynitaryzmu w Małéj Polsce.

Ta część rozpada się na następne części:

Rozdział II: Reformacya za Zygmunta I (str. 46–84); Rozdział III; procesy wytoczone heretykom i sejm r. 1552 (str. 85—135); Rozdział IV: Sejm 1555 i unia w Koźmińsku (str. 136—160); Rozdział V: Lipomani i Vergerius (str. 161—190); Rozdział VI: wewnętrzny stan sekt małopolskich przed przyjazdem Łaskiego (str. 192—221); Rozdział VII: Łaski, reformator małopolski (str. 222 — 256); Rozdział VIII: Organizacya przezeń dokonana kalwinów małopolskich i rozwój anty-trynitaryzmu (str. 257—280); Rozdział IX: Szczyt rozwoju kalwinizmu (str. 281—324); Rozdział X: scysya kalwinów z anty-trynitarzami (str. 325—347). Część tę kończy przedruk ze źródeł.

Rozdział II zawiera kilka szczegółów, poczerpniętych ze źródeł pierwszorzędnych.

Do szczęśliwych spostrzeżeń należy pono zaliczyć uwagę prof. L. (str. 64 n. 3) o błędzie Lubienieckiego i Węgierskiego, iż mecenasa krakowskich wolnomyślicieli koło r. 1540 błędnie Janem zamiast Jędrzejem Trzycieckim nazywają.

Inaczéj rzecz się ma z kwestyą rozwoju nowych idei, oraz warunków tego rozwoju, traktowaną przez sz. autora w życiu Orzechowskiego (str. 74—76). Powiada on, że „szczególniéj w ziemi przemyskiéj obudził się interes dla kwestyj religijnych, wstrząsających

całą zachodnią Europą. Pociąg do nich w ziemiach województwa ruskiego *po części* należy objaśniać przez spółrzędny w nich byt dwu wyznań wschodniego i zachodniego, („prawosławnego i katolickiego") niezdolnych żyć w zgodzie. Z tego tytułu, dość było poruszyć jakiś dogmat lub obrzęd, by obudzić powszechną uwagę i wywołać skutki takiego znaczenia i charakteru, jakiego by nigdy w kraju czysto katolickim niewywarły. Tym sposobem ziemie województwa ruskiego (lwowskiego) były szczególnie wrażliwe na rozliczne spory religijne" (str. 74). Orzechowski miał patrzéć ze współczuciem na *„nasilia po otnoszeniu k prawosławnomu nasieleniu"* (str. 75). Traktat jego przeciw celibatowi księży miał „szczególniéj wielkie współczucie obudzić w ziemiach ruskich śród prawosławnéj ludności" (str. 76).

Rozpatrując się w dalszych ustępach dzieła pr. Lubowicza, znajdujemy poniżéj (str. 207—8) wykaz liczebny kościołów zreformowanych, i względnie samych członków reformacyi. Otóż sz. autor powiada dosłownie, że ruch był największy w województwach, krakowskiém i sandomirskiém. „W lubelskiém niema jeszcze protestanckich kościołów. W dyjecezyi przemyskiéj, chociaż w początku ruchu reformacyjnego dało się uczuć dosyć silne wrzenie religijne, atoli reformacya niezrobiła wielkich postępów. W dyjecezyi zaś lwowskiéj i chełmskiéj w tym czasie (1554 i 1555 rok) prawie nie ma śladów protestantyzmu." Zaznaczono przytém, że administracya polska żadnych przeszkód ruchowi temu niestawiała pomimo swojéj katolickości.

Z porównania dwu tych ustępów pracy prof. L., zdawałby się płynąć ten wniosek, że niezgoda dwu wyznań, prześladowanie wschodniego kościoła przez zachodni wyżéj zaznaczone, istniałyby przed 1540, będąc bodźcem do reformacyi; w lat 16 tych bodźców niebyłoby, to ruch niby przez nie wywoływany prawie nieistniał. Czemu te bodźce znikły? Jestto zagadka, a prędzéj niezbyt ścisła uwaga.

Jakkolwiek tedy jest to jakby tylko *epitet ornans*, przecie niepowinno go być w pracy faktami mówiącéj.

Orest Lewicki pisząc w *kijewskiéj Starynie* (kwiecień, maj, czerwiec 1882 II, III) o socynianizmie w Polsce i na Rusi południowo-zachodniéj innego jest zdania od prof. L.

Pozwolimy sobie najprzód zacytować kilka zdań pana Lewickiego, przed przystąpieniem do faktów refutujących prof. Lubowicza, a znajdujących się u pana Lewickiego.

„Polska oddawna już (przed 1531) nabyła w Europie sławy miejsca, kędy każden mógł znaleść schronienie a nawet serdeczne przyjęcie, komu za ciasno było we własnéj ojczyźnie."

„Na tę obiecaną krainę swobody zdań i tolerancyi zwrócili oczy antytrynitarze.“ „Inkwizycya... kwitnąca wśród ludów romańskich a w części i giermańskich, zupełnie nieprzyjęła się na gruncie słowiańskim“ (II str. 35).

W téj pracy pana Lewickiego wskazano dowody ruchu „nowochrzczeńczego“ (antytrynitarzy) i „sobotniczego“ (naśladujących żydów) w ziemiach ruskich. Więc cytowano pomimo ruskiego mnicha Jana Wiszeńskiego, (II tom aktów Južnoj i Zapadnoj Rosii) który skarży się w początkach XVI wieku wogóle na upadek kościoła wschodniego na Rusi. „Ten zowie się papieżnikiem, ów wylazł teraz z ewangieili ewangielikiem, ten nowochrzczeniec, ów sobotnik.“

Z kolei idzie sobór antytrynitarski w 1566 w Łańcucie,—praca apokryficzna Połowca Jana Smery, którą znalazł późniejszy antytrynitarysta dyakon rusin Andrzej Kołodyński w ruskiéj cerkwi S. Spasa, koło Sambora. Praca ta pełna zdań antytrynitarskich, ukrytych pod figurą pojęć żydów aleksandryjskich schrystyanizowanych. Druki ruskie téż antytrynitarza Szymona Budnego (1562) przeznaczone aby szerzyć kalwinizm w ruskiém wyznaniu, i skargi „szlachty prawosławnéj halicko-ruskiéj“ z 1585 na niezaradność metropolity kijowskiego Onisyfora Diewoczki, który *żydom* pozwala rąbać krzyże dzwony zabierać, i *żydom* pomoc daje, zalicza pan Lewicki także do objawów antytrynitarstwa.

Tymi bowiem żydami, jego zdaniem, byli antytrynitarze judaizujący, rzeczywiście, obracający przemocą cerkwie prawosławne na swoje, „*nie tylko* na zasadzie prawa mocniejszego“ ale na zasadzie prawa świeckiego patronatu, przyznanego właścicielom ziemskim w sprawie wiary (por. str. 52—52).

Właściwie tedy mówiąc, widać w źródłach pana Lewickiego nie ruch wrogi dwu wyznań, lecz rozwój sekciarstwa w łonie samego kościoła wschodniego, i takiż sam gwałt ze strony socynian ruskich na cerkwiach prawosławnych dokonywany, jakiego dopuszczali się protestanci, kalwini i socynianie polscy na kościołach katolickich w koronie.

Przytaczając te szczegóły i uwagi, z innéj pracy niż prof. Lubowicza, niechcieliśmy zaprzeczać istnieniu dawniejszemu chrztów, jakich zbiciu poświęcił Orzechowski swą pracę *Baptismus Ruthenorum* (Cracoviae 1544), która to praca zdaje się przedewszystkiém jest podstawą uwag prof. Lubowicza o niezgodzie dwu wyznań, i stąd wynikłéj pochopności do reformacyi, oraz o ucisku prawosławnych. Możeby jednak kwestya owych chrztów powtórnych, na którą Orzechowski napada, powinna była być uważaną ze stanowiska tego samego co *żydzi* w sprawie Diewoczki? Drugi chrzest, potępiony

w pracy *Baptismus Ruthenorum*, jako dawany przy przejściu z wyznania wschodniego do zachodniego, był za reformacyi nawet katolicyzmowi groźnym, bo mógł ukrywać w sobie sektę anabaptystów. Z pewnością i temu gwoli podnoszono jego niezasadność nawet ze stanowiska bull papieskich. Tym sposobem i upadałby wykład stosunków religijnych na Rusi koronnéj za reformacyi, przez prof. L. robiony w duchu *nasilia*.

Obok tego ośmielilibyśmy się zapytać, czy w dziele p. t. *kalwini* i *antytrynitarze* właściwe jest miejsce dla Orzechowskiego i wielu innych, którzy są fermentem reformacyjnym, ale kalwinizmu lub innéj sekty zwolennikami wyraźnie nie są? Jedynie na Podolu, z akt Jazłowieckich, autor podał (str. 80) faktyczny dowód szerzenia się tamże Kalwina nauk około 1548 za sprawą Jerzego Jazłowieckiego wojewody ruskiego, i Chrząstowskiego plebana w Jazłowcu. Wyznanie autora, że Małopolska około 1550 miała „wogóle“ 12 kościołów protestanckich“ (str. 118 *in quibus papatus prostratus jacet*), że Szreniawa zwana była „luterską,“ że dopiero Lismanin od 1553 do 1555 zawiązał stosunki z kalwinizmem (str. 157—159) zdają się świadczyć o ruchu ogólnym, co do pracy pr. L. nienależało, reformacyjnym, nie zaś o kalwińskim, który dopiero 1556 manifestuje się stanowczo (str. 198—199) dochodząc 1557 już liczby 20—26 kościołów (str. 207) i to z zastrzeżeniem autora, że cyfra ta oznacza pewno kościoły kalwińskie w całéj Polsce tj. koronie (str. 3).

Praca tedy bardzo zresztą cenna pr. L. właściwie zaczyna się z końcem dopiero IV rozdziału zajmować przedmiotem, na tytule wskazanym. Może trochę za późno.

W tym IV rozdziale (str. 141 n. 1) autor z archiwum frauenburskiego przytacza ciekawy list kanonika Górskiego z Krakowa do Hozyusza (6 stycz. 1555), który donosząc o zjeździe *lutrów* (luteran), w liczbie 12, duchownych, w Słomnikach podaje rzeczywiście ciekawy dla charakterystyki reformacyi u nas szczegół następny.

Przywieziono wówczas cały wóz ksiąg luterskich, drukowanych nakładem Filipowskiego za kilka set złotych, celem poparcia nowych nauk. Okazało się, że w nich używano formuły rozporządzeń królewskich: *ordinamus*, *statuimus*, *decernimus*. Na skutek przedstawień Stadnickiego, z obawy obrażenia króla, spalono cały nakład.

Fakt ten, ukryty w odsyłaczu, należy do wymownych dowodów, na czém nietylko w Niemczech, ale i u nas musiała się skończyć schizma z katolicyzmem. Zasada *cujus regio ejus religio*, regulująca stosunki wyznaniowe na Zachodzie Europy, a u nas wyrażona w zdaniu konfederacyi generalnéj warszawskiéj 1573 r. poddaje kwestyą wolności sumienia władzy świeckiéj. Zamiast dogmatu kościel

nego, więc oków, bądźcobądź właściwszych, reformacya przyjmuje okowy władzy świeckiéj, poddaje swoje zdania jéj opinii. Gdy kościół katolicki przez usta swych kapłanów przemawia, jako reprezentant wyższych idei i zasad, gdy czując w sobie pod postacią ducha indywidualnego, odblask ducha absolutnego (Boga), przemawia z góry tak o własnych jak i nieraz niekościelnych sprawach w jego imieniu, z jego siłą, natchnieniem a często i wpływem; tymczasem charakterystycznie synod słomnicki trwożnie pochyla głowę przed władzą świecką nawet w sprawach własnych, religijnych; nawet w redakcyi swoich przekonań wyznaniowych, gdzie z zasady reformacyi, jednostki sumienie i sąd jest *summa ratio et lex*, i ma prawo przybierać ton władzy najwyższéj, nawet i tam niezapomina o swem poddaństwie świeckiém (1).

Czyby można było w podrzędnym tym niby fakcie karności politycznéj dopatrzéć się objawu, nielicującego ze zwykłą nieuległością władzy, spotykaną w owoczesnéj szlachcie? Czyby daléj można było z takiego szczegółu wyciągnąć wniosek, objaśniający, czemu reformacya miała u nas walor póty, póki miała pozory walki, oporu przeciw powadze, autorytetowi; a czemu zarazem usystematyzować się, urosnąć w organizacyą stałą, jednolitą niemogła, niemając w sobie pierwiastku, który zastępując powagę kościoła katolickiego, mógł się czuć niezależnym i wyższym nad władzę świecką?

Jak sądzimy w samej istocie reformacyi, odrzucającéj z zasady autorytet wszelki, bo nawet egzegezę biblijną oddającéj rozumowi jednostkowemu, tkwi powód nikłości wszelkich unifikacyj dogmatycznych i obrzędowych w łonie sekciarstwa (*sit venia verbo*) reformacyjnego. Ta okoliczność tłómaczy daremność i unii z braćmi czeskimi zawartéj w Koninie 1555, i probowanéj 1560, i nikłość organizacyi przez Jana Łaskiego (roz. VIII) przeprowadzonéj w polskim kalwinizmie. Odpowiedzią niejako najlepszą w duchu naszego objaśnienia, jest rozkwit antytrynitaryzmu zaraz obok usiłowań tamtych docentrycznych (roz. X).

Jako dowód dalszy, że rdzenna istota reformacyi prowadzi do abdykacyi przed jednostką-reformatora, lub przed władzą świecką, można przytoczyć znaną u nas w tym względzie rolę Łaskiego, oraz projekt Ossolińskiego w Książu, na synodzie wrześniowym 1560 złożony, by seniorowie (opiekuni świeccy) obierani w myśl organizacyi Łaskiego, byli wraz z synodem jeneralnymi zwierzchnikami i dozor-

(1) Równie może tu należy charakterystyczne postanowienie synodu włodzisławskiego z 1558, by sprzęty kruszcowe kościelne *superstitionis papisticae*, w skasowanych kościołach, zachowywano bez użytku, do decyzyi króla i senatu! (str. 263).

cami pastorów (roz. IX), co choć zmienione 1561, faktycznie przecie oddawało rząd kościoła reformowanego w ręce szlachty (str. 293).

Na tém kończąc pobieżny rzut oka na pracę prof. Lubowicza, musimy wspomnieć o materyałach, które złożyły się na jego pracę. Przedewszystkiém są tu protokuły kalwińskich synodów spisywane przez Jakóba Sylwijusza do 1561 r. które mogą służyć za kontrolę aktów braci czeskich, u Łukaszewicza spożytkowanych. Do tego dodać należy rękopisy z archiwum krakowskiego (dziś znane z wydania cząstkowego w pracy ks. Bukowskiego—wizyty mianowicie) frauenburskiego (także wydane w części dziś jako pisma Hozyusza) i królewieckiego.

Ernest Sulimczyk Swieżawski.

Ueber die bis jetzt unbekannt gebliebenen Gedichte von Zbigniew Morsztyn. Inaugural-Dissertation welche mit Genehmigung der philosophischen Facultät der kgl. Universität Breslau zur Erlangung der Doctorwürde am Mittwoch, den 13 August, Mittags 12 Uhr in der Aula Leopoldina öffentlich wertheidigen wird Jan von Rzepecki. Opponenten: Julian Janicki, cand. phil. Mieczysław von Łukowicz, cand. phil. Posen. Im Selbstverlage des Verfassers. 1884 str. 67 i 4 karty nlb. w 8-ce więk.

Zajęcie się zabytkami poezyi naszéj z wieku XVII wzrasta niemal corocznie wśród pracowników na polu historyi literatury, przynosząc już-to krytyczne opracowania, już-to wydania utworów małoznanych, już-to wreszcie nowe jakieś odkrycia. Rozprawa doktoryzacyjna p. Jana Rzepeckiego należy do tego trzeciego szeregu prac, może najważniejszego ze wszystkich. Autor wzbogaca wiadomości nasze o autorach XVII stulecia a w szczególności o znanéj w piśmiennictwie polskiém rodzinie Morsztynów dwoma nazwiskami oraz wymienia a poczęści roztrząsa ich pisma, pozostające dotychczas w rękopiśmie.

Jedno z tych nazwisk podaje autor we wstępie do swéj rozprawy. Dotąd znaliśmy jednego Hieronima (Jarosza) Morsztyna, autora „Światowéj Rozkoszy," kilku powiastek fantastycznych i pieśni. P. Rzepecki, za wskazówką prof. Nehringa, zaznajamia nas z drugim Hieronimem, kanonikiem. Prof. Nehring odkrył w bibliotece petersburskiéj (XIV Poësis, nr. 9 fol.) resztki wielkiego niegdyś zbioru poezyj, w którym znajdowały się, a częściowo i teraz są, wiersze przyznane księdzu Jaroszowi (lub Hieronimowi) Morsztynowi, kanonikowi krakowskiemu. Z wiersza „Białegłowy niesłowne" ocalał tylko napis. Zachował się natomiast wiersz p. n. „Poenitentia," z tym dodatkiem, przez przepisywacza widocznie wsuniętym: „którą przy

swych *Fraszkach* zostawił." „Poenitentia" ta bardzo jest podobna do „Pokuty w kwartannie" przypisywanéj Jędrzejowi Morsztynowi.

Nawiasowo dodaje p. Rzepecki, że we wspomnianym zbiorze poezyj znajdują się wiersze Daniela Naborowskiego („Zwada Marsa z Kupidynem," „Na oczy królewnéj angielskiéj"), którego zwie „dotychczas nieznanym poetą." Tak bynajmniéj nie jest. Wiadomość krótką o życiu Daniela Naborowskiego, towarzysza szkolnego a następnie dworzanina Janusza Radziwiłła oraz dwa utwory tegoż wierszopisa podał „Noworocznik litewski na r. 1830" (od str. 207), a w wydaniu poznańskiém poezyj Morsztyna znajduje się również wiersz Naborowskiego. Postać jego zużytkował Kraszewski w powieści „Kościół ś-to Michalski w Wilnie."

Właściwém odkryciem p. Rzepeckiego jest udowodnione autorstwo Zbigniewa Morsztyna. Imię to, jak wiadomo, już było znane w dziejach naszéj literatury. Pod niém wyszło poznańskie wydanie poezyi Morsztyna. Późniéj atoli badania krytyczne wykryły, iż autorem większéj części zamieszczonych tu utworów jest Andrzéj Morsztyn. Obecnie zaś p. Rzepecki odnalazł rękopism, który znów przekonywa, że *niektóre* w tém wydaniu zawarte poezye są pióra Zbigniewa, miecznika mozyrskiego. Rękopism ten nosi tytuł „Muza Domowa" i jest obecnie własnością p. Tadeusza Langego z Gniezna. Zdaniem p. Rzepeckiego rękopism ten nie jest ani autografem, ani nawet kopią pod kierunkiem autora powstałą, lecz odpisem dokonanym przez człowieka, który słabo władał językiem polskim, prawdopodobnie przez Niemca rodem, jak tego dowodzą omyłki przezeń popełnione. Czas, w którym mógł powstać rękopism oryginalny, oznacza p. Rzepecki r. 1678—1683.

Zawiera on 60 mniejszych i większych utworów. Dowiedzenie, że autorem ich jest Zbigniew Morsztyn, stanowi najważniejszą część rozprawy p. Rzepeckiego. Dowody czerpie on już to ze wzmianek lub napomknień w tym zbiorze zawartych, już-to z cech wewnętrznych samych utworów, już-to ze wskazówek, jakie podali spółcześni o Zbigniewie Morsztynie. Zaznaczywszy, że w „Muzie Domowéj" nazwisko Morsztyn powtarza się ze dwadzieścia razy, że osoby z téj rodziny nazywane są krewnymi autora, że w przedmowie utwory „Muzy Domowéj" przeciwstawione są poezyom Andrzeja Morsztyna, że stosunki pokrewieństwa, zapisane w zbiorze, wykluczają myśl o autorstwie Hieronima i że wreszcie znajdujący się tamże wiersz winszujący Stanisławowi Morsztynowi otrzymanéj godności, nie dozwala przypisać temuż zbioru; p. Rzepecki wskazuje miejsca, w których autor wierszy kryje się pod literami *Z. M.*, oraz całe utwory p. n. „Treny żałosne," „Pamiątka... pana Aleksandra z Szpa-

nowa“ w których autor występuje jako mąż Zofii ze Szpanowa, i dochodzi do przekonania, że autorem tych przynajmniéj utworów jest właśnie nie kto inny tylko Zbigniew Morsztyn. Wyszukuje następnie wzmianki u spółczesnych aryańskich pisarzy o działalności Zbigniewa Morsztyna, a okazawszy, iż wspomniane u nich wiersze treści religijnéj, znajdują się w „Muzie Domowéj,“ ustala autorstwo Zbigniewa co do nowego szeregu wierszy. Tym sposobem ugruntowuje autentyczność 13 poezyj. O reszcie to jest o 47 wnioskuje na podstawie podobieństwa języka i stylu, jak nie mniéj téż i treści. Dowody, zaczerpnięte z podobieństwa stylu niezawsze wprawdzie są przekonywające; zaznacza autor jako charakterystyczne wyrażenia takie, które np. u Andrzeja Morsztyna lub Wacława Potockiego nie mniéj często się napotykają; ale dziwić się tym usterkom nie można, jeśli zważymy, iż ta strona krytyki literackiéj co do naszych pisarzy prawie nietknięta; a p. Rzepeckiemu, który, o ile wiem, pierwszy na tak wielką skalę metodę dochodzenia autora na zasadzie podobieństwa stylu rozwinął, należy się istotne uznanie.

O życiu poety niewiele mógł p. Rzepecki zebrać szczegółów. Rok urodzenia naznacza, na zasadzie różnych kombinacyj, pomiędzy 1620 a 1624. Pochodził z téj gałęzi rodu, która przy aryanizmie wytrwała. Za rzecz prawdopodobną uważać można, iż zwyczajem rodzin aryańskich owego czasu poprzestał na domowéj jedynie nauce. Życie publiczne rozpoczął pewnie jako urzędnik w administracyi kopalni wielickich pomiędzy r. 1644 a 1648. Rok 1648 sprowadził zwrot w życiu poety. Z Krakowskiego przeniósł się na Litwę i służył tu wojskowo pod dowództwem książąt Janusza i Bogusława Radziwiłłów, zwolenników aryanizmu. Wtedy téż zapewne został mianowany miecznikiem mozyrskim. Brał udział w bitwach pod Sokalem i Zbarażem. Ponieważ w r. 1650 Bogusław Radziwiłł oddał dowództwo nad pułkami swemi Franciszkowi Erdmannowi, który pod rozkazami Janusza Radziwiłła pozostawał, całą tedy kampanią z r. 1651 odbywa Morsztyn pod tym wodzem. W r. 1652 bije się pod Kamieńcem i Żwańcem, gdzie zdobywa broń rozmaitą. Z tego już czasu pochodzą drobne jego poezye, opiewające niektóre wypadki wojenne. W r. 1654 uczestniczy w wojnie z Moskwą i opiewa porażkę pod Szepietowem. W r. 1656 dostaje się do niewoli, w któréj czas jakiś przebył. Zdaje się, że wtedy postanowił opuścić życie obozowe, które odmalował w komiczno-satyrycznym poemacie: „Kosterowie obozowi,“ gdzie dość długi ustęp w języku rusińskim pomieścił. W r. 1659 żeni się z Zofią Czaplicówną, córką spokrewnionego z Morsztynami Aleksandra. Gdy Aryanie zostali z Polski wydaleni, Zbigniew przeniósł się do Prus pod opiekę Bogusława Radziwiłła. Otrzymawszy

tytuł radcy elektoralnego, w nagrodę za położone usługi otrzymuje wieś Rudówkę (r. 1663) na dożywotne posiadanie. Z tego czasu pochodzi religijném uczuciem przeniknięta „Pieśń w ucisku“ ogłoszona drukiem w r. 1671. Bawiąc to na wsi, to w Królewcu, uczestnicząc w życiu wychodźców aryańskich, którzy się około Rudówki i Andreswalde skupili, nie zapomniał przecież o ojczyźnie, jak świadczy o tém poemat „Sławna wiktorya pod Chocimem,“ opisujący szczegółowo zwycięstwo Sobieskiego. Datę śmierci jego można przypuszczalnie oznaczyć około r. 1698, gdyż w tym roku Rudówka po śmierci Zbigniewa przeszła na jego żonę i spadkobierców.

Oceny szczegółowéj utworów zawartych w „Muzie Domowéj“ p. Rzepecki nie podaje; nawiasowo tylko, w *uwadze*, charakteryzuje twórczość Zbigniewa Morsztyna. Poeta, według niego, posiadał dostateczne wykształcenie i obszerne wiadomości; charakter miał szlachetny a zahartowany w ogniu przejść ciężkich. Poetyckiego ducha, dar zgłębiania porządku fizycznego i moralnego w świecie, sztukę przedstawiania pomysłów można mu przyznać w części tylko (in beschränktem Maasse), gdyż brak mu wyższego poetyckiego natchnienia, tak samo zresztą jak prawie wszystkim innym poetom polskim XVII stulecia. *Epika* i *dydaktyka* oto właściwa dziedzina twórczości Zbigniewa Morsztyna; światowa *liryka* nie odpowiadała jego talentowi. Poezyą epiczną reprezentuje godnie obraz bojowy „Sławna wiktorya pod Chocimem“ oraz poemat niedochowany w całości p. n. „Votum“. Liryka czysta ubogo się przedstawia w „Muzie Domowéj“; to, co tu znajdujemy, uważać można za dość udatne; zwłaszcza téż piosenka miłosna „Na dobrą noc“ oraz wzniosła „Pieśń w ucisku.“

Naturalnie o słuszności téj oceny żadnego nie możemy wydać sądu, gdyż „Muza Domowa“ drukiem ogłoszoną nie jest. Z licznych zaś przytoczeń, jakie z różnych powodów podaje p. Rzepecki w swéj rozprawie, można wnieść to głównie, że pod względem dykcyi i wersyfikacyi Zbigniew Morsztyn nie należał do przedniejszych poetów swego czasu. Twórczość jego atoli zasługuje niewątpliwie na dokładniejsze poznanie, choćby z tego względu, że wśród ogółu katolickich poetów wieku XVII występuje Zbigniew Morsztyn jako przedstawiciel aryanizmu. Aryanizm ten wprawdzie, o ile z cytat wnieść się godzi, nie bije z pism jego jaskrawo, ale bądź-co-bądź do jednobarwnego obrazu poezyi XVII wieku wnosi odcień, który do nadania mu większéj prawdziwości z pewnością dopomódz może. Z tego względu praca p. Rzepeckiego jest ważnym do dziejów literatury naszéj przyczynkiem. *P. Ch.*

1) Arcydzieła poetów polskich z objaśnieniami. I. Antoniego Malczewskiego Marya. Wstępem, żywotem poety i objaśnieniami opatrzył Piotr Parylak, c. k. profesor gimnazyalny w Stanisławowie i członek Komisyi językowéj Akad. Umiej. w Krakowie. Tekst przejrzany, krytycznie porównany i według potrzeby poprawiony (2 karty nlb. i str. 135). — 2) Arcydzieła poetów polskich z objaś. wydane staraniem W. J. F. Hoscheka. II. Juliusza Słowackiego Ojciec Zadżumionych. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Piotr Parylak... Tekst przejrzany i krytycznie porównany. Lwów. Nakładem wydawcy. 1884. (2 karty nlb. i str. 47).

Od lat już kilku w gronie pedagogów warszawskich powstała była myśl opracowania dla młodzieży najcelniejszych utworów literatury ojczystéj, z powodu nieodzownéj potrzeby zaznajomienia jéj w sposób umiejętny z tém, co czytać i znać powinna. Częstokroć zdarzało się bowiem słyszéć z ust młodzieży najdziwniejsze pojęcia o arcydziełach ojczystych, pojęcia polegające na zupełném niemal nierozumieniu ducha i formy utworów poetyckich, a wynikające z niesłychanie u nas zaniedbanego przygotowania do lektury samodzielnéj. W szkole i w domu ćwiczono uczniów w rozbiorze gramatycznym na podstawie tak zwanych „Wypisów“, tj. krótkich urywków, nie dających (z wyjątkiem bajek, anegdot i przypowieści) najmniejszego wyobrażenia o całości utworów. Całkowitych dzieł nie czyta się w czasie szkolnym prawie zupełnie, a jeżeli się czyta jakie krótsze np. Wiesława, Janusza Bieniawskiego, Grażynę, Jana Bieleckiego, to się poprzestaje zazwyczaj na prostém odczytaniu, z dodaniem kilku ogólników o piękności tych poematów i o rodzaju poezyi, do którego się zaliczają. Układ poematu, stosunek części do całości, dykcya, oraz akcyi charaktery nie bywają nigdy przedmiotem szczegółowego rozbioru. Uczeń, przyzwyczaiwszy się do powierzchownego przebiegania poematu, nie zadaje sobie trudu myślenia, nie kształci się pod względem estetycznym, a nawet poprostu nie uczy się zastanawiać nad tém, co czyta, a tém bardziéj wnikać w treść utworów poetyckich.

Pomimo dokładnego rozumienia potrzeby wydawnictwa, któreby tym wadom i zdrożnościom nauczania zapobiegło, nie mogło ono w Warszawie przyjść do skutku. Galicya była w szczęśliwszém położeniu; tu też w r. b. pojawiły się dwie książki, które do pewnego stopnia czynią zadość najkonieczniejszym wymaganiom.

P. Piotr Parylak, który się zajął ich opracowaniem, znany jest z kilku drobnych prac na polu historyczno-literackiém, świadczących o sumienności jego badań. Gorliwie się mianowicie zajmował zestawieniem Elegij i pieśni Kochanowskiego ze źródłami klasycznemi; pisał też o Maryi Malczeskiego i Ojcu Zadżumionych Słowa-

ckiego. Same te dawniejsze jego roboty mogły były zgóry dobrze uprzedzić czytelników i krytyków co do nowo podjętéj pracy około „Arcydzieł poetów polskich z objaśnieniami“.

Krytyka wszakże po ukazaniu się 1-éj książki z tego wydawnictwa okazała się dla autora niezmiernie surową, odmawiając mu prawie zdolności do dalszego prowadzenia rozpoczętéj pracy. Nie przeczę, że zrobiono p. Parylakowi wiele zarzutów dobrze uzasadnionych, w ogólności jednak zauważyłbym, iż krytycy wychodzili bardziéj ze stanowiska literackiego niż z pedagogicznego. Tymczasem wydawnictwo „Arcydzieł z objaśnieniami“ ma jedynie i wyłącznie cel pedagogiczny i według niego ocenianém być powinno. Autor w „Słowie do Czytelników“ wyraźnie oświadczył, iż wydawnictwo jego „ma zaradzić potrzebie młodzieży, która czyta w szkołach najcelniejsze dzieła poetów“. Dodaje wprawdzie, że ma na uwadze i „szerszą publiczność, która chcąc się bliżéj zapoznać z utworami mistrzów narodowych, nie ma ani czasu, ani sposobności wnikać głębiéj w pierwszorzędne płody literatury naszéj“; ale przez tę „szerszą publiczność“ rozumiał zapewne ogół, stojący pod względem wykształcenia na równym, jeżeli nie na niższym stopniu z młodzieżą szkolną; wynikać się to zdaje z postawienia na równi wymagań jednéj i drugiéj kategoryi czytelników.

Tak rozumiejąc zadanie wydawnictwa „Arcydzieł z objaśnieniami“, można powiedzieć, że p. Parylak nie tylko podjął rzecz ważną i użyteczną, ale że ją w części spełnił dobrze. Usterek w niéj wiele, lecz ogół pracy nie przedstawia się ujemnie.

Przypatrzmy się wydaniu „Maryi“. Znajdujemy tu najprzód rzecz o „historycznéj podstawie utworu“. Według „Starościny Bełskiéj“ Kraszewskiego opowiada autor treściwie (str. 1—16) cały wypadek. Następnie dla zestawienia utworu fantazyi z rzeczywistością, opowiada króciutko (str. 16—17) „treść poematu“, daléj zaznacza „zmiany“, jakie poeta wprowadził, kreśli bardzo ogólnikowo życiorys Malczeskiego, zaznacza, skąd wziął pomysł do „Maryi“, przedstawia, wśród jakich warunków powstał poemat i jak został przyjęty, a jako dowód późniéj rozbudzonego uwielbienia podaje ogólnie cyfrę wydań poematu i tłómaczenia na obce języki. W końcu mówi pokrótce, do jakiego rodzaju poezyi należy „Marya“ i nadmienia o „budowie poematu“.

To stanowi Wstęp. Wszystko, czego w nim dotknął p. Parylak, jest potrzebne w wydaniu szkolném; tylko nie wszystko zostało przezeń należycie dokonaném. Szczególniéj to, co mówi o rodzaju poezyi i o budowie poematu jest w części błędném, w części niedostateczném. „Marya“ — mówi p. P. — „treść ma za szczupłą i niedość

ważną, aby ją snadno można było podnieść do wzniosłych *tonów i kształtów* epopei“. Zamiast tego frazesu, lepiéj było poprostu powiedzieć, że „Marya“ jest powieścią poetyczną i skreślić główne cechy tego rodzaju poezyi, wyróżniając go od epopei i innych kształtów epicznych. O budowie poematu niczego się nie dowie czytelnik na str. 24, gdyż podanie ilości wierszy (i to w przybliżeniu tylko, jakby już przez samego poetę nie były dokładnie obliczone), oraz powiedzenie, czém się pieśń I kończy a od czego II zaczyna, bynajmniéj „budowy poematu“ nie rozjaśniają. Tu właśnie położyć trzeba było uwagi, które autor późniéj dopiero na str. 32, 42, 45, 49, 50 podaje, uzupełniwszy odpowiedniemi uwagami o pieśni II, oraz wskazawszy, jakie sytuacye lubi poeta szeroko roztaczać, jakie zaś pozostawia domyślności czytelnika, z czego zapewne można było wyprowadzić znamienną cechę powieści poetycznéj w duchu romantyzmu, tj. jéj podmiotowość. To co mówi autor o tajemniczém pacholęciu, dopiero na str. 83, należało również tu umieścić, odpowiednio zastosowawszy, gdyż postać ta jest jednym ze składników „budowy poematu“.

Po wstępie czytamy tekst „przejrzany, krytycznie porównany i według potrzeby poprawiony“. Do właściwéj krytyki wydawniczéj tekst „Maryi“ nie przedstawia pola. Jest tylko jedno wydanie za życia autora ogłoszone; rękopismu nie posiadamy; musimy więc przyjąć tekst pierwszéj edycyi i oczyścić go z omyłek drukarskich. Taki właśnie tekst ogłoszony został r. 1883 w I tomie „Złotéj przędzy poetów i prozaików polskich“. P. Parylak w jedném tylko miejscu ośmielił się zrobić poprawkę. Zamiast: „Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty“ wydrukował „Ni *jéj* ubiór udatny ni *jéj* stroją kwiaty“. Ze względów gramatycznych poprawka jest słuszna, ale ponieważ w poemacie nie raz ten jeden po słowach z przeczeniem położył poeta 4 przypadek zamiast 2-go, nie możemy samowolnie zmieniać tekstu oryginalnego. Wzgląd pedagogiczny, żeby nie rozpowszechniać niepoprawnych wyrażeń, nie może sprawy téj załatwić, gdyż w innych wierszach poprawek takich zaprowadzić niepodobna, chybabyśmy nowe wiersze kuć chcieli. Jeżeli więc zostawić musimy błędy w innych wierszach, zostawmy go i w tym jeszcze jednym.

Na czele każdego wstępu podaje p. Parylak treść jego; tak być może, lubo jest to już trochę zawielkie ułatwianie pracy czytania. Natomiast przerywanie tekstu uwagami estetycznéj natury uważam za błędne; do takich uwag właściwe jest miejsce we wstępie; tekst powinien iść nieprzerwanie; wszelkie objaśnienia tylko u dołu tekstu pomieszczać wypada. W objaśnieniach popełnił p. Parylak ten błąd, że nie zaznaczył, które pochodzą od samego poety, a które od ko-

mentatora; przyznawanie każdemu jego własności we wszystkich dziedzinach musi być przestrzegane. Objaśnienia wyrazów są najlepsze u p. Parylaka, objaśnienia zwrotów i myśli niezawsze szczęśliwe. Zwrócę tu tylko uwagę na komentarze, zdaniem mojém, błędne. Na str. 42 wiersze poety:

Dla nich gwar ptasząt, w żywéj, słodkiéj nucie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie—

każe uszykować tak: „Dla nich gwar małych ptasząt, który (gwar czyli śpiew) w żywéj, słodkiéj nucie wyrywa uczucie z dzióbków mokrych rosą“. Tymczasem uszykowanie to i zawarte w niém objaśnienie jest zupełnie nieuzasadnione. Wyraz *co* w drugim wierszu najwyraźniéj zastępuje wyraz *którą* odnoszący się do wyrazu *nuta*, nie zaś do wyrazu uczucie. Na str. 47 objaśniając wiersze:

Znikli w zarosłą przepaść; aż *krążąc parowy*,
Jeszcze raz świetne z krzaków ukazali głowy

powiada p. P., że „krążąc parowy“ znaczy: „okrążając doły wybite od wody, z góry płynącéj“. Ależ chwilka rozwagi powinna była nasunąć autorowi prostsze rozumienie tekstu; bo ci, co znikli „w zarosłą przepaść“ musieli iść parowami krętemi, zanim na wyższém miejscu znowu się nie wydostali na pewną wyżynę. Na str. 51 omawiając wiersz: „boli tylko życie, a kwiat jego zginął“, rozumie przez „kwiat życia“ świetne wspomnienia z przeszłości, nie zastanowiwszy się, że Miecznik utracić *wspomnień* nie mógł, bo ani był obłąkany, ani umarł jeszcze, lecz właśnie wspomnienia te przywodzi sobie i córce na pamięć. Na str. 64 objaśniając to miejsce, gdzie miecznik mówi o żonie, iż ta „niewieścim w błyskotkach, *tajemnicach* smakiem“ zaopiekowała się związkiem Maryi z Wacławem, p. P. rozumie to tak, iż żona Miecznika „rozmaitemi środkami“ właściwemi wytworności i smakowi niewiast, *co jest już ich tajemnicą*, związek ten do skutku doprowadziła. Więc p. P. nie zauważył, iż poeta mówi o zamiłowaniu kobiet w *błyskotkach* i *tajemnicach*, jako dwu czynnikach, które skłoniły Miecznikową do ułatwienia związku swéj córki z synem wielkiego pana, który to związek musiał być potajemnie zawarty?....

Na str. 70 słowa poety:

Z jakże pyszną opieką, tkliwe, drżące łono
Skrytéj, cichéj pieszczoty utulił obroną!

znalazły w p. Parylaku wielce niezręcznego tłómacza; według niego bowiem obrona Maryi przez Wacława polegała na skrytéj, cichéj

pieszczocie... nie zważając na to, że skryta pieszczota nie może stanowić obrony przed żadnym zewnętrznym nieprzyjacielem, i że dopełniacz „skrytéj, cichéj pieszczoty“ odnosi się do „tkliwego, drżącego łona“ nie zaś do „obrony“. Na str. 76 spotykamy proste niezrozumienie wyrazu dosyć zresztą dobrze znanego. Marya mówi o swoich oczach „wdrążonych“ zgryzotą, tj. poprostu zapadłych skutkiem łez i niepokoju, p. P. sądzi, że tuby należało użyć wyrazu: „wdrożone w zgryzotę“ i komentuje tę poprawkę tym sposobem, iż oczy „wdrożone w zgryzotę“, znaczy oczy przyzwyczajone do zgryzoty wskutek obawy o ukochanego.....

Dosyć będzie tych przykładów, wziętych z objaśnień do pieśni I, aby wskazać słabe strony wydawnictwa. W drugiéj pieśni p. P. był skąpszym w komentarze; ograniczył się przeważnie do objaśnień wyrazowych; dlatego téż nie popełnił rażących błędów.

Po ukończeniu tekstu podaje p. P. dwie jeszcze rozprawki: jednę o „charakterach osób“, drugą o „języku w *Maryi*“. Treść objęta pierwszą jednokartkową notatką była już przedmiotem uwag komentatora w ciągu tekstu: tu więc tylko mamy zwięzłe powtórzenie rzeczy znanych. Rozprawka „o języku“ jest dość dobrze napisana, można-by jednakże życzyć sobie, ażeby przy drugiém wydaniu p. P. wskazał więcéj wyrażeń charakterystycznych, właściwych Malczeskiemu, oraz żeby dla okazania plastyczności obrazów lepsze wybrał miejsca.

Drugie z kolei „arcydzieło“ objaśnione przez p. Parylaka, tj. „Ojciec Zadżumionych“ nie ma już wielu z tych usterek, któreśmy w wydaniu „Maryi“ wskazali. Ponieważ poemat nie dzieli się na ustępy, nie odważył się więc komentator rozszarpywać tekst swojemi uwagami, lecz je pomieścił dopiero po ukończeniu tekstu. Sam ten tekst poprawił w jedném miejscu; nie wiém tylko czy na podstawie 1-go wydania, czy téż na domysł. Zamiast „I naliczyliśmy ranków trzydzieści“ wydrukował: „I *naliczylim* ranków już trzydzieści“. Ta forma, o ile sobie przypominam, nie spotyka się u Słowackiego, ale wiersz przez nią i przez dodanie czy zachowanie przysłówka *już* staje się rytmiczniejszy; można więc poprawkę przyjąć. Objaśnienia tekstu są dosyć nieliczne; głównie wyrazowéj i składniowéj natury. Wolelibyśmy, ażeby nie było niekiedy przesady, wpadającéj czasem w niedorzeczność. Że przyroda dla wrażliwego poety jest „księgą otwartą, w któréj doskonale czytać umié“, na to się łatwo zgodzić, ale niepodobna twierdzić w dalszym ciągu, wraz z autorem, iż „ona jest jego niewolnicą posłuszną, a on jéj panem, górującym nad nią swoim duchem“ (str. 22), nie tylko bowiem poe-

ci, ale najwięksi inżynierowie i przyrodnicy posłusznéj niewolnicy w przyrodzie nie mają, lecz muszą ją dopiero ujarzmiać.

Rozprawki swoje rozmieścił p. P. w wydaniu „Ojca Ządż.“ inaczéj niż w „Maryi“. We wstępie mówi tylko „nieco o życiu i pismach Słowackiego“, oraz o „gienezie poematu“. Po ukończeniu zaś tekstu rozpisał się o „scenie opowiadania“, o „treści poematu“, o „myśli zasadniczéj“, o „znaczeniu osób poematu“, o „rodzaju poezyi i o przekładach“, wreszcie o „języku w *Ojcu Ządżumionych*“. Wszystko, co tu wygłasza p. Parylak, prawie zawsze zasługuje na uznanie; ale można-by to było zwięźléj a powabniéj trochę powiedzieć; tym sposobem zyskało-by się miejsce na wykazanie artystycznego układu w poemacie, co tém jest konieczniejsze, iż uczeń niełatwo pod tym względem da sobie tu rady.

Styl, którym się posługuje komentator, nie posiada wielkich zalet; jest suchy a rozwlekły, ale wogóle poprawny. Do pewnych wyrazów ma szczególniejsze p. P. upodobanie, mianowicie do: *zmyślność*, *zmyślny* i *zmyślnie*, stosując je do twórczości poetów, całkiem, zdaje mi się, niewłaściwie; nie chce on bowiem przez-to twórczości téj zestawiać z instynktem zwierzęcym, ale jedynie chce określić trafność w porównaniach, w użyciu słów itp. Zamiast wyrazu *piętno*, który mieści w sobie pojęcie czegoś hańbiącego, lepiéj używać wyrazu: *cecha*, *znamię*, jeżeli mówimy bez chęci ganienia. Oprócz tego, „piętna zemsty“ na czole („Marya“, str. 17) nosić nie można, kiedy się zemstę dopiero wywrzeć zamierza. Wyrazów: *podniosły* i *wzniosły* widocznie p. P. nie rozróżnia należycie; kiedy w charakterze Wojewody z „Maryi“ widzi „podniosłe serce“, a charakter Maryi nazywa „wyniosłym“.

Pomimo wskazanych usterek i błędów, życzyć wypada powodzenia wydawnictwu podjętemu przez p. Parylaka, gdyż samo przez się jest wielce pożyteczne; a w dalszych tomikach wydoskonalonem być może. *P. Ch.*

= **Mémoire sur l'influence des langues orientales sur la langue polonaise** *par Jean Karłowicz, Dr. Phil., de Wilna.* (Leide. E. I. Brill. 1884, str. 33). Jest-to odbitka z III tomu Prac szóstego Zjazdu Oryentalistów. Ziomek nasz przedstawił tu wpływ języków wschodnich na język polski; pracę tę podjął celem dojścia do wniosków, jakiego rodzaju pojęcia zawdzięczamy Wschodowi. „Naród żyjący życiem historyczném—mówi autor—musiał z konieczności zetknąć się z innemi narodami, a to zetknięcie się musiało wywołać przyswojenie sobie mniejszéj lub większéj liczby wyrazów obcych. Tę wła-

śnie wyrazy świadczą o rodzaju stosunków; są one zarówno pomnikami jak i wykładnikami, że tak powiem, jakości i ilości wpływu. Rozważając i rozgatunkowując dzisiaj te wyrazy, które się na kartach słowników rozłożyły nakształt pokładów geologicznych, na jednéj linii, bez perspektywy i cieniów, bez barwy swéj epoki i swych dawniejszych warunków, potrzeba się mieć na baczności, a chcąc uniknąć usterek i błędów, należy sobie bezustanku zadawać następne pytania, 1. Czy wyraz obcy przybył do języka wprost czy pośrednio? 2. Kiedy i wśród jakich okoliczności? 3. W jakim celu? Czy dla oznaczenia myśli lub przedmiotu zupełnie nowego i nieznanego, czy też dla odcieniowania znaczenia innego wyrazu, używanego poprzednio? 4. Czy wyraz obcy jest używany w całym kraju, czy też w niektórych tylko prowincyach, w pewnych okresach czasu i w pewnych okolicznościach, mających związek z narodem, od którego zapożyczono ten wyraz? 5. Czy wyraz ten dziś jeszcze jest w użyciu, czy też znikł z języka obecnego, spełniwszy swe zadanie w pewnym przeciągu czasu, i czy istnieje już tylko w pomnikach literackich i słownikach? 6. Jaka jest lub jaka była jego forma; czy uległa ona zmianom fonetycznym i dlaczego? Czy wyraz ten nie doznał wpływu atrakcyi lingwistycznéj, którą nazywają słoworodem ludowym? Czy forma jego nie zdradza śladów oddziaływania poprzedniczego innych języków, a więc czy nie świadczy o drodze pośredniéj przybycia do języka? 7. Czy niéma wyrazów podwójnéj, potrójnéj formy, pochodzących z tegoż pierwiastku lub tegoż tematu, ale w innéj formie lub z inném znaczeniem? 8. Czy język obcy obok wpływu słownikowego nie pozostawił też śladów w innych dziedzinach mowy: w głosowni, morfologii, składni i semazyologii?" (str. 3—4). Temi kierując się uwagami autor wykazuje główne pożyczki słownikowe ze Wschodu. Ostrzega, iż nie będzie się zajmował takiemi wyrazami, które we wszystkich językach cywilizowanych są znane, a które międzynarodowemi lub klasycznemi nazywa, ani też takiemi, które są używane tylko w literaturze jako charakterystyczne, lecz jedynie temi, które językowi polskiemu są właściwe. Rozpatruje je w sześciu działach stosownie do języka, z którego zostały wzięte. Mówi więc o wpływie języków: 1) hebrajskiego. 2) arabskiego, 3) perskiego, 4) tureckiego, 5) tatarskiego, 6) węgierskiego. Nie możemy iść w ślad za autorem, gdyż musielibyśmy przetłómaczyć całą rozprawkę; musimy się więc ograniczyć na powtórzeniu uwag ogólnych, zawartych w zakończeniu. „Język hebrajski, jak się okazuje, dostarczył nam masę wyobrażeń i imion odnoszących się do religii, kultu i pojęć moralnych wogóle; języki arabski i perski użyczyły nam wyrazów botanicznych i zoologicznych

(głównie o tém, co się odnosi do konia), nazw łakoci, narkotyków, tkanin, ubiorów i broni; języki tatarski i turecki — wielkiéj liczby wyrazów, dotyczących życia wojennego (broń, narzędzia kaźni, niewola, łowy, konie itp.), oraz wielu wyrazów odnoszących się do tkanin, ubiorów, roślin, owoców, narkotyków, łakoci; wreszcie kilka nazw sprzętów i zastawy stołowéj; Węgrzy nakoniec obdarzyli nas niektóremi wyrazami z zakresu życia pasterskiego. Jeżeli pominiemy język hebrajski, to Wschód dał nam zaledwie kilka wyrazów z zakresu moralności i wyższéj kultury, jako to: *bohater* (z mongol. *bohatur*), *tłumacz* (zresztą co do pochodzenia swego wątpliwy), *towar i towarzysz* (także wątpliwe), *jołdasz* (towarzysz), *kurdesz* i parę innych. Naodwrót, ileż to przekazał nam wyrazów, przywodzących na pamięć smutne wspomnienia? *Cham*, *fałagi*, *haracz*, *masłok*, *jassyr*, *czambuł*, *dżuma*, *bałaban*, *bałuk*, *batóg*, *bujurdan*, *jedykuła*, *kańczuk*, *szarańcza*, *temruki*, *kajdany* i wiele innych. Porównywając je z wyrazami zapożyczonemi z Zachodu, które język nasz przechowuje jako świadectwo naszego związku moralnego z cywilizacyą europejską, spostrzegamy odrazu, iż one należą do sfery całkiem odmiennéj", gdyż wypowiadają nabytki cywilizacyjne. „Ażeby dać przybliżone pojęcie o rozmiarach wpływu wschodniego na nasz język, zauważyć winienem, że oddziaływanie języków zachodnich nie tylko było ważniejszém w znaczeniu moralném i cywilizacyjném, ale także co do ilości było większém. Siłę wpływu obcego na język polski można zmierzyć, układając języki, które pozostawiły ślady w naszym słowniku, w szereg, rozpoczynający się od języka najbardziéj wpływowego, a kończący się językiem najmniéj wpływowym. Tak więc: język łaciński (starożytny, a szczególnie średniowieczny) i grecki stoją tu na czele, po nich idą języki: niemiecki (wraz z hollenderskim i skandynawskim), romańskie (głównie francuzki i włoski), czeski, turecki, tatarski, hebrajski, arabski i perski (pośrednio), wreszcie węgierski. Gdybyśmy chcieli wyrazić natężenie wpływu w sposób cyfrowy, to sądzę, że pożyczki wschodnie można-by oznaczyć jako 10% ogółu wyrazów obcych w słowniku polskim z XVI i XVII stulecia; ale ponieważ od tego czasu liczba tych wyrazów zmniejszała się ciągle, to dzisiaj, zdaniem mojém, słownik nasz posiada ich nie więcéj jak 6%. Największy w nim udział ma łacina i niemczyzna. Rozprawkę swoję kończy p. Karłowicz spostrzeżeniami ogólnemi nad wpływem języków wschodnich na mowę naszę. Oto one: „1. Wpływ języków wschodnich, zwłaszcza tatarskiego i tureckiego doszedł siły największéj w wieku XV, XVI i XVII; odtąd zmniejszał się wyraźnie i dochodzi teraz jeszcze do swego minimum. 2. Wpływ hebrajszczyzny widoczniejszy był w XVI stuleciu na składnię i se-

mazyologią niż na słownik. 3. Wpływ języka arabskiego i perskiego działał tylko pośrednio. 4. Wyrazy węgierskie przeszły raczéj do gwar polskich niż do języka literackiego. 5. Cechę ogólną wpływu wschodniego na nasz język tak wyrazić można: wpływ języków semickich odbił się w wyrazach ze sfery moralnéj, a zwłaszcza ze sfery materyalnéj; wpływ języków uralsko-ałtajskich działał prawie wyłącznie w kierunku materyalnym, a istniał tylko czasowo, pozostawiając na dziś mało wyrazów powszechnie używanych; a między temi zaledwie kilka jest niezbędnych dla języka naszego z powodu, iż nie posiadamy równoważnych narodowych. 6. Słoworód ludowy rozciągnął swój wpływ na wiele z tych pożyczek wschodnich, starając się upodobnić je do pierwiastków lub tematów krajowych. 7. Wiele imion chrzestnych, nazw rodzinnych i miejscowych polskich wywodzi początek od wyrażeń wschodnich, zwłaszcza od tych, jakie zawiera biblia. 8. Od wieku mniéj więcéj objawiła się bardzo wyraźna dążność do wyrugowania wyrazów obcych z języka polskiego mówionego i literackiego". Taka jest treść nader ciekawéj pracy p. Karłowicza, która stanie się niezbędną dla każdego pracownika w dziedzinie mowy i piśmiennictwa polskiego.

= **W. Spasowicz. Dzieje literatury polskiéj przełożone z rosyjskiego. Wydanie drugie**, *przejrzał i poprawił A. G. Bem.* (Warsz. Nakł. Gebeth. i Wolffa. 1885, kart 6 i str. 525). Drugie to wydanie dzieła, dającego niewątpliwie najlepszy obraz rozwoju literatury naszéj, nie jest bynajmniéj prostym przedrukiem pierwszego, które było zeszpecone mnóstwem omyłek językowych, stylowych i faktycznych. Przekład został w przeważnéj części podjętym i dokonanym nanowo przez znawcę języka polskiego i dobrego stylistę, p. A. G. Bema. A że tłómacz zajmuje się sam bardzo gorliwie dziejami naszego piśmiennictwa, więc nie chciał i nie mógł pozostać w biernéj jedynie roli przekładcy obcych myśli i wyrażeń; owszem dodawał dużo informacyj od siebie, a niekiedy nawet prostował w przypisku błędne, zdaniem jego, zapatrywanie się autora, lub téż faktyczną pomyłkę. Dodatki te i sprostowania odznaczają się wszędzie znajomością przedmiotu i przynoszą książce a raczéj jéj czytelnikowi prawdziwy pożytek. Mógł nawet tłómacz trochę więcéj ich zrobić, mianowicie co do wieku XV. P. Spasowicz bardzo mało uwzględnił nowsze publikacye zabytków piśmiennictwa z owego stulecia, a wskutek tego nakreślił szkic, który już dzisiaj za prawdziwy a zwłaszcza za dokładny uchodzić nie może. Nie mówię już o przekładach pisma św. i modlitewnikach, ale takie wierszowane utwory jak Legenda o ś. Aleksym, albo dawniéj już znana Pieśń o porażce pruskiéj stanowią istotne

a charakterystyczne cechy piśmiennictwa naszego z XV wieku i muszą być wzmiankowane nawet w tak krótkim podręczniku jak pana Spasowicza. Dziwi nas trochę, iż p. Bem tego braku nie dojrzał. Również nie rozumiemy, dlaczego zostawił wzmiankę o pieśni o Albercie wójcie krakowskim (str. 35 w przypisku) jako o zabytku polskim, gdy wiadomo, że jest napisana po łacinie. Zostawił również bez żadnego sprostowania wzmiankę o Andrzeju ze Słupia czyli Słopuchowskim (str. 34), lubo na końcu dzieła cytuje rozprawkę Mikołaja Bobowskiego: „Die polnische Dichtung des XV Jahrhunderts“, gdzie przecież dość przekonywająco wykazano, iż nazwisko to zlepił Maciejowski z całkiem fikcyjnego materyału, że zatém dzisiaj w historyi literatury o Slopuchowskim jako autorze z XV wieku nie może być mowy, lubo pieśni, które mu Maciejowski przypisał, rzeczywiście z owego czasu pochodzić się zdają. Gdyby tłómacz był skorzystał z téj rozprawki, jużby jeden błąd z dziejów literatury został usunięty, gdyż, jak wiadomo, książki dla młodzieży przeznaczone najlepszém mogą zostać w tym celu narzędziem; rozprawki bowiem do wiedzy ogółu nie dochodzą; ogół trzyma się tego, czego się z książki podręcznéj dowiedział... Takie jednak zapomnienia nie mogą czynić ujmy całości, którą téż czytelnikom jak najliczniejszym szczerze polecamy.

= **Zur Säcularfeier des polnischen Dichterfürsten Jan Kochanowski** (1530—1584). *Ein Uebersetzungsversuch aus dessen Klageliedern auf den frühen Tod seines Töchterleins Ursulka von Theodor Stahlberger. Krakau. 1884* (str. 1—6 Sprawozdania Gimnazyum św. Jacka w Krakowie). Jest to przekład ośmiu trenów Jana, dokonany z niepospolitym talentem przez profesora gimnazyum ś. Jacka, dla zapoznania cudzoziemców z arcydziełem poezyi polskiéj dawnéj. Do przekładu wybrał p. Stahlberger istotnie najpiękniejsze treny, mianowicie III—VIII, X i XIII; w tłómaczeniu nie trzymał się metody dosłowności, owszem swobodnie a jednak wiernie z tekstem oryginalnym się obchodził. Barwy archaistycznéj nadać przekładowi nie usiłował i słusznie. Nie wiem, jak Niemcy ocenili tę pracę; na mnie zrobiła ona bardzo przyjemne wrażenie.

= **Studya literackie**, napisał *Władysław Nehring.* (Poznań 1884 str. 398). Autor, wykładający od lat wielu język i literaturę polską w uniwersytecie wrocławskim, po ogłoszeniu swéj znakomitéj pracy o Psałterzu Floryańskim, zebrał swe nowsze badania nad niektórymi utworami i pisarzami polskimi w jednę całość, zapewne, ażeby książką tą upamiętnić 25-lecie swego profesorskiego zawodu, ukończone w roku bieżącym. W zbiorku tym, rozpoczynającym

się od studyum nad Bogarodzicą, znajdujemy krytyczne rozpatrzenie główniejszych pisarzy naszych: Kochanowskiego, Kochowskiego, Morsztyna, Krasickiego, Mickiewicza i Krasińskiego. Niektóre części znane już były czytającemu ogółowi z czasopism a jednę z rozpraw, mianowicie o panu Tadeuszu, pomieściło przed laty „Ateneum“; kilka—„Biblioteka Warszawska“; niektóre ukazują się w tym zbiorze dopiero po raz pierwszy. *Studya literackie* zasługują na szerszy rozbiór, którego podać nie omieszkamy.

— **Pan Tadeusz Adama Mickiewicza**, studyum estetyczno - literackie przez dra *Henryka Biegeleisena* (Warsz Nakł. T. Paprockiego, 1884, str. LXXXVIII i 361). I o téj sumiennéj, wielostronnéj, prawie wyczerpującéj pracy, która zwiększa i wzbogaca tak ożywioną w ostatnich czasach literaturę Mickiewiczowską, obecnie wzmiankujemy tylko, zastrzegając sobie bliższe rozejrzenie się w niéj na późniéj. Studyum to ogłoszone zostało umyślnie w roku bieżącym dla przypomnienia jubileuszu pierwszéj edycyi „Pana Tadeusza“ (w Paryżu 1834 w 2 tomach). Dlatego też zamieszczono tu portret Adama, jaki był przy téj edycyi, dano podobiznę kart tytułowych, oraz jednéj arkuszowéj stronicy rękopismu tego arcydzieła. Studyum składa się ze wstępu, w którym dr. Biegeleisen skreślił okoliczności towarzyszące powstaniu i powolnemu tworzeniu „Pana Tadeusza“ i z szeregu rozpraw o szlachcie, o charakterach, o malowniczości, krajobrazach itd. Powinszować należy młodéj a czynnéj firmie księgarskiéj p. Teodora Paprockiego, iż w liczbie różnorodnych wydawnictw swoich zamieściła i tę cenną jubileuszową pamiątkę, która jest zarazem znakomitym przyczynkiem do poznania twórczości Adama.

— **Michał Bałucki. Nowelle i obrazki**. *Warsz. Nakł. Teodora Paprockiego i S-ki. 1885*; (tomów 4 I str. 321; II, str. 326; III, str. 291; IV, str. 294). W samę porę pojawia się to wydanie. Jubileusz utalentowanego powieściopisarza krakowskiego, obchodzony niedawno, zwiększył i tak już znaczną zaciekawienie do utworów, które nikogo nie znudziły a dla wielu, bardzo wielu były nie tylko ciekawą i zajmującą, ale też i nauczającą lekturą. W 4-tomowym zbiorze *Nowell i Obrazków* mieszczą się i najdawniejsze i najświeższe pisma autora; tym sposobem można w nich śledzić rozwój pojęć jego i talentu; jestto jakby miniaturowe malowidło 25-letniéj działalności Bałuckiego. Mamy tu 19 różnych utworów, z których znowuż ten i ów jest właściwie zbiorem kilku pod jeden ogólny tytuł podciągniętych. Różnorodność zatém jest wielka i dla czytelników powabna. Ponieważ większa część tu pomieszczonych nowelli i obrazków nigdy nie

była drukowana w osobnéj książce, lecz ją wydobyto z czasopism, przeto dla ogółu zbiór ten będzie stanowił nowość najzupełniejszą. Nie wchodząc tu w krytykę, zaznaczamy tylko napisy. W 1-ym tomie mieszczą się następne nowelle i obrazki: *Zapóźno, Ostatnia Stawka*, *Przechrzta*, *Po śmierci*. — W 2-im: *Ojcowska Wola*, *Dwie siostry*, *Co ją ocaliło? Tragedya grecka w góralskiéj chacie*, *Do Kraju*, *Heraklesowe Drogi*.—W 3-im: *Scherzo*, *Prosto z pensyi*, *Karykatury*, *Z albumu maluczkich*, *Wigilia Bożego Narodzenia*.—W 4-ym: *Jubileusz*, *Obrazy i Obrazki* z *tatrzańskiéj wycieczki*, *Rywale*, *Latawica*. Pod względem wydania ten jeden można zrobić zarzut, iż nie ułożono „Nowell i Obrazków“ w porządku chronologicznym z dodaniem daty, kiedy po raz pierwszy był który utwór drukowany. Sądzę, iż poczytność zbioru nie umniejszyłaby się przez to, a zrobiono-by przysługę tym, co nad literaturą pracują naukowo. Ponieważ, jak wyczytujemy z prospektu, p. Lewental przedsiębierze od Nowego Roku wydanie wszystkich utworów Bałuckiego, byłoby do życzenia, ażeby on przynajmniéj poszedł za tą wskazówką. Czas już przecie, ażeby i nasi wydawcy, jak ich koledzy zagraniczni, zrozumieli potrzebę umiejętnego ogłaszania dzieł zbiorowych.

KORESPONDENCYA REDAKCYI.

Bawiąc za granicą, napisałem i wysłałem do jednego z czasopism warszawskich artykulik o znaczeniu prywaty w życiu i w dziejach naszych. Gdy numer wyszedł z pod prasy, przekonałem się, że mój artykuł postradał zakończenie, co się równa prawie ucięciu głowy w operacyach kryminalnych. Gdybym żywszą posiadał wyobraźnię, mógłbym doświadczyć wszystkich tych bolesnych wrażeń, jakie malował Wiertz na swoich ściętych głowach; dziękowałem Niebu, że mi poskąpiło darów poezyi; ale jako historyk nie zaniedbałem zbadać przyczyny faktu, należącego w każdym razie do kategoryi gwałtów, na myśli ludzkiéj dokonywanych. Dowiedziałem się tedy, że powodem i zasadą prawną operacyi była obawa, iż czytelnicy mogliby zastosować pewne wyrażenia rzeczonego ustępu do człowieka żyjącego, czcią otaczanego i osobiście redaktorowi drogiego. Wyciągam ztąd wniosek: że spostrzeżenia moje o prywacie są trafne i sięgają do głębi serca polskiego. Mniéj pochlebną dla mnie jest forma dowodzenia, skoro nie potrafiłem nawrócić jednego z tych ludzi, z którymi umysłem i sercem bardzo jestem zbliżony, a nawet wywo-

łałem skutek przeciwny zamierzonemu, skoro do méj tezy ogólnéj zastosowano właśnie potępianą przezemnie skalę prywaty. Jakkolwiek przeto zajścia niniejszego nie porównywam do sprawy Galileusza z Inkwizycyą pod względem wielkości przedmiotu, a tém bardziéj pod względem grozy stosunków (bo w niniejszym wypadku ofiara i prześladowca zostawali i nadal pozostaną w stosunku serdecznéj przyjaźni) apeluję wszakże do publiczności i proszę o odczytanie całkowitego „Morału“ z zakończeniem.

Morał historyczny.

Najtrudniéj dają się wyrozumiéć i leczyć zboczenia, tkwiące w duchu narodowym, w elementarnych pojęciach społeczeństwa.

Ileżto wyrzekań czytamy i słyszymy na „prywatę“, która tak rozległy a tak szkodliwy wpływ wywierała w dziejach naszych! Ale czy rozumiemy cały obszar tego wyrazu?

Brzydzimy się, jeśli ktoś zrządzi szkodę ogółowi, powodując się interesem osobistym: samolubstwem, chciwością, pychą, lub obawą o siebie samego. Mówimy na takich: targowiczanin, zdrajca, zaprzaniec itp. Ale czy umiemy obliczać, ile szkody u nas ponosi ogół ztąd, że powierzając komuś urząd lub czynność publiczną, kierujemy się zwykle względami nie na uzdolnienie, lecz na osobiste stosunki z nami, albo z przyjaciołmi naszymi? Że nie szukamy ludzi, zaopatrzonych w najlepsze przymioty do danéj pracy? że w wyborze naszym więcéj waży nazwisko, pokrewieństwo, powinowactwo, lub dawniejsze, chociażby na inném polu nabyte zasługi? że nam zawsze chodzi nie tyle o zadanie, ile o człowieka?

Może tak dzieje się wszędzie? Może na całym świecie protekcya i popularność są niezbędnymi warunkami wznoszenia się na stanowiska publiczne i nabywania władzy?

Pozornie—tak; w istocie rzeczy—nie!

Gdzieindziéj pod protekcyą rozumie się zalecenie stosownych przymiotów kandydata: u nas jest odwołanie się do życzliwości w stosunku osobistym.

Źródło różnicy jest odległe a stare niemal jak naród polski. Rodzina i ród były u nas od wieków tęższém, niż u Germanów, wiązadłem społeczném. Gdy się urządzały państwa zachod.-europejskie, każdy człowiek stawał się wasalem, podwasalem, suzerenem, członkiem cechu i gminy wiejskiéj wedle swego zatrudnienia, rodzaju swéj pracy i zobowiązania prawnego. U nas w epoce kształtowania się hierarchii społecznéj ukazuje się uprzywilejowany przez Piastów

rycerz na czele zastępu „stryjców herbowych“ (1), którzy są z nim związani nie przysięgą lenniczą, lecz ciepłem krwi spólnéj i zawołaniem bojowém: Topor! Leliwa! Starykoń! Tę zasadniczą różnicę trafnie spostrzegł historyk-cudzoziemiec (Caro) i z niepospolitą przenikliwością wyprowadził na jaw znaczenie związków braterskich w masie szlachty polskiéj. W istocie znajdujemy już w XIV w. na kartach historyi (2) zapisane słowa: „Panowie i Bracia,“ które stają się niezbędném zagajeniem wszelkiéj mowy publicznéj i zamknięciem wszelkiego listu prywatnego aż do ostatniéj chwili istnienia Rzpltéj. Dziś nawet nie razi nas wołacz: „bratku, braciszku, braciaszku“ w ustach osoby, z nami wcale nie spokrewnionéj. I dobrém, czcigodném, pożyteczném było „braterstwo“ takie, gdy obowiązywało do stawania w polu pod jedną chorągwią, gdy każdy z „braci“ szlachty potrafił dobrze spełnić powinność swoję, mając dłoń silną, zbroję dobrą, rumaka ognistego. Ale świat postępował; budowa państw stawała się coraz kunsztowniejszą; doskonaliła się wojskowość: już za Kazimierza Jagiellończyka chorągwie pospolitego ruszenia biły się gorzéj od zaciężnego ćwiczonego żołnierza, a przy naturalnym wzroście ludności rozprzęgały się stosunki patryarchalne w rodach rozmnożonych, rozsiedlonych na dalekiéj przestrzeni, pokiereszowanych różnicami fortuny, ubóstwa i bogactwa, wytworności i prostactwa. Wkrótce braterstwo szlacheckie przestało być pożyteczném dla narodu, utraciło swe rzeczywiste znaczenie, stało się frazesem bez treści, konwencyonalnym, używanym wreszcie do łudzenia gminu szlacheckiego przez panów. Tymczasem w uczuciu i w nerwach szlachta przechowała dawny popęd, lubo już nie usprawiedliwiony orzeczeniami rozumu. Tak np. ustanowiono tron obieralny niby dla najgodniejszego, a zmuszono wybrańca Stefana Batorego do poślubienia staruszki Anny gwoli fikcyi zbratania z rodem Jagiellonów; sprowadzono Szweda Zygmunta III w imię pochodzenia jego od Katarzyny Jagiellonki, a nie pytano, czy posiada osobiste przymioty, czy jest lub czy chce być Polakiem, czy nie przyniesie w swéj osobie nasienia długich i zgubnych wojen? Dzielnym był Jeremi Wiśniowiecki, lecz nie posiadał sławnych antenatów: więc nie otrzymał nawet hetmaństwa; za to po jego śmierci został królem syn, Michał, spadkobierca sławy ojcowskiéj, lecz sam osobiście do niczego nie zdatny. W chwili najgroźniejszéj, bo o życiu lub śmierci państwa decydującéj, przed wojną 1792 r. kierownicy sejmu czteroletniego, oddali dowództwo armii księciu Józefowi Poniatowskiemu

(1) Wyrażenie Szajnochy.

(2) U Janka z Czarnkowa.

dlatego, że był synowcem króla i księciu Ludwikowi Wirtemberskiemu, niemcowi, dla tego że był zięciem księcia generała ziem podolskich (Czartoryskiego), a Kościuszko, znany już światu z wojny amerykańskiéj komenderował garstką kilkutysięczną jako jenerał-major.

Dziś nie rozdajemy buław i koron, jednakże wygadzamy krewniakom naszym i przyjaciół naszych, skoro się nadarzy możność rozrządzania fotelem w jakiejś dyrekcyi, stolikiem w biurze, katedrą w szkole. Zrozumiejmy nareszcie, że folgowanie takiemu prastaremu, lecz w obecnych warunkach pracy społecznéj bezmyślnemu popędowi, jest prywatą, która usczupla plon pracy, spycha w nicość talenty uzdolnienia i siły dzielniejsze, a w pewnych chwilach przyprawia o zgubę najdroższe interesa narodu.

Ze zgrozą rozpamiętywamy o téj bezkarności, jaką cieszyli się dawniéj zbrodniarze stanu, świecący głośném nazwiskiem i możnemi koligacyami: ale dziś jeszcze ogół nasz, tak zkądinąd pochopny do plotek, podejrzeń i małych szykan widząc spełnione przez znakomitego człowieka przestępstwo, czyliż go skarci zasłużoną karą, czy dotknie wyrokiem potępienia, czy nie uwierzy raczéj, że przestępstwo nie jest przestępstwem? Brutus, oddający swych synów pod topór liktora, jest u nas postacią niezrozumiałą, obcą nam nawet w legendzie. I to jest przecię prywatą. I nie wyrwiemy z duszy naszéj tego niezmiernie plennego kąkolu, dopóki się nie przejmiemy na wylot przeświadczeniem, iż praca społeczna potrzebuje nie najmilszych sercu naszemu lecz najlepiéj uzdolnionych pracowników, iż oddalonym natychmiast być musi każdy, co pracować nie może, nie umie, lub nie chce; iż na szali życia dziejowego naród waży więcéj od największego człowieka.

Tadeusz Korzon.

---

† Dnia 6 listopada r. b. zakończył życie w Warszawie **Leopold Hubert**, niegdyś pracownik na niwie historycznéj. Urodził się w roku 1832; po ukończeniu nauk gimnazyalnych, wstąpił do służby publicznéj w archiwum główném Królestwa Polskiego. Tu dwudziestoletni młodzieniec zetknął się z zabytkami piśmiennemi naszéj przeszłości i wolne od urzędowych zajęć chwile poświęcał ich zbadaniu przez lat dziesięć z górą. Owocem téj pracy był zbiór wydobytych z archiwum pomników, które ogłosił w 1861 r. w dwóch tomach p. n. „Pamiętniki historyczne,“ oraz „Podróż Stanisława Augusta na sejm Grodzieński 1784 r.“ ze współczesnego rękopismu. Pomieszczał nadto swe prace, przeważnie historyczne, w „Bibliotece

Warszawskiéj,“ w „Tygodniku Ilustrowanym“, w „Gazecie Warszawskiéj“ i innych czasopismach. Był spółpracownikiem „Encyklopedyi“ większéj Orgelbranda. Prócz tego napisał w 1857 r. podług znanego dzieła Hammera, „Skrócone dzieje państwa Tureckiego.“ Tymczasem w życiu Huberta zaszła zmiana, która literackiemu zawodowi położyła koniec. W latach 1864 i 1865 przebywał w gubernii Woroneskiéj, a gdy powrócił ztamtąd, praca na utrzymanie własne i rodziny pochłonęła mu resztę życia.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

OGŁOSZENIA.

pojęć prawnych w wykształceńszych warstwach naszego społeczeństwa.

Redakcya, odnowiona w swym składzie oraz liczni współpracownicy stali i korespondenci z kraju i zagranicy, wypełniają wszystkie 27 rubryk, jakie na zasadzie koncesyi w Gazecie wprowadzone zostały z pożytkiem nie tylko dla czytelników prawników, lecz i dla każdego wykształceńszego członka społeczeństwa, który pamięta o swych obowiązkach obywatelskich.

Na pytania, nadsyłane do Redakcyi (Grzybowska N. 29), zawierające kwestye prawne, napotykane w praktyce, budzące ogólniejszy interes, Redakcya odpowiada w jednym z najbliższych numerów.

W nadchodzącym roku, oprócz wprowadzenia rubryki rozporządzeń rządowych, w któréj zaznaczane będą wszystkie przepisy dla Królestwa Polskiego wydawane, Redakcya zamierza rozwinąć dział rozbiorów i wyjaśnień ważniejszych nowych ustaw i postanowień rządowych, które mogą nastręczać wątpliwość przy stosowaniu onych w praktyce.

„*Gazeta Sądowa Warszawska*“ wychodzi co sobotę.

Przedpłata wynosi:

W Warszawie rocznie 6 rs. półrocznie 3 rs. kwartalnie 1 rs. 50 kop.

W Królestwie i Cesarstwie rocznie 8 rs., półrocznie 4 rs., kwartalnie 2 rs.

W Austryi rocznie 15 guld. w. a., półrocznie 7½ guld. w. a.

W Prusach rocznie 27 mk., półrocz. 13½ m.

Prenumerować można w Ekspedycyi głównéj „Gazety Sądowéj“ (księgarnia M. Orgelbranda Warszawa, naprzeciw Kopernika), oraz we wszystkich główniejszych kantorach pism peryodycznych i na poczcie. Za punktualność przesyłki Redakcya poręcza wówczas jedynie, gdy prenumerata nadesłaną zostanie do Ekspedycyi głównéj „Gazety Sądowéj.“

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Listopada 1884 r.

---

1. **Studya literackie** napisał *Wł. Nehring.* Poznań u A. Cybulskiego, 1884. (8-o str. 398).
2. **Michał Bałucki. Nowelle i obrazki.** 4 Tomy. Warszawa u Teodora Paprockiego. 1885.
3. **Klemens Junosza. Z Mazurskiej ziemi.** Szkice i obrazki. Warszawa, u Teodora Paprockiego (8-o str. 365).
4. **Kalendarz powszechny na rok 1885.** (Rok VII). Warszawa, u Teodora Paprockiego. Chmielna 8.
5. **Jan Sobieski** do dwudziestego roku życia. napisał *Juljan B.* Kijów, u Bol. Korewy 1884 (8-o str. 107).
6. **Zaklęta łza** ballada. **Nowe dziady** żarcik poetycki napisał *Włodzimierz Wysocki.* Kijów, u Bol. Korewy, 1885 (8-o str. 51).
7. **Juliusza Słowackiego. Ojciec zadżumionych** wstępem i objaśnieniami opatrzył *Piotr Parylak.* Lwów. Wydawca W. J. F. Hoschek. 1884. (8-o str. 47).
8. **Wojenne siły polskie w odsieczy Wiedeńskiej** napisał *Ferd. Kudelka.* Kraków. 1884 (8-o str. 21.)
9. **Pan Tadeusz Adama Mickiewicza.** studyum estetyczno-literackie p. d-ra *Henryka Biegeleisena.* Warszawa, u Teodora Paprockiego. 1884. (8-o str. LXXXVIII i 361).
10. **Wspomnienia Szkolne Leonarda Sowińskiego.** Warszawa, u M. Orgelbranda. 1884. (8-o str. 309).
11. **Rozwiązanie Równań liczbowych** napisał *Julijan Sochocki.* Warszawa 1884 (8-o str. XII i 212). Cena 2 rub. Biblioteki matematyczno-fizycznej wyd. *M. A. Baranieckiego* z zapomogi kassy imienia Józefa Mianowskiego. Serya IV tom II.
12. **T. H. Huxley. Wstęp do nauk przyrodniczych** tłomaczenie z angielskiego *Z. B.* Warszawa. 1884. (8-o str. V i 103).
13. **Jana Kochanowskiego. Pieśń Świętojańska o Sobótce** według wydania Andrzeja Piotrkowczyka R. P. 1617 objaśniona i oceniona przez prof. Dr. *Jana Rymarkiewicza.* Wydanie jubileuszowe. Poznań. Nakład A. Cybulskiego. 1884. Z portretem Jana Kochanowskiego str. 196.
14. **Powstanie i rozwój pesymizmu w Indyach.** Napisał *Maurycy Straszewski,* prof. filoz. na wszechnicy Jagiellońskiej. Kraków. 1884, (dedykowane w języku łacińskim Uniwersytetowi Edynburskiemu na pamiątkę trzechsetletniego jubileuszu). 8 kart nlb. I str. 103 w 4-ce.
15. **Mały podręcznik weterynaryi popularnej zawierający sposoby niesenia pomocy chorym zwierzętom.** Zebrał i napisał *Franciszek Okmiński.* Warszawa. Nakł. T. Paprockiego i S-ki. 1885 str. 48.
16. **Król i Marszałek.** Trzy chwile z życia Jana Sobieskiego przez *Lucyana Tatomira.* Warszawa. 1884. str. 66. Nakł. T. Paprockiego
17. **Gawędy z ludem o chorobach zwierzęcych.** Napisał *Juljusz Gensz* ordynator szpitala Ś. Trójcu w Płocku. Warszawa. Nakł. Konrada Prószyńskiego. 1884. str. 75.

Zaproszenie do przedpłaty na r. 1885.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzić będzie w roku następnym 1885 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku następnym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze na polu umiejętności w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy naukowe i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi, krzepić wytrwałość w dojściu do lepszych warunków istnienia narodowego, pomimo trudności i przygnębiających okoliczności czasowych; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących, treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Дозволено Цензурою, Варшава. 20 Ноября 1884 г.